Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 32 (1636) ROK XXXII 6 SIERPNIA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

◆ Jaki był naprawdę Jaś Kunefał? — str. 6

◆ Naczelnik gminy sprzedał zamek — str. 1 i 4

◆ Dlaczego Żydzi protestują w Oświęcimiu? — str. 7

◆ Deportacje Polaków w głąb ZSRR — str. 2

◆ Nie ma kto wykonać orzeczenia sądu — str. 4

Rys. Dariusz Romanowicz

## Naczelnik gminy sprzedał... zamek

ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

Szuka słów. Dobitnych, a słusznych, takich, by się ich nikt nie czepiał. To nie jest u nas łatwe do spełnienia, zwłaszcza w Polsce lokalnej:

— *Sprzedaż zabytkowego zamku, sprawa polityczna* — stwierdza.

Po chwili wahania nabiera pewności, dodaje:

— *Czasy się zmieniają, ale taki zamek, to nadal polityka. Dlatego moi koledzy są tacy ostrożni. Dla mnie jest pewne, że jeszcze rok, dwa i sprzedawane będą inne państwowe zabytki.*

To, co postanowił, ogłosił w kilku ogólnopolskich tygodnikach. Ale Zdzisław Magdziar politycznego kapitału na sprzedaży zamku nie zbił, bo po prawdzie nie było to jego zamiarem. Gorsze jest dlań, że o to, czy „uspołeczniony" zamek można sprzedać, rozgorzał spór, a jemu samemu też się dostało sporo słów niemiłych. Było mu przypomniane i wypomniane, że jest z Lublińca, naczelnikuje w gminie Ciasna, więc łatwo mu sprzedawać część Sierakowa...

### Koniec dyskoteki

Zamek nie jest szczególnie starej daty. Powstał z początkiem naszego wieku W stylu neoklasycznym i spełniał rolę pałacu myśliwskiego. Burzliwe dzieje począł przeżywać po 1945 roku. Budowlę upaństwowiono i wyznaczono jej rolę wiejskiego ośrodka nowej kultury. I tym dano początek intensywnej dewastacji. Stare reguły architektoniczne były na tyle spleśniałe, że zlikwidowano stropy nośne. Tym samym zachwiano całą wytrzymałość statyczną konstrukcji. To, że w tym stanie dom kultury przetrwał nie waląc się na głowy jego nowych użytkowników, można przypisać tylko wyjątkowej solidności przedwojennych budowli.

Gdy w 1983 roku poważnie zainteresowano się stanem technicznym budowli, okazało się, że natychmiast trzeba ją zamknąć. I to się stało Położono tym samym kres wiejskim dyskotekom, które wcześniej wyparły zdrowe, ludowe zabawy, połączone z upowszechnianiem ówczesnych szczytnych ideałów.

Jak już połapano się w tym, czym gospodarowano, to obiekt został wpisany do rejestru zabytków. Tym samym z własności upaństwowionej awansował do miana wartości narodowej. Wkrótce najczęstszym gościem zameczku myśliwskiego stał się wiatr i deszcz.

### Gmina śle Wici

Jak się waliło, to się paliło do szybkiego remontu kapitalnego. Gmina polska, co powszednie, ma tyle z podatków, że może sięgnąć po czyn społeczny i wybudować kilkadziesiąt metrów drogi Podatki z gminy są poza gminą.

Z powodu rozebranego stropu po latach przyszło pukać jak najwyżej. I dzięki staraniom uzyskano pieniądze z Funduszu Rozwoju Kultury. Za odbudowę zabra-

4

75 LAT TEMU:
— zapomniany epizod z I wojny światowej.

## Dlaczego pruski major zniszczył Kalisz?

JERZY KWIECIŃSKI

Wypadki dziejowe pozostawiają po sobie nieraz tylko skąpe i niepewne dokumenty, toteż nawet historykom pozostają jedynie hipotezy i domysły. Dotyczy to w znacznym stopniu zniszczenia Kalisza przez Niemców na samym początku pierwszej wojny światowej: nawet sam przebieg wydarzeń wydaje się niezupełnie pewny.

Był to akt barbarzyństwa, który wstrząsnął opinią cywilizowanego świata, przeświadczoną, iż ewentualny konflikt zbrojny w Europie będzie się toczył — jak to dżentelmenom przystoi — zgodnie z zasadami rycerskości i humanitaryzmu, jeśli w ogóle humanitaryzm da się pogodzić z masowym zabijaniem. W każdym razie na Europę spadły w ciągu niewielu dni dwa szokujące doświadczenia — zniszczenia Kalisza i pogwałcenie neutralności Belgii — oba spowodowane przez państwo zaliczane do najwyżej cywilizowanych, a tym samym, jak się wówczas wydawało, do najbardziej kulturalnych.

1.

28 lipca 1914 r. Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii, co pociągnęło za sobą wystąpienie w jej obronie sojuszniczej Rosji, z kolei w sukurs Austro-Węgrom przyszły związane z nimi sojuszem Niemcy, które 1 sierpnia wypowiedziały wojnę Rosji. Dotąd przebiegało wszystko nad wyraz elegancko: najpierw ostrzeżenia i zapowiedzi, potem formalne akty w majestacie konwencji prawa międzynarodowego, wyprzedzające działania zbrojne. To samo dotyczy udziału w wojnie Francji i Anglii, dopiero Niemcy w przypadku Kalisza i Belgii okazali się źle wychowani albo — jak kto woli — zrzucili z siebie maskę.

Gubernialny Kalisz, zasobne 70-tysięczne miasto, leżało zaledwie kilka kilometrów na wschód od niemiecko-rosyjskiej granicy zaborów, a to położenie geograficznej nie sprzyjało poczuciu spokoju i bezpieczeństwa mieszkańców. Toteż od zabójstwa austriackiej pary arcyksiążęcej w Sarajewie, a zwłaszcza od wybuchu wojny austriacko—serbskiej Kalisz żył w napięciu, potęgowanym przez pośpieszną i dość bezładną ewakuację carskich urzędów i pakowanie się do wyjazdu rosyjskich rodzin urzędniczych, a wreszcie i ostatnich oddziałów wojska, przy wtórze — jak wspomina kronikarz — plutonu śpiewaków *„którzy wesołą piosenką dodawali animuszu"*.

W niedzielny ranek 2 sierpnia 1914 r. miasto było po stu latach wolne od Rosjan i stało się jasne, że Rosja nie zamierza wydawać Niemcom bitwy w tym wysuniętym na zachód przygranicznym rejonie. Ale było też pewne, że Niemcy mogą wkroczyć lada godzina, toteż w mieście, pozostawionym chwilowo własnemu losowi, powołano dla utrzymania porządku publicznego Komitet Obywatelski i utworzono Straż Obywatelską, która jednak nie była w stanie zapobiec rabunkowi podpalonych przez Rosjan magazynów kolejowych, pełnych wszelkiego dobra. Uratowaną część towarów, w tym pewien zapas żywności, udało się jednak przewieźć do opuszczonego przez Rosjan ratusza.

Dopiero po południu pojawiły się pierwsze patrole pruskich dragonów, a w nocy zajął miasto batalion 155 pułku piechoty pod dowództwem majora Hermanna Preuskera. Noc na 3 sierpnia 1914 r. przeszła spokojnie, podobnie cały następny dzień. Jak wspominała później Maria Dąbrowska:

*„Spokojny pierwszy dzień pobytu Niemców. Sielanka. Humory się poprawiły. Ostatecznie przekroczyliśmy Rubikon. To co miało Kalisz najgorszego spotkać, już się stało. Myślało się, że do końca wojny nie może nic nowego zajść w jakimś tam Kaliszu"*.

Tu przypomnijmy, że sceny z płonącego i bombardowanego Kalisza znalazły prawdziwie dramatyczne odbicie w „Nocach i dniach" Marii Dąbrowskiej, która zresztą na samym początku ostrzeliwania miasta opuściła je wraz z rodziną, oraz w filmie nakręconym na podstawie powieści, w którym jednak niektóre sceny (strzelanie w tłum na rynku) odbiegają od historycznych faktów.

2.

Spokój okazał się złudny, gdyż już w nocy z 3 na 4 sierpnia 1914 r. doszło do strzelaniny. Niemieckie dowództwo obwieściło, że mieszkańcy Kalisza ostrzeliwali niemieckich żołnierzy, co pociągnęło za sobą wśród nich ofiary śmiertelne. W odwet wzięto 20 zakładników spośród znanych obywateli i nałożono na miasto 50 tys. rubli kontrybucji, grożąc w razie niespełnienia żądań rozstrzelaniem zakładników. Tymczasem w kasie miejskiej nie było ani kopiejki, ponieważ wycofujący się pospiesznie Rosjanie spalili lub nakazali spalić pozostającemu na miejscu kasjerowi cały fundusz miejski w wysokości 360 tys. rubli. Za ten czyn kazał podobno Hermann Preusker owego urzędnika rozstrzelać, cała jednak ta sprawa nie wydaje się całkiem jasna.

Mimo wszystko udało się Komitetowi Obywatelskiemu zebrać w terminie żądaną sumę, ale spokój już do miasta nie powrócił. Wojsko niemieckie to wycofywało się z miasta i zaczynało je ostrzeliwać z dział i broni maszynowej (z „mitraliez"), to znów pojawiało się aresztując i rozstrzeliwując bezbronnych mieszkańców. Podczas jednej z kilkugodzinnych nieobecności Niemców wpadł do miasta na chwilę (bodaj 5 sierpnia) rosyjski konny patrol i wycofał się nie zetknąwszy z Niemcami. Niemiecka komendantura nakazała któregoś dnia, by przez noc mieszkańcy stawiali w otwartych oknach świece czy lampy naftowe, innym znów razem zabraniała otwierać okna nawet w dzień i nie zezwalała mieszkańcom opuszczać swoich domów. Zaczynało się odczuwać brak żywności.

Liczne relacje świadków na ten temat zawsze zawierały w sobie pewną dozę sprzeczności, część wspomnień zresztą była opublikowana i stanowi jedyne dziś źródło wiedzy o szczegóło-

10

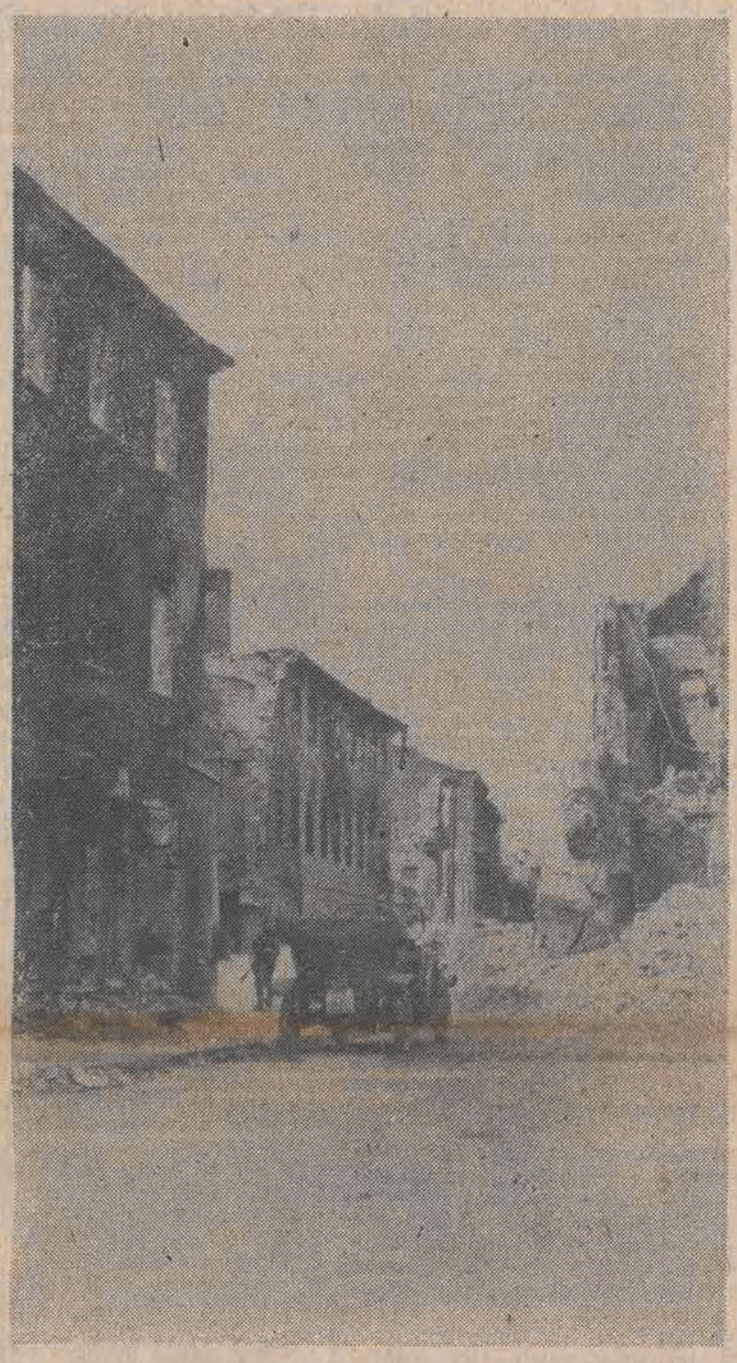

Wybory w Zgromadzeniu Narodowym

## W historii liczyć się będzie tylko sam fakt

MIROSŁAW KULIŚ

1.

Nie upłynęło nawet 5 minut od ogłoszenia przez przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego — Mikołaja Kozakiewicza oficjalnego wyniku głosowania na prezydenta Polski Ludowej, gdy rzecznik opozycji Janusz Onyszkiewicz wyjmował z szarej koperty dwie kartki papieru. Obydwie w niebieskim kolorze z czarnym nadrukiem z lewej strony i jednakowymi podpisami — Lech Wałęsa. To oświadczenie przywódcy „Solidarności" w związku z wyborem Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL oraz pierwszy list do niego.

Zebrani dziennikarze mniej w tym momencie wsłuchiwali się w treść obydwu pism, a bardziej interesowali się, czy są to jedyne oświadczenia, jakie zapobiegliwy laureat Nagrody Nobla przygotował na ten wieczór. Janusz Onyszkiewicz wił się jak piskorz, w końcu przyznał, że politycy opozycyjni byli przekonani, iż kandydatura dotychczasowego przewodniczącego Rady Państwa przejdzie.

— *Jak to* — atakowali dziennikarze — *przecież wystarczyłoby, aby zaledwie jeden poseł zachował się inaczej, a już wynik byłby odmienny. Tak precyzyjnej prognozy nie mógł nikt postawić.*

Zdesperowany rzecznik opozycji przywołał na pamięć postanowienia „okrągłego stołu".

— *Już wówczas przesądzono o tym, kto zostanie prezydentem* — tłumaczył. — *Przyznany koalicji procent miejsc w Zgromadzeniu Narodowym gwarantował wybór ich kandydata. Sami jesteśmy zaskoczeni wynikiem głosowania Świadczy ten wynik o niejednorodności koalicji, o jej rozpadzie.*

Indagowany na ten temat szef Klubu Poselskiego PZPR — Marian Orzechowski wyraził ostrożny optymizm. Jego zdaniem koalicja istotnie nie jest taką, jak przed pół rokiem, ale fakt wybrania Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL skonsoliduje ją ponownie. W każdym razie ma on taką nadzieję.

Bardziej jednoznaczny w ocenie był sam bohater.

— *Koalicja jest taka jaka jest: pluralistyczna* — stwierdził krótko nowo wybrany prezydent, co zabrzmiało jak *„anarchistyczna"*. Wyraził jednocześnie życzenie, by pluralistyczną pozostała i by każde z jej ogniw zachowało tożsamość organizacyjną i polityczną, ale by jednak w sprawach zasadniczych i generalnych koalicja była lojalna w stosunku do siebie.

3

**Adres redakcji:**
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

**Telefony:** redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32 89-70
**Redaktor naczelny:** Lucjusz Włodkowski.
**Zastępca redaktora naczelnego:** Edmund Lewandowski.
**Sekretarz redakcji:** Grażyna Olechnowicz.
**Problematyka literacka:** Henryk Pustkowski.
**Problematyka kulturalna:** Marian Zdrojewski,
**Redaktor techniczny:** Janusz Kozłowski.
**Zespół:** Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
**Grafik:** Janusz Szymański-Glanc.
**Fotoreporter:** Grzegorz Gałasiński.
**Korekta:** Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
**Stale współpracują:** Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32-59-11.
Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36-80-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
**Wydawca:** Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.
**DRUK:** Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
**Warunki prenumeraty:** 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. D-10

# Przegląd prasy

Na ziemiach wschodnich zajętych w 1939 roku przez Związek Radziecki mieszkało 11 mln 600 tys. ludności. W tym było 4 mln 200 tys. Polaków (36 procent). W wyniku działań wojennych na Kresach znalazło się dodatkowo 336 tys. uchodźców z centralnej i zachodniej Polski (198 tys. osób narodowości żydowskiej i 138 tys. narodowości polskiej).

Pierwsza całościowa deportacja Polaków w głąb ZSRR odbyła się już we wrześniu 1939 roku. Podkreśla to docent Artur Kijas w rozmowie z Krystyną Weiss opublikowanej na łamach tygodnika „WYBRZEŻE" (nr 30). Najpierw wywieziono polskich osadników wojskowych, których uznano za element najbardziej niebezpieczny.

*„Byli to żołnierze, uczestnicy wojny z bolszewikami, którzy zamieszkiwali ziemie polsko-litewskie w wyniku zamierzonej akcji osadniczej. Zaczęto ją przeprowadzać w latach dwudziestych, miała na celu wzmocnienie żywiołu polskiego osłabionego w okresie niewoli przez akcje wysiedleń i konfiskat majątków. We wrześniu 1939 roku osadnicy ci, wraz z rodzinami, w sumie 140 tys. osób — zostali wywiezieni do Kazachstanu i na Syberię".*

Następne cztery masowe deportacje ludności polskiej miały miejsce w latach 1940—1941. Kolejno wywożono: 10 lutego 1940 roku — właścicieli przedsiębiorstw, bogatszych chłopów, nauczycieli i pracowników administracji; 13 kwietnia 1940 roku — rodziny osób aresztowanych przez władze radzieckie; w czerwcu i lipcu 1940 r. — uciekinierów szukających na Wschodzie schronienia przed frontem i represjami hitlerowskimi („bieżeńcy"); w czerwcu 1941 r. — inteligentów, kolejarzy, robotników i rzemieślników. Ostatniej deportacji nie można wiązać z napaścią Niemiec na Związek Radziecki, ponieważ nastąpiła przed 22 czerwca 1941 roku i nie miała nic wspólnego z ewakuacją ludności.

*„Oblicza się, że w tych czterech deportacjach wywieziono około półtora miliona Polaków. Z tej liczby 300 tysięcy nie przeżyło zesłania, zginęło z zimna, głodu i chorób. Choroby dziesiątkowały zwłaszcza kobiety i dzieci".*

W przedmowie do książki „Deportacje i przemieszczenia ludności polskiej w głąb ZSRR 1939—1945", która ukazała się właśnie na rynku księgarskim, Tadeusz Walichnowski podaje, że wśród 1 mln 114 tys. cywilnych mieszkańców Kresów wywiezionych podczas czterech akcji deportacyjnych było 703 tys. Polaków, 217 tys. Ukraińców, 83 tys. Żydów, 56 tys. Białorusinów, 35 tys. Poleszuków, 20 tys. Rosjan i Litwinów. Podstawą formalną deportacji był Rozkaz NKWD (Narodnyj Komissariat Wnutriennych Diel) nr 001223 z 11 października 1939 r. wraz z załączoną do niego „Instrukcją o trybie przeprowadzania deportacji antyradzieckiego elementu". W instrukcji zalecano, aby każda akcja odbywała się bez hałasu i paniki, żeby nie dopuścić do żadnych ekscesów. Głowy rodzin zakwalifikowane do aresztowania nakazywano oddzielać dopiero podczas ładowania do wagonów kolejowych.

Bardzo wielu Polaków zamieszkujących zachodnią Ukrainę i Białoruś aresztowano i uwięziono. Część z nich radzieckie władze bezpieczeństwa rozstrzelały jeszcze przed wejściem Niemców. Na dziedzińcu lwowskiego więzienia rykiem silników samochodowych zagłuszano strzały karabinowe i krzyki skazańców. Artur Kijas mówi dalej:

*„Niższe wyroki — w postaci zesłania — ferowano tylko za przestępstwa pospolite, w stosunku do referendum czy za niepodporządkowanie się zarządzeniom władz radzieckich. Tych przypadków było jednak w sumie niewiele. Na Syberii podstawową kategorię stanowili ludzie bez wyroku.*

*Pierwszą kategorią, która poznała Syberię i w sposób nieludzki była traktowana, byli Rosjanie i przedstawiciele innych narodowości, dopiero później Polacy. Polska ludność pracowała w specjalnych koloniach i obozach zamkniętych na terenie północnej republiki Komi, w okręgu archangielskim i w Kazachstanie. W Kazachstanie przypisano ją do miejscowych rodzin. Zamieszkiwano pod jednym dachem, w naprędce sklecanych domach, w koloniach liczących 4—5 tysięcy mieszkańców".*

Kolejne deportacje nastąpiły po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej. Podstawą prawną był dokument podpisany 26 lipca 1944 roku między PKWN a rządem ZSRR. W strefie przyfrontowej cywilna ludność Polski (w tym oficerowie i żołnierze AK) podlegała również jurysdykcji radzieckiej.

*„Na mocy tego dokumentu wiele tysięcy mieszkańców Górnego Śląska i Pomorza zostało aresztowanych i wywiezionych do Związku Radzieckiego, a następnie osądzonych i skazanych. Niektórzy z nich, jeśli żyli, mogli — zwolnieni przez radzieckie władze bezpieczeństwa z powodu braku obciążających dowodów — powrócić do Polski w roku 1947, inni — dopiero w roku 1956. Wiceprzewodniczący KRN Szwalbe oraz premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Osóbka-Morawski zapytywani o ten dokument oświadczyli, że niewiele o nim wiedzieli. Do niedawna nie mówiono o tym, gdyż była to sprawa nad wyraz wstydliwa, że służby NKWD mogły swobodnie działać na terenie Polski i sądzić Polaków we własnym kraju".*

W 1945 roku aresztowano członków Armii Krajowej. W wielu przypadkach ślad po nich zaginął. Zbrodnie te obciążają pewnych ludzi żyjących do dzisiaj. Radzieckie władze bezpieczeństwa musiały przecież współpracować z polskimi. Być może wszystko wyjaśni się, kiedy zostaną otwarte archiwa radzieckie.

W czasie wojny deportowano również rodzinę Wojciecha Jaruzelskiego. Indagowali go w tej sprawie Anna Pawłowska z „TRYBUNY LUDU" (nr 170) i Borys Awierczenko z dziennika „Prawda". Wojciech Jaruzelski odpowiedział następująco:

*„Sądzę, że moje odczucia, kiedy wraz z rodziną znalazłem się w Ałtajskim Kraju, nie różniły się od tych, jakie miały wówczas setki tysięcy moich rodaków deportowanych w głąb ZSRR. Nikomu nie jest łatwo, kiedy wbrew woli znajduje się w obcym kraju, o tysiące kilometrów od ojczyzny.*

*Byłem wtedy młodym chłopcem. Znalazłem się w świecie zupełnie innym niż ten, w którym wyrosłem. Straciłem ojca. Pracowałem ciężko jako robotnik, najdłużej jako drwal. Chłonąłem jednak bardzo żywo wszystko, co mnie otaczało. Stąd też nauczyłem się szanować prostych ludzi radzieckich, doceniać ich wyjątkową wprost ofiarność i zwykłą ludzką życzliwość. Stykałem się oczywiście i z innymi postawami, ale już wówczas czułem, że stalinizm był jak gdyby skorupą, która nie zdołała stłumić ani socjalistycznych wartości, ani narodowych cech Rosjan. Te spostrzeżenia pozwoliły mi ustrzec się przed rozpamiętywaniem krzywdy. (...)*

*Mój dziadek — Wojciech Jaruzelski, po którym i ja noszę to imię — brał udział w polskim powstaniu 1863 roku. Przez dziesięć lat był zesłańcem na dalekiej Syberii. Ale wrócił w ojczyste strony bez wrogości do narodu rosyjskiego".*

## KUROPATY — DROGA ŚMIERCI

W sierpniu 1988 r. drukowaliśmy wstrząsającą relację o masowej zbrodni dokonanej przez NKWD pod Mińskiem. Jeden z autorów artykułu, archeolog białoruski Zenon Poźniak, mówi w wywiadzie opublikowanym na łamach „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" (nr 30), że liczbę rozstrzelanych w Kuropatach oceniono na 150—200 tys. osób minimum i na 500 tysięcy maksimum. Prawda być może znajduje się gdzieś pośrodku. Władze nie pozwoliły ujawnić faktu, że po 1939 roku regularnie zabijano ludność Białorusi Zachodniej. W tekście skreślono informację, że podobne miejsca egzekucji znajdowały się w pobliżu prawie każdego miasta białoruskiego.

*„W ogromnym rowie blisko podmiejskiej wsi Loszyca znajduje się zbiorowa mogiła dziesiątków tysięcy ludzi. Ogromną zbiorową mogiłę znaleziono także o 2 km od Kuropat, w rejonie tzw. Sergejowej Góry. Tu rozstrzeliwano ludzi w 1939 roku".*

Na podstawie współczesnych badań historyków Z. Poźniak i J. Szmygalow oszacowali liczbę ofiar terroru stalinowskiego na Białorusi na 2 miliony osób. Nie mogli jednak tego opublikować. Nie pozwolono im też podać faktu, że pierwsze obozy w Rosji Radzieckiej zostały założone już w 1918 roku. Komitet Centralny usiłował w ogóle nie dopuścić do druku artykułu. Na zebraniu redakcji tygodnika mińskiego „Literatura i Mastactwo" (Literatura i Sztuka) niektórzy mówcy zagrozili, że w przypadku dalszych nacisków ze strony KC, zwrócą się bezpośrednio do XIX konferencji partyjnej.

*„Reakcja ludzi na nasz artykuł naprawdę nas zaskoczyła. W Mińsku robiono w dużych zakładach kserokopie, treść artykułu była dyskutowana wśród młodzieży, inteligencji, robotników. Artykuł w jakimś stopniu poruszył każdą białoruską rodzinę. Naród przemówił. Zrozumiał. Odczuł swój ból. To dobry znak. Świadczy, że naród żyje. (...)*

*Jesteśmy absolutnie pewni wiarygodności podanych do publicznej wiadomości informacji. Teraz już nikt nie jest w stanie zataić prawdy. Fakt masowych rozstrzeliwań z całą pewnością jest udowodniony. Potwierdza go i śledztwo, które w Kuropatach prowadzi prokuratura republikańska. Ja, wspólnie z grupą archeologów Akademii Nauk Białorusi, w przeciągu dwóch tygodni przeprowadziłem badania archeologiczne na miejscu masowych mogił (...) Dwa tygodnie z trupami, dwa tygodnie z przestrzelonymi z „naganów" czaszkami ludzkimi, dwa tygodnie z naszym zakatowanym narodem. Trudno o tym opowiadać. Za dużo wszystkiego, tego człowiek nie może wytrzymać".*

Zdaniem Zenona Poźniaka w rowach kuropackich leżą najlepsi ludzie narodu białoruskiego. Muszą być w tej sprawie jakieś dokumenty. Ci, którzy nie chcą otworzyć archiwów, powinni wziąć na siebie całą odpowiedzialność za zbrodnie ludobójstwa.

## SYTUACJA KATA

Jak to się dzieje, że pewni ludzie wykonują nakazy zabijania? Polecam na ten temat esej Eliasa Canettiego przedrukowany w tygodniku „FORUM" (nr 29). Laureat literackiej Nagrody Nobla z 1981 roku pisze między innymi:

*„Kat, jak każdy poddany rozkazowi, jest sam pod groźbą śmierci. Uwalnia się od tego zagrożenia, gdy sam zabija. Natychmiast przenosi dalej to, czym sam jest zagrożony, i uprzedza sankcję najwyższą, w obliczu której sam się znalazł. Powiedziano mu: musisz zabić i zabija. Nie jest w stanie bronić się przed tego rodzaju rozkazem; otrzymuje go od osoby, której władzę akceptuje. Rozkaz ma być wykonany natychmiast i zazwyczaj jest natychmiast wykonywany. Jest to sytuacja, w której na powstanie ciernia jest zbyt mało czasu. Zresztą to nie tylko kwestia braku czasu. To także kwestia braku przyczyn, kat bowiem przenosi dalej dokładnie to, co mu nakazano. Nie ma się czego obawiać, a zatem nic w nim nie pozostaje. W tym wypadku, i tylko w tym, rozliczenie rozkazu następuje niezwłocznie... Jego wykonalność jest z góry przesądzona: nic nieprzewidzianego nie może się przydarzyć, prawdopodobieństwo ucieczki ofiary jest żadne. Kat od początku jest świadom tych okoliczności. Przyjmuje rozkaz spokojnie i bez podawania w wątpliwość".*

Elias Canetti podkreśla, że ludzie działający na rozkaz zdolni są do najgorszych czynów. A przed sądem wszystkiemu zaprzeczają i rzadko mają świadomość kłamstwa. Czują się całkowicie niewinni.

**E. L.**

# Z różnych stron donoszą

## POCZTOWY SKANDAL

Od naszego wieloletniego współpracownika — **WŁODZIMIERZA KRZEMIŃSKIEGO** otrzymaliśmy kopię listu, jaki skierował do dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Poczty. List ten przyszedł wraz z prośbą o interwencję. Przytaczamy go w całości. Jego lektura — jak się Czytelnik przekona — nie wymaga komentarza. Wymaga natychmiastowych działań, aby w ich wyniku poczta znów stała się pocztą.

Kopię tego listu otrzymał też dyrektor PUPiK „RUCH" w Łodzi — **Alfred Kusiak**. Ale to już zupełnie inna sprawa — sprawa funkcjonowania kiosków „RUCH-u" oczywiście.

A oto treść listu:

**Od ćwierćwiecza jestem stałym współpracownikiem tygodnika „Odgłosy". Pisanie cotygodniowych felietonów wymaga bieżącej lektury co najmniej kilku czasopism. Dlatego, od wielu lat, byłem prenumeratorem prasy, którą poczta doręczała mi do domu. Jestem inwalidą wojennym pierwszej grupy, a moja kondycja od trzech lat nie pozwala mi wychodzić z domu bez osoby towarzyszącej. Doręczanie prasy do domu stało się więc tym ważniejsze.**

**W dniu 19 maja 1989 r. moja żona wpłaciła w Waszym Urzędzie należność za prenumeratę prasy na II półrocze br. Pani przyjmująca opłatę była bardzo uprzejma, sama pomogła wypełnić odpowiednie formularze, przyjęła pieniądze, poleciła napisać na formularzu, że chodzi o doręczanie prasy do domu dla inwalidy wojennego, przy czym wpisano numer mojej legitymacji inwalidzkiej. Nie było przy tym żadnych spraw wątpliwych.**

**Minęło kilkanaście dni od początku półrocza, nie otrzymałem ani jednego egzemplarza z zamówionych przeze mnie pism. Na interwencję w dziale doręczycieli odpowiedziano mi, że wpłaciłem na niewłaściwe konto i dlatego prasy otrzymywać nie będę.**

**12 lipca w tymże dziale powiedziano mi, że pieniądze zostały przelane na właściwe konto, prasy otrzymywać nie będę przez pocztę i że mam interweniować w „Ruchu", a w ogóle po co się denerwuję skoro poczta robiła mi łaskę doręczając prasę.**

**Ponieważ nie chcę, żeby poczta ani ktokolwiek robił mi jakąkolwiek łaskę proszę o załatwienie mojej sprawy zgodnie z zasadami kulturalnego współżycia społecznego, tj. o jak najszybsze nadesłanie mi wszystkich zaległych numerów, a następnie bieżące doręczanie do domu zamówionej prasy. Z poważaniem**

**WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI**

## GDZIE JEST SÓL?

Od dłuższego czasu w sklepach spożywczych w Łodzi brakuje soli. Ludziom mieniącym się handlowcami przypominamy, że najbliższa kopalnia soli znajduje się **w Kłodawie**. Nie jest to daleko. Wystarczy wysłać kilka ciężarówek i w ciągu kilku godzin można Łódź zasypać solą. Tak wydawałoby się — traktując rzecz logicznie — należałoby postąpić. Dlaczego tego się nie robi? Doprawdy trudno zrozumieć.

**WITOLD B.**

## UWAGA! CZYTELNICY!

W numerze, który oddajemy Wam do rąk nie ma obiecanego ciągu dalszego opowieści **Józefa Retmana „Glugla"** i wspomnień **Włodzimierza Skoczylasa** z września 1939 roku. Obiecane kolejne odcinki obu zapowiedzianych materiałów ukażą się za tydzień. Przepraszamy za zwłokę!

**RED. DYŻURNY**

# Szanowni Czytelnicy!

**Z przykrością informujemy, że od przyszłego numeru zmuszeni jesteśmy podnieść cenę „Odgłosów" do 120 złotych za jeden egzemplarz. Jest to skutek ciągłego wzrostu kosztów wydawania prasy. Nie możemy, niestety, ignorować relacji ekonomicznych.**

**Bardzo przepraszamy i liczymy na wyrozumiałość. Ze swej strony uczynimy wszystko, co możliwe, żeby „Odgłosy" były pismem atrakcyjnym, które warto czytać i kupować.**

**REDAKCJA**

# W najbliższych numerach „Odgłosów"

**— To nie uroda dziewczyn w konkursie Miss Polonia jest najważniejsza, lecz pieniądze. Za bilet należało zapłacić 8 tysięcy złotych. Miejsce przy stoliku w hotelu „Gdynia" kosztowało 70 tysięcy. Dziesięcioosobowy stolik wart był więc 700 tysięcy. A sala ma ponad sto stolików — reportaż MIROSŁAWA KULISIA z konkursu i balu.**

**— Sąsiedzi ze starej kamienicy w śródmieściu, gdzie Maria i Jan W. mieszkali od 1976 do 1982 roku, zapamiętali ich jako ciche, spokojne i raczej udane małżeństwo. Jan W. zwłaszcza robił dobre wrażenie. Był pracowity, uczynny, uczciwy. Wszyscy zastanawiali się, kiedy ten człowiek śpi — dokończenie reportażu JÓZEFA RETMANA pt. „Glugla".**

**— Zobaczyłem, co się dzieje na mieście. Rozwalone wozy, zabici ludzie, wybebeszone walizki, połamane wózki dziecięce, zalane krwią padłe konie, przerażone twarze kobiet, strzępki odzieży zwisające z barier mostu tworzyły potworny obraz — kolejny odcinek wspomnień WŁODZIMIERZA SKOCZYLASA.**

**— Rejon przyjazdu Michaiła Gorbaczowa dokładnie obstawiono. A koło Grand Palace roiło się od kłujących bielą rękawiczek policjantów. Paryski szyk. Przez barierki zwisali wycieńczeni upałem turyści amerykańscy. Japończycy strzelali aparatami — korespondencja MARKA BRZEZIŃSKIEGO z Paryża.**

**— Na wesołej Ukrainie wcale nie jest tak wesoło. Chyba że masz bagażnik pełen dżinsowych strojów i masę innych towarów na sprzedaż — relacja DARIUSZA DOROŻYŃSKIEGO z podróży nad Morze Czarne przez ZSRR, Rumunię i Bułgarię.**

**— Moskwa ma swoje obszary patologii społecznej. Cudzoziemców ostrzega się przed zapuszczaniem się nocą w odległe od centrum rejony miasta. Grozi to okradzeniem i pobiciem — korespondencja GRZEGORZA MATUSZAKA z Moskwy.**

ze str. 1

# W historii liczyć się będzie tylko sam fakt

**2.**

Jeśli przyjąć, że wybór prezydenta należy do spraw zasadniczych, to sojusznicy PZPR zawiedli. Na 27 posłów Stronnictwa Demokratycznego 20 głosowało „za", 4 — „nie", 3 — wstrzymało się od głosu. 54 posłów ZSL głosowało „tak", 6 — „nie", 13 — wstrzymało się, a 3 było nieobecnych. Posłowie z PAX, Unii Chrześcijańsko-Społecznej i PZKS — w liczbie 23 — głosowali „za". Z posłów opozycyjnych tylko jeden głosował „za", z posłów PZPR — 171 głosowało „za", jeden „nie" i jeden był nieobecny. 18 posłów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego wstrzymało się od głosu, 7 oddało świadomie nieważne głosy, a 11 było nieobecnych.

Dopiero po ujawnieniu sensacyjnego wręcz wyniku głosowania do wielu posłów i senatorów dotarła cała groza sytuacji. Bogdan Osiński (Stronnictwo Demokratyczne), który wstrzymał się od głosu, powiedział wprost: — *Nie darzę sympatią generała, ale kiedy sobie pomyślę, w jaki impas wpadłaby Polska, gdyby wynik wyboru był negatywny, to dochodzę do wniosku, że chociażby w imię racji stanu powinienem głosować za nim...*

Do podobnych konkluzji dochodzili też inni.

Również „Solidarnościowi" posłowie byli zakłopotani. Jacek Kuroń zwrócił się do Mariana Orzechowskiego z wielce znamiennym zwrotem:

— *Głosowałem przeciw, ale byłem za.*

Andrzej Kern przyznawał, że odetchnął z ulgą, gdyż *„niezależnie od tego czy się komuś osoba Wojciecha Jaruzelskiego podoba, czy też nie, można wreszcie ruszyć do przodu"*. Fatalny zaś stan gospodarki nie pozwala na dalsze umizgi polityczne. Rozsądek i odpowiedzialność za Polskę podpowiadają, że z siodła mogą wylecieć wszyscy sejmowi politycy, jeśli nie spełni się oczekiwań społeczeństwa. Pogarszających się z miesiąca na miesiąc warunków życia mają wszyscy dość.

— Co to za postawa — irytowali się posłowie PZPR. — *Czyż posłowie „Solidarności" myślą, że to zabawa? Jak można głosować przeciw, a mówić, że się jest za. A co by było, gdyby brakło tego jednego głosu? Co mielibyśmy robić my, co robiliby oni? Jak przyjąłby dalsze przeciąganie sprawy naród?*

Jeszcze inni zwracali uwagę na to, że niezależnie od sympatii liczy się racja stanu.

— *Oni jeszcze nie dorośli do naszego poziomu* — mówił gorzko jeden z posłów PZPR prosząc o anonimowość. — *W końcu o nas nikt nie może powiedzieć, że kochamy „Solidarność". Ba, jesteśmy przecież przeciwnikami. A jednak w imię nadrzędnego interesu Polski i Polaków zdecydowaliśmy się na „okrągły stół", na ponowną ich rejestrację, na wprowadzenie ich do Sejmu, na demokratyczną Polskę. Potrafiliśmy przezwyciężyć animozje, oni jeszcze nie w pełni...*

Na temat rozdźwięków w koalicji posłowie PZPR tylko machali rękoma. Prywatnie zaś dodawali, że takie zachowanie należy zaliczyć do infantylnych.

— *Owszem, przez poprzednie lata byli ograniczani, ale z drugiej strony korzystali z przywilejów nomenklatury. Teraz zaś unikają odpowiedzialności...*

Według zdania tej grupy posłów takie np. Stronnictwo Demokratyczne ma właściwie fotele w Sejmie tylko wyłącznie dzięki poparciu PZPR.

— *Czyż w takiej sytuacji powinniśmy z nimi w ogóle współpracować* — pytają. — *Trzeba nam zostawić na boku wątpliwych sojuszników i dogadywać się z „Solidarnością". Niezależnie od tego, co głoszą, są przynajmniej poważni i konsekwentni w tym co robią...*

**3.**

270 głosów „za" Wojciechem Jaruzelskim oznacza w tym kontekście jedno — nowy prezydent, jak i zaproponowany przez niego rząd nie będzie mógł niczego zrobić bez porozumienia się z innym potencjalnym prezydentem PRL — Lechem Wałęsą. Obecna Konstytucja nie przewiduje funkcji wiceprezydenta, ale środowy wieczór w Zgromadzeniu Narodowym zrodził ją w sposób nieformalny. Oś Jaruzelski-Wałęsa staje się od tej chwili najważniejszą i decydującą o wszystkim, co się w Polsce stanie. „Magdalenka" zyskała na znaczeniu i będzie zyskiwać nadal.

Z niektórych oznak sądzić nawet należy, że na takim właśnie układzie zależało opozycji. Jacek Kuroń usłyszawszy o jednopunktowym zwycięstwie Wojciecha Jaruzelskiego wykrzyknął radośnie:

— *Doskonale, o to właśnie chodziło.*

Jeśli przyjąć za prawdziwy taki właśnie cel działań opozycji, to całą grę przeprowadziła po mistrzowsku.

Otoczenie Wojciecha Jaruzelskiego jeszcze w trakcie przebiegu głosowania zwierzało się, że jest pewnych 290 głosów. W tym kontekście ponad dwugodzinna walka o procedurę jawi się jako jeszcze jedna próba rozmiękczania i rozczłonkowywania posłów koalicyjnych. Opozycja była do tego stopnia finezyjna i skuteczna, że omal nie wylała dziecka z kąpielą. Wszystko zawisło na tak cienkim włosku, że szczęśliwe zakończenie wojny o prezydenta graniczy z cudem.

Można to określić jeszcze inaczej. W czasie, gdy PZPR koncentrowała się na wyborze prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego, opozycja wynosiła Lecha Wałęsę do godności „wiceprezydenta". Happy end nastąpił i obydwa ugrupowania opuszczały gmach Sejmu usatysfakcjonowane.

**4.**

Wojciech Jaruzelski był wzruszony. Tuż po zaprzysiężeniu miał łzy w oczach. Znoszone mu kwiaty szarmancko rozdawał paniom ze słowami:

— *Proszę traktować te kwiaty jako bukiet od prezydenta.*

Zwierzył się, że czuje tremę, zwłaszcza gdy przychodzi mu mówić przed kamerami.

— *Nie mogę się tego pozbyć, mimo, iż powinienem być z telewizją już dawno obyty* — mówił.

Do rangi symbolu urośli w tym momencie przedstawiciele telewizji chilijskiej, którzy natarli z pytaniem:

— *Jak pan sobie wyobraża demokrację?*

— *Widział pan na tej sali* — odpowiadał prezydent. — *Panuje tu pełna demokracja.*

Niezależnie od opcji politycznej wszyscy uczestnicy Zgromadzenia Narodowego po wyborach rozpogodzili się i odprężyli. Co rusz dochodziło do łagodnych i w życzliwym tonie utrzymanych połajanek.

— *Panie Kuroń czy pana tendencja wygrała?* — dociekał poseł ZSL z Częstochowy.

— *Tak, cały czas tak mówiłem.*

— *Czyli wygraliście naszymi rękoma.*

— *Nieporozumienie, myśmy ustalili, że będziemy współpracować z prezydentem, którego wy wybierzecie.*

— *Panie Kuroń, przypomnę to panu, z tej trybuny.*

— *Bardzo proszę, bardzo proszę.*

— *To jak pan to określi?* — pytał poseł PZPR. — *Zgromadzenie wybrało prezydenta?*

— *Wybrało Zgromadzenie głosami koalicji. Na tym to polega, że każdy gdzieś należy Idea, że wszyscy mówią jednym głosem i tworzą jedno ugrupowanie, mam nadzieję, nawet dla państwa się skończyła. Radzę jednak, byśmy w te dyskusje nie wchodzili, patrzmy w przód* — wyjaśniał swoje stanowisko jeden z czołowych opozycjonistów.

**5.**

Nierozstrzygniętą już na zawsze zagadką pozostanie pytanie: jaki byłby wynik głosowania tajnego? W sporze o to, czy tajnie czy jawnie zawierały się bowiem dwie kwestie. Pierwsza — to ta widoczna dla wszystkich, a więc związana z zademonstrowaniem wyborcom postawy każdego z posłów, by mogli oni go na spotkaniach i przy następnych wyborach z tego zachowania rozliczyć.

Druga zaś związana była z niejednorodnością zachowania się poszczególnych posłów i senatorów w zależności od przyjętego trybu głosowania. Wiadomo było, że członkowie opozycji w głosowaniu jawnym będą zdecydowanie przeciw. Przy utajnieniu wyborów część z nich, kierując się nadrzędną ideą racji stanu, najprawdopodobniej oddałaby głosy za Wojciechem Jaruzelskim.

Dokładnie odwrotne zjawisko wystąpiłoby po stronie koalicji. Przy tajnym, I sekretarz KC PZPR miałby przeciwników więcej. Dokładny bilans zysków i strat jest niemożliwy do ustalenia. Uporczywe dążenie „Solidarności" do jawności wyborów, mimo że sama kilka tygodni wcześniej wysunęła wariant tajności, oceniano jako niepewność, co do zachowania się znacznej części własnego elektoratu. Uzyskanie, w wyniku tajnej procedury, sporej liczby głosów „za", wzmocniłoby pozycję Wojciecha Jaruzelskiego kosztem Lecha Wałęsy.

Na duże prawdopodobieństwo takiego scenariusza rozwoju wydarzeń wskazuje znaczny dysonans w wypowiedziach dwóch ważnych osobistości opozycji. Adam Michnik zadawał z trybuny sejmowej posłom PZPR pytanie, dlaczego tak się boją jawności głosowania? Odpowiedzi nie uzyskał. Z kolei Janusz Onyszkiewicz przyciskany do muru pytaniem, dlaczego „Solidarności" tak bardzo zależało na jawności wyborów, także wymigał się od odpowiedzi.

Interesujące jest też, czy obydwie strony miały przygotowane scenariusze na wypadek przegranej Wojciecha Jaruzelskiego. Dziennikarzom nie udało się uzyskać żadnych wyjaśnień na ten temat. Pewnej wskazówki udzielać tu może jedynie treść rozdawanych posłom i senatorom kart do głosowania. Oprócz numeru, nazwiska i imienia oraz rubryki *„za, przeciw, wstrzymuję się"*, widniała na niej wielka czarna cyfra *„jeden"*. A zatem najprawdopodobniej doszłoby do drugiej tury, w dalszym ciągu z Wojciechem Jaruzelskim jako jedynym kandydatem. Czy byłoby to jednak związane z jakimś nowym kontraktem politycznym, nowymi uzgodnieniami, żądaniami i warunkami, tego już nie wiadomo.

**6.**

Z pewnością zamieszanie zrobiłoby się potężne. W jednym tylko 76-osobowym klubie ZSL współistnieją obok siebie trzy nurty. Pierwszy — grupujący około dwudziestki posłów nazywany jest „legalistycznym", uważający, że owszem należy w dalszej perspektywie odciąć się od PZPR, ale póki co, przy dzisiejszej konstrukcji parlamentu, trzeba dochować wierności przyjętym wcześniej ustaleniom. Drugi — oceniany na podobną mniej więcej wielkość to tzw. PSL-owcy. Posłowie ci opowiadają się za jak najszybszym odwołaniem się do programu i ideologii tamtej partii i prowadzeniem konsekwentnie tej polityki, nie oglądając się ani na PZPR, ani na „Solidarność". Jest to koncepcja przekształcenia ZSL w trzecią siłę polityczną równorzędną do pozostałych. Trzeci — około piętnastu członków klubu uzyskało w kuluarowych rozmowach etykietkę „solidarnościowców". Proponują oni zbliżenie z „Solidarnością" rolniczą i utworzenie na tej bazie odrębnej frakcji parlamentarnej.

W przypadku impasu w wyborach prezydenckich, każda z tych grup miałaby na oku inne cele. Każda formowałaby inne propozycje i pomysły rozwiązania zaistniałego kryzysu. A przecież przedstawiony podział w łonie klubu ZSL wydaje się najbardziej klarowny i wyraźny. W pozostałych klubach proces różnicowania się posłów nie zaszedł jeszcze tak daleko. Wynikający stąd galimatias byłby zatem jeszcze większy.

Najtrudniej pewnie byłoby ustalić jedną linię w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym, gdzie jak dotąd przy każdej niemal sprawie powstaje najwięcej pomysłów. Oznacza to dużą polaryzację poglądów w tym klubie, wzmacnianą dodatkowo sporą liczbą silnych i barwnych indywidualności politycznych. Opozycja jest niewątpliwie zjednoczona ideą demokracji w Polsce, ale różni się co do taktyki. Świadczą o tym chociażby zażarte spory prowadzone wokół koncepcji Adama Michnika: „wasz prezydent, nasz premier".

Koalicja jakby resztkami sił uzyskała korzystny dla Wojciecha Jaruzelskiego wynik. Nieobliczalność życia politycznego w Polsce 1989 roku każe jeszcze zapytać, co by się stało, gdyby w ogóle nie była w stanie pozbierać się przy obojętnie jakim kandydacie zgłoszonym przez PZPR? Czy wówczas szansę uzyskałby przedstawiciel ZSL lub SD? A może posłowie PZPR doszliby do wniosku, że z tymi partiami w ogóle nie warto się już układać i za cenę jakiegoś kolejnego układu typu „okrągły stół" należałoby poprzeć Lecha Wałęsę do tej godności?

W demokracji liczy się wynik i tylko to. Za 10 lat będziemy wspominać — w lipcu 1989 roku prezydentem został Wojciech Jaruzelski. I nic więcej. O tym jednym decydującym głosie (czy też jak chcą inni o połowie głosu) zapomnimy. To już teraz nie ma znaczenia.

**MIROSŁAW KULIŚ**

*Fot. Grzegorz Gałasiński*

Z tej ziemi.

# Tylko kilka tez

**29.07.1989.**

Zebraliśmy się w czwartek, 27 lipca 1989 roku. Pomysł rzucił **Edmund Tulko**, ale sam się później nie zgłosił. Zaprosiliśmy prawie 20 osób, stawiło się 10. Reszta na urlopie, bądź nie wyraziła zainteresowania spotkaniem. Stawili się dziennikarze, politolodzy, działacze partyjni, pracownicy aparatu partyjnego. Udział w dyskusji wzięli: **Zbigniew Antoszewski, Marek Bartosik, Bogdan Felisiak, Eunice Indelak, Ryszard Kwiatkowski, Edmund Lewandowski, Andrzej Pasowski, Leszek Rudnicki, Karol J. Stryjski** i niżej podpisany. Z przebiegu dyskusji na temat przyszłości PZPR można sformułować kilka tez, co do których w większości zgadzano się, choć poglądy były różne a dyskusja interesująca. Oto te tezy.

1. PZPR z hegemona, co zostało zapisane w Konstytucji PRL, stała się jedną z partii politycznych, mającą swoją reprezentację w Sejmie PRL. Taki istnieje obecnie układ sił politycznych, taka jest realna rzeczywistość. Zdaniem **Marka Bartosika,** dzieje partii państwowej i państwa partyjnego zakończyły się na X Plenum KC PZPR. Z tego okresu partia wyszła pozbawiona młodzieży. Średni wiek członków partii wynosi 50 lat. Wniosek stąd jest prosty: partia swój program musi adresować nie do ludzi średniego wieku, a do ludzi młodych, którzy dzięki atrakcyjnemu dla nich programowi przyjdą do partii i będą ją kształtowali w przyszłości.

2. Państwo staje się policentryczne. Konsekwencją tego powinien być policentryzm partii, a więc jej wielonurtowość. Jej ogniwa powinny mieć prawo do zawierania terytorialnych i środowiskowych aliansów. Ogniwa partii w realizacji swoich celów taktycznych i strategicznych powinny być w pełni autonomiczne. Partia powinna rozwijać się również w strukturach pozakomitetowych: środowiskowych, poziomych i innych w zależności od potrzeb i specyfiki. Już obecnie kształtują się w partii dwa ośrodki polityczne: Komitet Centralny PZPR i Klub Poselski PZPR. W systemie demokracji parlamentarnej KC PZPR powinien wspierać polityczną działalność Klubu Poselskiego PZPR. W toku działalności Klubu Poselskiego PZPR mogą i powinni wyłonić się nowi liderzy partii.

3. Sytuacja PZPR na zewnątrz jest dziś znacznie lepsza niż sytuacja wewnętrzna. Tezę tę sformułował **Karol J. Stryjski. Eunice Indelak** uzupełniła ją poglądem, że w systemie politycznym, jaki się obecnie kształtuje jest miejsce dla partii, ale nie ma jak tego miejsca wypełnić. Struktura organizacyjna PZPR nie jest przystosowana do elastycznego działania według pojawiających się potrzeb. Na przykład najbliższym celem są wybory do samorządu terytorialnego róznego szczebla. Partia do tych wyborów nie jest dziś przygotowana ani organizacyjnie, ani merytorycznie.

4. Skoro partia straciła swoją rolę hegemona, skoro stała się jedną z partii politycznych, to również inna musi być struktura PZPR. Struktura ta nie powinna dublować struktury państwowej. Partia — jak powiada **Marek Bartosik** — zajmuje się polityką, rząd sprawuje rządy, gospodarka rozwija się wedle twardych praw ekonomicznych. W tej sytuacji musi paść pytanie, czy w zakładzie pracy mają być obecne wszystkie organizacje polityczne i społeczne, czy też mają one znaleźć się poza zakładem pracy — w środowisku, miejscu zamieszkania, dzielnicy, w mieście, gminie, we wsi? Kierunek rozwoju życia politycznego w kraju wskazuje, że działalność polityczna będzie dokonywała się poza miejscem pracy. Konsekwentne zreformowanie gospodarki musi doprowadzić do całkowitego rozdziału ekonomiki i polityki. dlatego tak istotnym staje się przeobrażenie struktury organizacyjnej PZPR, aby partia mogła nadal spełniać swoją rolę polityczną, realizować swoje cele polityczne również w środowisku robotniczym, nie ingerując w sprawy ekonomiczne.

5. PZPR grozi rozpad. Ma temu przeciwdziałać XIII Plenum KC PZPR. (Gdy piszę niniejsze sprawozdanie nie są jeszcze znane rezultaty tego Plenum KC). Zasadnicze decyzje podejmie jednak dopiero XI Zjazd PZPR, który ma być normalnym zjazdem, ale który ma odbyć się w terminie wcześniejszym. Do czasu XI Zjazdu PZPR partia musi być wielonurtowa. Wewnętrzne nurty w PZPR muszą być wobec siebie tolerancyjne. Musi obowiązywać całkowita swoboda dyskusji w PZPR. Organizacje partyjne muszą szukać nowych rozwiązań politycznych, nowych form pracy, inaczej budować wewnętrzne więzy.

Rozpad partii w chwili obecnej — ostrzegał przed tym **Marek Bartosik** — pozbawiłby mandatu partyjnego członków Klubu Poselskiego PZPR. Byłby to błąd niewybaczalny. **Leszek Rudnicki** zwrócił uwagę na fakt, że „Solidarność" również jest brzemienna w różne siły polityczne, ale robi wszystko, aby zachować jedność, będąc jednocześnie ruchem wielonurtowym politycznie. Powinniśmy zatem być zwolennikami ewolucji tak w życiu politycznym kraju, jak w wewnętrznych przeobrażeniach w PZPR. Ewolucyjny proces przeobrażeń daje szansę zachowania wszystkiego, co w przeszłości było dobre, przy jednoczesnym odrzuceniu wszystkiego, co było złe i zastąpieniu tego nowymi i nowoczesnymi rozwiązaniami. I taką drogę powinniśmy wybrać.

6. Przygotowania do XI Zjazdu PZPR powinny odbywać się w sposób niesformalizowany, siłami społecznymi PZPR a nie siłami aparatu. **Bogdan Felisiak** zwrócił uwagę, że zegar PZPR idzie później niż inne zegary polityczne czy społeczne. Nie można zatem spóźniać się w przygotowaniach do XI Zjazdu PZPR. Tego zjazdu nie mogą przygotowywać ludzie „zaufani", ludzie posłuszni, którzy nie „urodzą" żadnego nowego pomysłu, mogą tylko powtórzyć wiernie to, co im zalecono i polecono. Zjazd powinni przygotowywać ludzie poszukujący, niespokojni, pełni inicjatywy i poczucia odpowiedzialności, którym na sercu leży dobro Polski.

**Edmund Lewandowski** nie bez słuszności podkreślił, że nam nie powinno chodzić tylko o ratowanie partii, ale przede wszystkim o ratowanie Polski. W tym dziele partia, która powinna zmienić swą nazwę na Polski Ruch Socjalistyczny i wewnętrznie się przeobrazić, powinna współdziałać z „Solidarnością", jeśli bowiem tak partia, jak i „Solidarność" tego nie uczynią, to mogą się znaleźć wobec „nowej opozycji", z którą nie będzie żadnej płaszczyzny do dyskusji.

**7. Co robić w Łodzi?** Niejako na marginesie dyskusji o partii, ale przecież w nurcie tej dyskusji, a jedynie jako wyraz poszukiwania konkretnych rozwiązań, poruszono dwie sprawy łódzkie.

**Sprawa pierwsza. Leszek Rudnicki** wystąpił z propozycją innego — na zasadzie eksperymentu, bo przepisy tak nie stanowią — wybrania prezydenta miasta. Jego zdaniem powinny to być wybory powszechne w ramach łódzkiego województwa miejskiego. Należałoby ujawnić nazwiska kandydatów, postarać się o polityczną aprobatę dla tych kandydatur i przystąpić do wyborów. Sądzę, że jak się będzie chciało, to można będzie pokonać wszelkie formalne przeszkody, ale wątpię, czy komuś będzie się chciało.

**Sprawa druga.** Wystąpił z nią **Karol J. Stryjski.** Jego zdaniem — choć jest to też sprzeczne z przepisami — członkowie KC PZPR z Łodzi i województwa powinni po XIII Plenum KC PZPR zażądać zwołania KŁ PZPR, na którym wystąpić z żądaniem dokonania zmian w kierownictwie łódzkiej organizacji partyjnej. W obradach KŁ PZPR powinni też wziąć udział członkowie partii spoza składu KŁ PZPR.

W oparciu o powyższe tezy chcemy sformułować tekst, który mógłby być przedmiotem dyskusji w szerszym gronie. O tym, co będzie się działo dalej — poinformujemy.

**ŁUCJUSZ WŁODKOWSKI**

ze str. 1

no się już w 1983 r., a że pieniędzy było nadal za mało, to zdecydowano się na działania prowadzone własnymi siłami. Po kilku latach grzebaniny dotacje się skończyły. Inflacja pożarła „wdowi grosz", własne siły zamieniły się w bezsilność.

Wprawdzie na zamkowym murze nadal dumnie widniał szyld biało-czerwony, obwieszczający, że tu mieści się gminny ośrodek kultury, ale naczelnik musiał zdecydować, że remontu nadszedł kres. Po kolejnych kilku miesiącach zasiadł w towarzystwie Gminnej Rady Narodowej i zaproponował, że da ogłoszenie do prasy. Zaakceptowali. Ukazał się anons prasowy, z wdzięcznie brzmiącym zapisem: *naczelnik gminy sprzeda zamek.*

Z końcem wiosny tego roku w Sierakowie zaczęli pojawiać się ludzie z różnych stron Polski. Popatrywali, podpytywali i odjeżdżali. Najpoważniejszym kontrahentem zdawali się górnicy z gliwickiego „gwarectwa", bo choć górnictwo węglowe jest deficytowe, to górnicze struktury mają akurat najwięcej pieniędzy na kluby sportowe czy budowę ośrodków wczasowych — i chcieli zamienić zamek we własną „bazę socjalną". Do naczelnika pofatygowała się też p. Kazimiera Prasoł z pobliskiego Katowicom Mikołowa, pracownik służby zdrowia z uprawnieniami do prowadzenia działalności gastronomicznej.

Wtedy zawrzało. Ci z Sierakowa ze złością patrzyli w stronę Ciasnej. Naczelnik postanowił jednak wytrwać przy swoim, gdy zadzwoniłem z Łodzi, po drugiej stronie łączy telefonicznych usłyszałem:

— *Mogę wpisać pana tylko na listę rezerwową. Dużych szans nie daję...*

### Przyjacielskie turnieje

W zawierusze administracyjnych reorganizacji Sieraków pozbawiony został rangi gromadzkiej, a oddalona o sześć kilometrów Ciasna (12 km od miasta Lubieniec) awansowała do roli gminnej. Ciasną teraz zamieszkuje 2 tys. osób, gdy Sieraków 1,6 tys. mieszkańców. Przed kilkunastu laty proporcje były inne.

Śladem po dawnej przewadze w lokalnych rozrachunkach pozostaje stacja benzynowa, którą ma Sieraków, a taka wiejska stacja, to dziś nie jest rzecz powszechna. Przy tej stacji ciągniki czekają na paliwo, a traktorzystów bierze złość, że ktoś ich pyta o sprzedaż zarobku:

— *Własnością państwową naczelnik nie będzie nam handlował.*

— *Tak jak wokół państwowe niszczało, to zamiast zadbać, nasze wspólne będą teraz sprzedawać. Śmiechu warte takie sposoby robienia interesów: władza niszczy i jeszcze zarabia.*

Trudno rozstrzygnąć, czy tradycja ciągle jest żywa, czy rolnicy nasłuchali się transmisji z obrad „okrągłego stołu", czy ulegają wpływom rolniczej „Solidarności", ale powiadają, że chcą mieć wójta za władzę, a nie naczelnika.

— *Prestiż władzy państwowej tak podupadł* — żali się naczelnik — *że każda decyzja, jaka by nie była, nie wzbudzi uznania... Pewnie, wstyd się przyznać, że można było dopuścić do takiej dewastacji, ale przecież robił człowiek co mógł, a mógł za mało.*

# Naczelnik gminy sprzedał... zamek

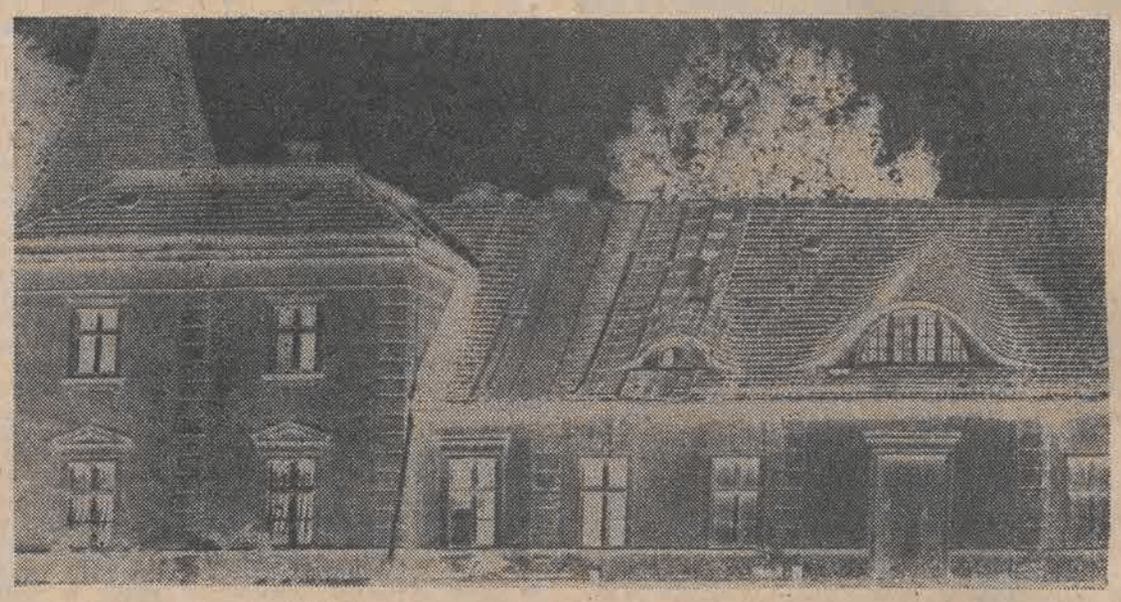

No nie tak mało. Z. Magdziar naczelnikuje od 1979 r. Doprowadził do wybudowania hali sportowej w Ciasnej i hotelu. Gdzie są wioski, które mogą się pochwalić takimi obiektami, które na dodatek zarabiają na siebie.

Na spotkaniach w Sierakowie obiecywał, że pieniądze za zamek pozostaną na miejscu. Ciasna po te złotówki nie sięgnie. Będą środki na rozpoczęcie budowy hali sportowej w Sierakowie. Zlikwidowana zostanie wieloletnia prowizorka zapewniająca elektryczność części wsi. Sami wybiorą. Kiedy i co.

Większości nie trafia to do przekonania.

— *To jest wspólne, dopóki nie będzie środków na remont może stać, jako symbol niegospodarności państwowej* — powtarzają przy stacji benzynowej słowa, które naczelnikowi są znane z zebrań wiejskich.

A naczelnik jest zadowolony z tego, co zrobił dla Ciasnej. Nawet budownictwo mieszkaniowe jakoś tu stoi. Dla Urzędu Gminy powstanie nowy budynek. Do dotychczasowej siedziby administracji gminnej przeniesie się dom kultury. Rusza budowa przychodni wiejskiej. Sieraków na świetności gminy też nie traci.

— *Człowiek działa w określonych warunkach, a ludzie tego nie dostrzegają* — powiada naczelnik.

Zadawnione spory o pierwszeństwo próbował łagodzić. Między Ciasną i Sierakowem organizowane są turnieje. Dla dwóch wsi — na wzór turnieju miast, znanego z telewizji. Wyzwolenie emocji przez sportową rywalizację.

Po turniejach bywało różnie. Zdarzały się drobne incydenty, jak to na wsi, ale sytuacja nie odbiegała od normy. Dopiero teraz z powodu zamku, emocje nie mieszczą się w turniejowych szrankach.

### Państwowe na sprzedaż

Naczelnik podpisał właśnie umowę wstępną z Kazimierą Prasoł. Zamek ma stać się zajazdem, a przyszła właścicielka na własny koszt przeprowadzi remont, spełniając wymogi określone przez konserwatora zabytków.

Za ile sprzedany zostanie zamek?

W Urzędzie Gminy dowodzą, że mógłby być przekazany za darmo. Ale urząd chce znaleźć pieniądze na cele gminne. Gmina ma dziewięć sołectw i co roku sto milionów do podzielenia. Chude złotówki, wobec grubych potrzeb. Cenę wywoławczą ustalono na 80—90 mln zł i pewnie trochę opuszczą, byleby szybciej sfinalizować transakcję i aby nowa właścicielka miała pieniądze na remont. Im szybciej skończy remont, tym szybciej do kasy gminnej wpływać będą podatki.

Kłopotliwe okazuje się pytanie o to, ile rzeczywiście wart jest zamek myśliwski. Okazuje się bowiem, że były dwie ekspertyzy. Pierwszą sporządziła spółka „Samex" z Bytomia, podając sumę 170 mln zł. Nie zadowoliło to Urzędu Gminnego, który sięgnął po opinię biegłego (reprezentującego interesy nabywcy!) uzyskując wycenę w kwocie 80—90 mln zł, co zadowoliło urząd, gdyż stworzyło szansę zawarcia transakcji.

Przedwojennych właścicieli o zdanie nikt nie pytał, bo i ślad po nich zaginął. W jednej wersji byli to Niemcy, którzy wyjechali po wojnie na Zachód, według innej — spolszczeni Niemcy, którzy musieli wyjechać. Podobno w tej sprawie grzebać się nie warto, bo prawdy się już nie dojdzie.

Dziś najważniejsze jest, aby własność ogólnospołeczną, którą dysponuje administracja państwowa, sprzedać w ręce prywatne. Państwo nie ma na utrzymanie tego, co państwowe. W miastach, za akceptacją ministrów, dokonywane są dziwne transakcje dotyczące przedsiębiorstw państwowych, więc w częstochowskiej gminie nie pozostali w tyle.

Naczelnik nie spodziewa się, że cofniemy się z tej drogi, znów sięgając po upaństwowienia; a może kiedyś znów zdecydujemy się na sprzedaż „państwowego". Nowa właścicielka też się tego nie obawia.

Dyrektor zamkowego, wiejskiego domu kultury w Sierakowie nie był lubiany. Miejscowi już dawno chcieli, aby naczelnik go wyrzucił. Jak ogłoszono o sprzedaży zamku, to się na to zdecydowano. Urząd rozwiązał umowę o pracy, ale za porozumieniem stron. Może to złagodzi pretensje sierakowian, którzy dotąd pozostawali w swym uporze twierdząc, że jak raz władza dała, to odebrać nie może.

ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

Ozorków: Dlaczego postępowano niezgodnie z prawem?

# Sąd orzekł, ale nie ma kto wykonać

ZOFIA KĘDZIORA

W uzasadnieniu wyroku **Sądu Rejonowego w Zgierzu** znalazło się takie zdanie:

„W sprawie zameldowania pozwanych interweniował telefonicznie prezydent miasta Łodzi, który jest kolegą szkolnym pozwanego".

Oto dlaczego wbrew woli właścicielki willi przy ulicy Liściastej w Ozorkowie pan S. został w niej zameldowany.

**Zastępca naczelnika Urzędu Miasta w Ozorkowie,** Urzędu w którym owego niefortunnego zameldowania dokonano, nie potrafił wyjaśnić, dlaczego w uzasadnieniu wyroku mogło znaleźć się takie zdanie.

Pan S. twierdzi, że to nieprawda. Owszem, są z prezydentem dobrymi kolegami, ale nie było takiej interwencji.

**1.**

W końcu kwietnia 1987 roku w jednej z łódzkich gazet ukazało się ogłoszenie:

**„Wynajmę część willi"** oraz numer telefonu, pod którym na oferty właścicielka czekała.

Ofert było kilka. Najodpowiedniejsza wydała się propozycja pana S., który wyraził chęć wykorzystania wynajętego lokalu na prowadzenie tam prywatnego biura projektów. Przedstawił się jako zastępca dyrektora. Roztoczył śmiałą wizję nowoczesnego, skomputeryzowanego biura. Twierdził, że w budynku zamieszka jedna starsza osoba celem pilnowania komputerów. On sam zaś miał pracować nadal w Łodzi, gdzie zmieszkiwał w hotelu robotniczym. Mówił również, że jest w separacji z żoną.

2 maja 1987 roku zawarta została umowa między panem S. i panią Z. Umowa dotyczyła piętrowego budynku znajdującego się w posesji **przy ulicy Liściastej w Ozorkowie.** Część lokalu do wynajęcia składała się z czterech izb o łącznej powierzchni 57 m kw. wraz z garażem oraz budynkiem gospodarczym. Umowa zawarta została na pięć lat.

**2.**

W sierpniu 1987 roku pani Z. wyjechała z dziećmi do Bułgarii, A gdy po miesiącu wróciła zastała domek zagospodarowany, tyle że nie na potrzeby biura projektów.

— Zaraz po powrocie pojechałam na Liściastą — **opowiada pani Z.** — Ciekawa byłam jak posunęły się prace. Najpierw zaskoczyły mnie firanki we wszystkich oknach, a szczególnie na piętrze, bo zgodnie z naszymi ustaleniami, na górę ja miałam się wprowadzić. Okazało się, że pan S. zajął cały dom, wprowadził się z żoną, czworgiem dzieci i rodzicami. Razem zamieszkało tam osiem osób.

Nie zostałam — **kontynuuje pani Z.** — wtedy nawet wpuszczona do środka. Pan S. oświadczył mi, że wynajął dom na pięć lat lat i może robić co chce. Byłam zrozpaczona!

Pani Z. zdecydowała się na wypowiedzenie umowy. Nastąpiło to zgodnie z punktem 8 wcześniej zawartej umowy, który przewidywał, iż może być ona rozwiązana przez którąś ze stron w razie niedotrzymania jej warunków. Umowa została wypowiedziana **21 września 1987 roku.** Następnego dnia — **22 września 1987 roku biuro meldunkowe Urzędu Miasta w Ozorkowie stosowną pieczęcią na dokumencie wypowiedzenia potwierdziło, że zostało o fakcie wypowiedzenia poinformowane.**

10 listopada 1987 roku pani Z. złożyła **w Sądzie Rejonowym w Zgierzu** pozew o nakazanie eksmisji. I gdy w sądzie toczyła się już sprawa o eksmisję pan S. został zameldowany wraz z całą rodziną na pobyt stały w willi przy ulicy Liściastej. Nawet mimo tego, że pani Z. **złożyła w Urzędzie Miasta w Ozorkowie zastrzeżenia,** że jako właścicielka 1/2 nieruchomości nie zgadza się na zameldowanie.

Dlaczego połowy nieruchomości? Bo to należy do niej bezspornie, a druga połowa należała do byłego męża pani Z. i przeszła na Skarb Państwa. Pani Z. wystąpiła do **Sądu Rejonowego w Zgierzu** o zniesienie współwłasności i w tym samym mniej więcej czasie postępowanie zakończyło się prawomocnym postanowieniem, które **przyznało pani Z. prawo własności do całej nieruchomości.** Tym samym uzyskała prawo pierwowykupu drugiej połowy nieruchomości, co zamierza uczynić. Ale w czasie zgłaszania zastrzeżenia o zameldowanie była właścicielką połowy willi. To tyle gwoli ścisłości.

**Wyjaśnienie Urzędu Miasta w Ozorkowie** w sprawie zameldowania było następujące:

— Musieliśmy zameldować pana S. ze względu na zbliżające się referendum, bo wtedy wszystkie sprawy związane z meldunkami musiały być załatwione. Poza tym dzieci pana S. nie zameldowane nie mogły wypełniać obowiązku szkolnego, była jeszcze sprawa opału. Poza tym o toczącej się sprawie w sądzie pani Z. nas nie poinformowała. Złożyła wprawdzie u nas zastrzeżenie, **ale 21 listopada 1987 r.,** podczas gdy naczelnik Ozorkowa podjął decyzję o zameldowaniu 20 listopada 1987 roku.

— To nieprawda — powiedziała na to pani Z.

**Rozłożyła przede mną dokument. Dokument jak się patrzy, jest i znaczek skarbowy i pieczątka Urzędu Miejskiego w Ozorkowie z podpisem potwierdzającym przyjęcie i data — 20 listopada 1987 roku.**

**3.**

Pan S. nie uważa się za złego lokatora, wręcz przeciwnie. Wiele mówił o dużych inwestycjach, jakie poczynił na rzecz domu.

— Jak tylko podpisałem umowę — **twierdził** — ciągle musiałem sięgać do portfela. Podłoża, tynki, centralne, woda, urządzenia sanitarne w łazience. Dlaczego pani Z. jest niezadowolona z takiego lokatora jak ja? Ano proste, jak zobaczyła, ile zostało zrobione, to pasowało jej zerwać umowę.

Pan S. nie chce pamiętać — **wyjaśniła pani Z.** — że sam zobowiązał się w umowie, że wykończy roboty hydrauliczne, założy urządzenia sanitarne, glazurę. Zresztą za wiele z tych materiałów ja sama płaciłam. Po wygaśnięciu umowy nie będzie demontował żadnych urządzeń sanitarnych i budowlanych. Za to, że zostaną wykonane takie prace umówiliśmy się, że czynsz wyniesie tylko 20 tysięcy miesięcznie. Rzeczywiście zaraz po podpisaniu umowy razem z panem S. załatwialiśmy fachowców do prac, które były do wykonania. Ponieważ miałam tam również zamieszkać, część materiałów budowlanych kupiłam na własny koszt.

Pan S. mówi — **kontynuuje pani Z.** — że tak dużo zainwestował w dom, ale pewnie nie wspomniał, że wiele prac wykonał już w momencie, gdy rozwiązałam z nim umowę, aby mieć dodatkowe argumenty w toczącej się sprawie o eksmisję. O na przykład boazerię zrobił dopiero wiosną 1988 roku. Nie płaci mi już od lutego 1988 roku, a do środka nie wpuszcza od ośmiu miesięcy.

— Pani Z. — **wzruszył ramionami pan S.** — a po co ona tutaj, ona nie ma tu nic swojego. Z panią Z. zawarłem umowę na 5 lat, do 1992 roku i gdzie mam się wyprowadzić? Dlaczego zająłem cały domek (115 m²), podczas gdy umowa przewiduje wynajęcie tylko jego części — 57 m²? Nie przeczę, że tego nie ma w umowie, ale umawialiśmy się z panią Z., że zapiszemy tylko 57 m kw., żeby mogła zameldować tam syna, gdy uzyska on pełnoletność, ale faktycznie ja będę mógł użytkować całość. Choć rzeczywiście nie przeczę, tego nie ma w umowie.

Ale w innej kwestii, gdy zapytany dlaczego dotychczas jak obiecywał, nie uruchomił biura projektów, pan S. użył argumentu dokładnie odwrotnego: — a gdzie jest to zapisane w umowie, że miało powstać tam biuro projektów?

**„Znamienne jest** — czytamy w uzasadnieniu wyroku Sądu Rejonowego w Zgierzu — **że pozwany S. nie dotrzymał warunków umowy, skoro wynajął lokal jako użytkowy do celów prowadzenia biura projektów, gdy tymczasem do chwili obecnej biura takiego nie otworzył, a faktycznie zamieszkał w całym budynku i do tego z liczną rodziną sprowadzoną z innej miejscowości. Sprowadzenie się do nieruchomości 8-osobowej rodziny nie może pozostawać bez skutków na sytuację faktyczną powódki, która miała tam zamieszkać na piętrze budynku (...), co ostatecznie przyznał sam pozwany w swoich zeznaniach. Do tego okoliczności podniesione przez powódkę potwierdził świadek A.J. Brak podstaw, by temu świadkowi odmówić wiary skoro zgłoszony został przez pozwanego właśnie, a okoliczności, że pozwany miał prowadzić biuro projektów z komputerami nie kwestionuje on sam, a potwierdzają w zasadzie wszyscy jego świadkowie".**

W innym miejscu przeczytać można: *(...) Sąd nie dał wiary wyjaśnieniom i zeznaniom pozwanego, jakoby wynajął on cały budynek, że mieli tam zamieszkać członkowie jego rodziny (...), że wszystkie nakłady czynił za wiedzą i zgodą powódki. Należy zauważyć, że stanowisko powódki jest w tym przedmiocie od początku konsekwentne i potwierdzone zostało zeznaniami powołanych w stanie faktycznym świadków, a także częściowo zeznaniami samego pozwanego przesłuchanego w charakterze strony.*

W toczącej się sprawie o eksmisję **Sąd Rejonowy w Zgierzu** stanął po stronie pani Z. Wyrokiem z **30 listopada 1988 roku** nakazał pozwanemu S opróżnienie wraz z całą rodziną lokalu mieszkalnego, położonego w Ozorkowie przy ulicy Liściastej. **Prawomocność wyroku podtrzymał również Sąd Wojewódzki w Łodzi.**

Okazało się również, że zgoda właściciela jest niezbędna, aby zameldować mu lokatora, bo po interwencjach pani Z. w **Ministerstwie Spraw Wewnętrznych,** kiedy stwierdzono naruszenie przepisów meldunkowych, **Urząd Miasta Ozorkowa orzekł uchylenie czynności materialno-technicznej polegającej na zameldowaniu pana S. wraz z rodziną.**

W uzasadnieniu do tej decyzji przeczytać można: **„budynek, który zajmuje S. z rodziną stanowi własność prywatną ob. Z. Do zameldowania się w w/w lokalu wymagane jest zgoda najemcy wyrażona w formie potwierdzenia uprawnień do przebywania w danym lokalu oraz potwierdzenie pobytu do przebywania w nim. W chwili dokonywania zameldowania Urząd został wprowadzony w błąd, co do spełnienia przesłanek warunkujących takie zameldowanie (...) Od niniejszej decyzji przysługuje prawo odwołania do dyrektora Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Miasta Łodzi".**

Dyrektor tego wydziału utrzymał jednak w mocy zaskarżoną decyzję i uznał tę decyzję za ostateczną. Opatrzona została datą: **29.05.1989 rok.**

Mogłoby wydawać się, że sprawa już załatwiona. Właścicielka ma w ręku dokumenty dające całkowite prawo do domu. Ale jak nie mogła dostać się do środka, tak nadal nie może.

Pan S. twierdzi, że po prostu... boi się wpuścić panią Z. Opowiada jak już kiedyś zdarzyło się, że wtargnęła razem z jednym milicjantem i zdemolowała meble zrzucając je ze schodów, tak, że zmuszony został zwrócić się o zadośćuczynienie do **Sądu Rejonowego w Zgierzu.**

— Moje próby dostania się do środka — **powiedziała pani Z.** — ostudzane są przez obecnych lokatorów wyzwiskami lub niedwuznacznym ostrzegawczym „metalem" w dłoni.

Zapytałam w **Urzędzie Miasta Ozorkowa,** czy w związku z faktem, że Sąd nakazał eksmisję i jest decyzja o cofnięciu zameldowania **Urząd Miasta Ozorkowa** podejmuje jakieś kroki.

— Oczywiście — **usłyszałam** — już wysłaliśmy do pana S. pismo, w którym informujemy go, że powinien stawić się u nas w Urzędzie w celu uregulowania sprawy zameldowania — czyli dokonania wypisu z dowodu osobistego.

— Byłam zbulwersowana — **mówi pani Z.** — że dopiero w listopadzie 1989 roku zbierze się komisja eksmisyjna. Skoro go zameldowali, przez co jak mi wytłumaczono nabył prawa lokatora i nie może zostać „wyrzucony", niech poczują się choć trochę odpowiedzialni za błędną decyzję. Okazuje się, że to nieprawda, że za swoje błędy trzeba płacić, lepiej żeby płacili inni.

WIELKA BRYTANIA: — Kto nie musi ten nie jeździ.

# Jeśli jest środa, to do pracy jedziemy rowerem

**MAREK BRZEZIŃSKI**

W Londynie strajk kolejarzy, kierowców autobusów i pracowników metra. Do akcji wkroczyło wojsko. Rzeczywiście żołnierze z 34 Szwadronu Królewskich Wojsk Inżynieryjnych rozłożyli w Hyde Park i w Regents Park zwoje metalowych dywaników, na których miałyby parkować samochody. W ten sposób nieśmiertelne angielskie trawniki uchroniono by przed zgubnym wpływem opon i olejów, a 4000 samochodów miałoby dodatkowe miejsca do parkowania. Satyryk nie omieszkał skorzystać z okazji i w najlepszym gatunku angielskiego humoru, pojawił się w „Timesie" rysunek przedstawiający łacecika, który stoi przed tablicą z napisem:

*„Nie deptać trawników, chybo że chcialoby się zaparkować"*

Jest to już trzeci, kolejny strajk pracowników wszystkich środków komunikacji w Londynie i brytyjskich kolei na terytorium całej Wyspy. Poprzednie dwa społeczeństwo przebrnęło w iście angielski sposób. Pracownikom, bez których praca w najważniejszych biurach i bankach nie mogłaby się w ogóle odbyć, firmy zarezerwowały miejsca w hotelach. Nie można było dostać łóżka nawet w najpodlejszym *„bed and breakfast"*, nie mówiąc już o ekskluzywnych hotelach. Ci, którym tego nie załatwiono wstawali o kilka godzin wcześniej, aby uniknąć korków. Okazało się jednak, że wbrew pesymistycznym ocenom policji drogowej korki nie były większe niż normalnie, to znaczy przy drogach wylotowych na kilka mil. A przecież codziennie, samochodami dojeżdża do Londynu ponad 100 tysięcy ludzi i to z miejscowości odległych nawet o 50—70 kilometrów. Policja wysuwała czarne prognozy, ale nie ustąpiła i nie zezwalała tego dnia na parkowanie w miejscach niedozwolonych. Klamrowano samochody jak zwykle, to znaczy bezwzględnie.

Przed miesiącem strajk brytyjskich kolei był tylko częściowy, toteż raz na godzinę jakiś pociąg przejechał. Wcisnąłem się między uwieszonych półek na bagaże ludzi i chociaż posyłano mi pełne wyrzutu spojrzenia to jednak nikt mi złego słowa nie powiedział, że byłem jedynym spośród stojących na peronie maleńkiej stacji Kidbrooke pasażerem, który usiłował wsiąść do pociągu. Anglicy tak rozumują; wszystkim jest ciężko, więc skoro wsiada to widocznie musi. Musiałem, bo by mi samolot uciekł. Reszta na Kidbrooke widocznie nie musiała, bo panie nie przerwały rozmowy, a panowie czytania „The Sun". I taka właśnie postawa pomogła Anglikom w kolejnych strajkach. Niedługo stanie się tradycją, że we środy, bez pytania, londyńczycy będą wyciągali rowery z komórek i spokojnie pedałowali do pracy. Tradycja rzecz święta.

Kursowały natomiast stateczki po Tamizie, toteż zamiast turystów białe ławeczki poobsiadali jak kruki, panowie w garniturach i w drodze do City wystawiali twarze łapiąc kapryśne londyńskie słońce. Także przez Hyde Park ciągnęły sznury spacerujących do pracy londyńczyków. Część firm dała swoim pracownikom wolne, toteż korki się porobiły, ale na drodze do Brighton i innych nadmorskich kurortów. A Londyn tak zwykle hałaśliwy i śpieszący się był w tym dniu jednym wielkim deptakiem. Jak w kurorcie.

Wszystko poszło o kilkudziesięciofuntową podwyżkę płac tygodniowych, co ma zrekompensować wzrastające koszty utrzymania. Szefowie BR, którzy całą tę sytuację określają mianem *„francuskiej farsy"*, nie ustępują. Pracownicy też. Dla biur i ludzi to utrudnienie, a dla pani Margaret Thatcher doskonała okazja, żeby jeszcze raz podkreślić ideę prywatyzacji środków transportu oraz zaatakować UNR (Związki zawodowe kolejarzy) i przywódcę opozycyjnej partii pracy Neila Kinnocka. Pani Margaret Thatcher po ostatnim strajku zarzuciła Neilowi Kinnockowi, że jest *„przyjacielem strajków"* bo nie współczuje ludziom dojeżdżającym do pracy.

Wprawdzie ani Neil Kinnock ani Margaret Thatcher, to nie Królowa Elżbieta, którą niewiele myśląc zapakowała się wraz z paroma księżniczkami i księciem Karolem do karety i dojechała na tradycyjne wyścigi koni w Ascott, ale i tak „Daimlery" obydwu przywódców głównych partii brytyjskich bez trudu dotarły do Parlamentu. Tutaj odbyła się jeszcze bardziej zażarta dyskusja niż zazwyczaj ma to miejsce w Izbie Gmin, gdzie trzeba mieć mocne struny głosowe i nerwy, żeby przekrzyczeć gwiżdżących, posykujących, klaszczących i wykrzykujących swoje komentarze posłów.

Zaczął poseł konserwatywny David Sumberg, który poprosił panią premier o przesłanie wyrazów sympatii wszystkim tym, którzy zostali dotknięci utrudnieniami strajkowymi. Pani Margaret Thatcher zaatakowała związki zarzucając im, że dbają tylko o własny interes i nie myślą nic o społeczeństwie. Wśród narastających protestów doszło do interwencji „Speakera" parlamentu, czyli „marszałka", gdyż tumult zrobił się tak okropny, że podejrzewam, iż żadne z antagonistów nie mogło usłyszeć nawet swoich myśli nie mówiąc już o słowach.

— *Musimy przecież cokolwiek słyszeć* — napominał z przyganą w głosie Speaker, gdy wreszcie Neil Kinnock wytoczył ostatnią armatę i wystrzelił:

— *Czy ona myśli, że prawa obywateli do swobodnego zrzeszania się w wolnych związkach zawodowych kończą się poza granicami Polski?*

UNR zapowiada kolejne strajki. Mój sąsiad w Actonie starannie smarował rower oliwą.

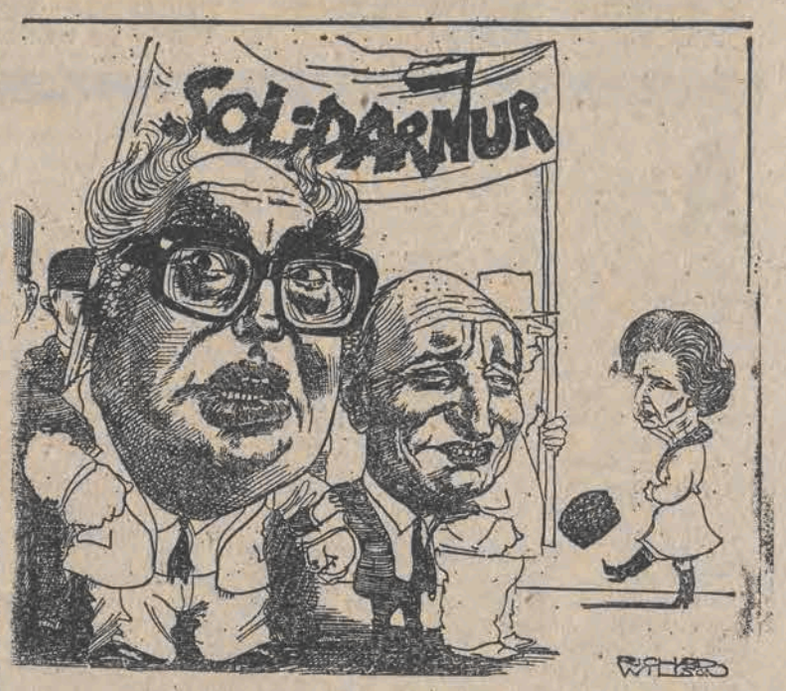


### 2. Na Arbacie

Jedna z najstarszych i zarazem znanych ulic w Moskwie jest szczególnego rodzaju witryną pieriestrojki. Poszczerbiona przez czas i decyzje ludzi niechętnych starociom, stała się popularnym moskiewskim deptakiem stale wypełnionym przez turystów zagranicznych i moskwian. Tu można zrobić sobie zdjęcie z Myszką Mickey, tak jak w Zakopanem z niedźwiedziem, wysłuchać recytacji ulicznego, zbuntowanego poety, posłuchać koncertu buddystów w pomarańczowych chałatach lub kapeli rockowej, zamówić sobie portret u jednego z kilkudziesięciu malarzy i grafików, którzy oczekują na klientów (cena 10—30 rubli), a wreszcie kupić obraz duży lub całkiem maleńki: z pejzażem, z cerkiewką, z bukietem kwiatów, z kusząco rozebraną panienką skopiowaną z rozkładówki w „Playboyu".

Przed sklepem „Dieta" sprzedaż odżywek dla dzieci, ludzi równie dużo jak przy poecie, który z nadmierną ekspresją, ale za to w rymowanych frazach wygłasza potępienie stalinizmu i występuje przeciwko... biurokratom. Inny rymopis, widać pozbawiony silnego głosu, swoje wiersze: *„Słońce wolności mrokiem przesłonięte"*, *„Wieczna Ruś"* oraz *„Talenty i niekompetencje biurokratyzmu"* wypisał na dużych planszach i zachęca do kupowania powielonych zbiorków własnych utworów. Przekonany reklamą jeszcze innego poety A. Bukanowa, zainwestowałem 2 ruble w tomik wydany własnym sumptem autora. Jest to zbiorek wierszy lirycznych w rodzaju *„Powtem miłości"* i *„Nieszczeście pokochać"*, choć nie brak w nim i tekstów bardziej publicystycznych — *„Ja snajper"* czy *„Hamulcowy pieriestrojki"*. Wydrukowany skromnie, w nakładzie 3000 egzemplarzy, oficjalna cena 50 kopiejek. Autor, z którym wdałem się w rozmowę, wyjaśnił mi, że na jego wiersze jest koniunktura i dlatego czterokrotnie podniósł cenę W dowód uznania za zainteresowanie się i kupno tomiku otrzymałem od poety osobistą dedykację. A wszystko to przed domem nr 53, w którym w 1831 r. na Arbacie mieszkał Aleksander Puszkin.

Część budynków na Arbacie jest odmalowana, widać jednak że powierzchownie i niezbyt starannie. W pomieszczeniach parterów kawiarnie, galerie, antykwariaty, sklepy pamiątkarskie i jubilerskie, obok nich sprzedaż mięsa i wędlin, konserw, artykułów oświetleniowych, jest sklep zoologiczny z karmą dla zwierząt domowych, pralnia i poliklinika miejska. Widać, że artystyczny salon Moskwy jeszcze nie do końca został umeblowany i wyposażony.

Jest tu co obserwować — cudzoziemcy z kamerami wideo, miejscowe dziewczyny wampy, arbacka bohema artystyczna i bosy, mały Cygan z niemowlakiem uwiązanym w płachcie na plecach, który zaczepia ludzi, przede wszystkim nie mówiących po rosyjsku i pokazuje na migi, że jest głodny. Milicjant każe mu odejść, co mały żebrak kwituje komentarzem *„spokojnie, spokojnie"*, znika i za kilkadziesiąt minut można znów go zobaczyć zaczepiającego turystów.

Milicjantów na Arbacie jest wyjątkowo wielu, ale w odróżnieniu od swych kolegów z innych ulic, noszących w rękach długie, chyba ponad półmetrowe pałki, wyposażeni są tylko w krótkofalówki. Interweniują dyskretnie i stanowczo. Pijanego, ledwie się taki pojawi, ładują energicznie do zamkniętej furgonetki, a nie posiadającego zezwolenia na uliczną działalność handlową lub artystyczną grzecznie, aczkolwiek zdecydowanie wypraszają z Arbatu. Kontestujący poeci, gdy zbliża się patrol zwykle łagodzą wygłaszane teksty. Widać na Arbacie można wiele, ale nie nazbyt wiele.

### 4. W sklepach

Robienie zakupów w moskiewskich sklepach wymaga szczęścia. wiedzy i sporej kondycji fizycznej. . Przede wszystkim szczęścia, bowiem tylko od niego zależy, czy natrafi się na poszukiwany towar. Zwykle dialog ze sprzedawczynią jest następujący:

— *czy jest* (tu nazwa artykułu, jaki chcemy nabyć)?

— *nie ma!* (czasem można usłyszeć: — *było wczoraj!*)

— *a czy bywa?*

— *bywa!*

— *a kiedy będzie?*

— *nie wiem!*

Dość wspomnieć, że przez sześć tygodni nie mogłem natrafić na ramki do diapozytywów formatu 12×18 mm (á 6 kopiejek sztuka). Wreszcie szczęście uśmiechnęło się do mnie aż w Kijowie: kupiłem 50 za całe 3 ruble. Po dwóch godzinach pomyślałem, że może warto kupić jeszcze z 50, aby mieć jakiś zapas tych drogocennych ramek. Niestety, w sklepie fotograficznym już ich nie było. — *A kiedy będą?* — zapytałem, pani sprzedawczyni spojrzała w dal ponad moją głowę i usłyszałem: — *Nie znaju zachoditie!* — Oczywiście można sobie żartować, gdy chodzi o ramki do diapozytywów, ale gdy brakuje podstawowych artykułów, to jest to smutna rzeczywistość do żartów nie nastrajająca.

Wiedza przy zakupach jest także niezbędna, bowiem kiedy już szczęście dopisze i między głowami ludzi dostrzeżemy, że jest poszukiwany towar, na przykład kiełbasa albo ser, to trzeba jeszcze znać ich cenę, pomyśleć, ile takiego dobra spożywczego

Raptularz moskiewski. (2)

# Wiosna na ulicy, wiosna w polityce

**GRZEGORZ MATUSZAK**

chce się kupić, policzyć, ile to będzie kosztować, zapamiętać numer stoiska, w którym ser lub kiełbasę sprzedają i już można stanąć w kolejce do kasy. W kasie oświadczyć ile wpłacamy, a za gotówkę otrzymuje się kwit, z nim należy stanąć we właściwej kolejce do stoiska z towarem, który chcemy nabyć. Nawet kupienie szklanki wody mineralnej za 3 kopiejki w reprezentacyjnym sklepie „Gastronom" przy ul. Gorkiego 14 odbywa się według opisanej procedury.

Kiedy pewnego razu zapłaciłem za ćwierć kilo kiełbasy, a otrzymałem 17 dag, co sprawdziłem ważąc zakup w innym stoisku, ująłem się honorem i złożyłem reklamację. Pani sprzedawczyni nie chciała przyjąć moich wyjaśnień, ale kolejka ujęła się za mną i głośno zaprotestowała, że nie można oszukiwać człowieka. Obrażona ekspedientka dorzuciła mi plaster grubości dwóch palców. Sprawdziłem jeszcze raz na innej wadze — było już 23 dag. Nie chciałem jednak nadużyć cierpliwości ludzi stojących w kolejce, a pani sprzedawczyni i tak bym nie przekonał, że po odejściu od lady nie zjadłem ukradkiem brakującego kawałka biełbasy.

Zdrowie jest potrzebne do biegania po sklepach, co przy moskiewskich odległościach jest zajęciem nad wyraz fatygującym, stania w kolejkach, a wreszcie nie poddawania się duchocie panującej w większości sklepów, bowiem niedostatek towarów i brak wentylacji jest ich charakterystyczną cechą. Szczerze współczuję moskwianom warunków, w jakich dokonują zakupów. Dziennie obok ośmiu milionów stałych mieszkańców miasta odwiedza moskiewskie sklepy ponad trzy miliony przyjezdnych, którzy liczą na to, że w stolicy uda się coś prędzej kupić niż na prowincji.

Na ul. Bolszoj Gruzinskoj zainteresował mnie duży sklep z witrynami całkowicie zasłoniętymi białymi kotarami i napisem „Bieriozka". Zaciekawiony tajemniczym wnętrzem radzieckiego „Pewexu", przekroczyłem próg owego sezamu. Ale ledwie to uczyniłem, zagrodziła mi drogę energiczna kierowniczka, a może inna funkcjonariuszka handlowa i zasadniczym tonem przepytała, czy mam dolary, funty, franki, marki lub stosowne czeki. Widać moje uprzejme odpowiedzi, że nie mam, nie usatysfakcjonowały jej, gdyż w sposób równie zdecydowany oświadczyła, że tutaj ani kupować, ani wchodzić nie mogę I tak nawet nie zobaczyłem, co się sprzedaje w „Bieriozce". Pozostały mi sklepy, w których trzeba było mieć szczęście, zdrowie i doświadczenie, aby robić w nich zakupy.

### 5. Mityngi

Moskiewska wiosna polityczna spowodowała, że jednym z popularnych sposobów ekspresji publicznej stały się uliczne mityngi. Najpierw organizowano je w związku z drugą turą wyborów deputowanych na Zjazd, a potem w związku ze Zjazdem i innymi wydarzeniami politycznymi. Mityngi obserwowałem rozmaite: od kilkunastoosobowych grup dyskutujących na ulicy, zwykle przy placu Aleksandra Puszkina, po ponadstutysięczne wiece na Łużnikach. Tematy zwykle oscylowały wokół różnie ujmowanych problemów pieriestrojki i demokratyzacji.

Nie wnikając w merytoryczne szczegóły owych mityngów dyskusji i sporów, warto odnotować ich emocjonalny charakter. Wiecujące grupy organizowały się szybko i spontanicznie, po prostu wokół jednego oratora gromadził się większy lub mniejszy tłum ludzi, zadawano pytania, spierano się i stopniowo uliczny mityng nabierał rumieńców. Część ludzi odchodziła, przychodzili następni i tak w ciągu dnia, na przykład pod redakcją „Moskowskich Nowosti", uczestniczyło w trwających od rana do wieczora dyskusjach po kilka tysięcy ludzi. Oczywiście takie spontaniczne mityngi uliczne odbywały się bez odpowiedniego zezwolenia władz i zwykle przy dyskretnej, ale biernej obecności milicji. Kiedy rozpoczął się Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRR i mityngi w centrum Moskwy stały się kilkutysięcznymi grupami nacisku, milicja rozproszyła je, zatrzymując organizatorów.

Wydaje się, że to przede wszystkim niedostatek oficjalnych wiadomości i interpretacji wydarzeń w kraju tworzył grunt dla zainteresowania ludzi wiadomościami z drugiej ręki, nieoficjalnymi. To na mityngach komentowano tragiczne zajścia w Tbilisi z 9 kwietnia 1989 r., oceniano orientacje za lub przeciw pieriestrojce poszczególnych polityków wchodzących w skład kierownictwa partii i państwa oraz ich osobistej uczciwości i ewentualnych powiązań z grupami przestępczymi, na przykład z tak zwaną mafią uzbecką, której wpływy mają sięgać bardzo wysoko w hierarchii władzy.

Mimo, jak się wydaje, znacznego zainteresowania mityngami, bardzo wielu moskwian przechodzi obojętnie obok dyskutujących grup. Trudno ocenić, czy decyduje o tym brak wiary w skuteczność tego typu form życia politycznego, obawa przed uwikłaniem się w nielegalną sytuację i ewentualną odpowiedzialność karną lub administracyjną, a może kształtowana przez dziesiątki lat nieufność wobec wszystkiego, co nie ma oficjalnej aprobaty. Zapewne uliczne dyskusje na mityngach są symptomem coraz wyraźniejszego różnicowania się poglądów i opcji politycznych społeczeństwa radzieckiego oraz zmierzchu takiej koncepcji życia zbiorowego, która zakładała możliwość drobiazgowego reglamentowania sądów, postaw i opinii, arbitralnie rozstrzyganych, czy są one słuszne, czy niesłuszne, przez jeden ośrodek politycznych decyzji. Konstatację tę zdaje się potwierdzać choćby fakt, że kilkakrotnie byłem przypadkowym świadkiem ulicznych dyskusji o zaletach wielopartyjnego systemu politycznego.

**CDN.**

# Łódź: historia, wspomnienia, relacje

## Los mnie zetknął z... Jasiem Kunefałem

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Autor „Młodości Jasia Kunefała" — **Stanisław Piętak** — był w czasach, które akurat wypadły po słynnym Zjeździe Szczecińskim Literatów ustanawiającym socrealizm prezesem oddziału w Łodzi. Ale byłoby przesadą sądzić, że był on wyzbytym uczuć ludzkich stalinistą. Ten najwybitniejszy z poetów lat trzydziestych-sześćdziesiątych pochodzenia wiejskiego, był człowiekiem nie tyle już nawet pełnym sprzeczności, co nadzwyczaj nierównym.

Na spotkaniach towarzyskich, zwłaszcza na występach autorskich pojawiał się starannie i schludnie ubrany. Był mężczyzną o ruchach spokojnych, przystojny, o dużych pięknych oczach i bardzo gładkiej cerze. Mówił swoje wiersze (nie pamiętam, żeby czytał) spokojnie, w czym absolutnie nie przypominał poetów radzieckich, którzy mają zwyczaj wykrzykiwać je z niezwykłym patosem, trzymając przy tym jak Włodzimierz Lenin lub Włodzimierz Majakowski rękę w kieszeni. **Stanisław Piętak**, gdy mówił wiersze, wydobywał z nich urzekającą pastelową miękkość. Na twarzy pojawiało się autentyczne (nie robione) wzruszenie. Po wygłoszeniu frazy podnosił oczy w górę. Przypominało mi to po trosze zachowanie ptaka po wypiciu krztyny wody. Uśmiechał się całą twarzą — nie tylko rozszerzeniem warg i obnażeniem lśniących zębów. To był **Stanisław Piętak** bardzo lubiany i tak bym chciał, aby to był jedyny Stanisław Piętak.

Wojnę spędził w swoich rodzinnych stronach, w chacie ojców w **Wielowsi pod Tarnobrzegiem.** Powrócił po wojnie do życia wielkomiejskiego Na okres gruzów warszawskich — dawny mieszkaniec słynnego „wspólnego pokoju" na Powiślu — zamieszkał jak tylu innych pisarzy — w **Łodzi.** Był urzędującym prezesem powstałego wkrótce po wojnie i równie szybko zlikwidowanego **Oddziału Wiejskiego Związku Literatów Polskich.** Z ramienia tego Oddziału wszedł do redakcji **„Wsi"** jako zastępca **Jana Aleksandra Króla.** Oddział skupiał pisarzy wprawdzie niechętnych dworowi, lecz jednocześnie chcących, **„żeby wioska była wioską".** Było w niej także i trochę pisarzy ludowych: gawędziarzy i poetów, którzy ze względu na poetykę i horyzonty „duchowe" kwalifikowali się raczej do folkloru niż literatury.

Przypomnijmy, że **Jan Aleksander Król**, redaktor naczelny **„Wsi"** ustawiony był odgórnie na redaktora pisma poświęconego — cytuję za zapamiętanym anonsem PAP — „opiewaniu uroków polskiej wsi prastarej, wyzwolonej już spod buta pana", ale w rzeczywistości walczył z niesłychaną pasją w swym piśmie o natychmiastowe upodobnienie „oblotka wiejskiego", pod względem obyczaju, elitarnej kultury, światopoglądu inteligencji do nowoczesnych, dynamicznych miast. Trudno zatem byłoby wysunąć nawet przypuszczenie, że obaj redaktorzy **„Wsi"** stanowią dobrany tandem.

W **jesieni 1946 roku** przekroczyłem pierwszy raz próg prawdziwej redakcji. Przed wojną fatygę posyłania wierszyków do pism młodzieżowych i lokalnych powierzałem poczcie Teraz kazano mi przyjść do **„Wsi"** dla dokonania korekty przekładu byliny i mojej na jej temat rozprawki. Wtedy właśnie po raz pierwszy ujrzałem mego ulubionego poetę z czasów tuż przed wojną, autora (i w pewnej mierze twórcę tego gatunku literackiego) wspomnieniowych poematów lirycznych z życia wsi pierwotnej zarazem laureata niezmiennie liczącej się przed wojną **Nagrody Literackiej Młodych Polskiej Akademii Literatury.** Serce mi podskoczyło do gardła ze wzruszenia.

Znakomity poeta rzucił mi na stół „szczotkę" z moimi rzeczami, lecz kiedy go spytałem — raczej nieśmiało — jak się na taki arkusz poprawki nanosi, twarz **Stanisława Piętaka** z jasnej, niemal po serafińsku pogodnej, wykrzywiła się w jednej chwili, stała się dziwna, budząca strach, a w oczach roziskrzyło się... piekło. Obsztorcował mnie znacznie srożej niż święty Michał diabła — za „bezczelność" i „idiotyzm" nieznajomości znaków korektorskich. Dopiero sekretarz redakcji **Stefan Lichański** wziął mnie do drugiego pokoju, uspokoił i wytłumaczył co trzeba.

Po pewnym czasie doszło w redakcji **„Wsi"** do nieopisanej awantury, w wyniku której Stanisław Piętak z częścią redaktorów odszedł z trzaśnięciem drzwiami. Niebawem w pismach ludowych i niektórych literackich ukazała się notatka, że, jakkolwiek zarząd Oddziału Wiejskiego ZLP nie zamierza robić wstrętów tym z kolegów, którzy mogą mieć nadal ochotę utrzymywania pisarskich kontaktów ze **„Wsią"**, to pismo nie jest już organem Związku.

Mimo to secesjoniści wzięli udział w Zjeździe Pisarzy Ludowych w **początkach lipca 1947 roku** w radziwiłłowskich **Rytwianach,** który to zjazd zorganizował **Jan Aleksander Król** i potraktował go jako kilkudniową kursokonferencję dla oświecenia pisarzy chłopskich, o czym pisać powinni i jak rozumieć wieś „demokratyczną". Zjawili się prawdopodobnie dlatego, by bronić swoich interesów i punktu widzenia...

Mój z tamtego dnia sadystyczny prześladowca podszedł do mnie z promiennie anielskim uśmiechem. Gratulował i świeżych druków we **„Wsi"**, w **„Dziś i Jutro"** i w **„Arkonie"** i z miejsca ofiarował najnowszy tom — pierwszy po wojnie **„Dom rodzinny"** z dedykacją różniącą się od sztampowych, jakich zazwyczaj mamy kilka na różne okazje. Przekazał serdeczne życzenia zarówno mnie, jak książkom, które się w bliższej czy dalszej przyszłości, na pewno nie raz i nie dziewięć i na pewno z pożytkiem dla literatury ukażą.

Tamte dni, trzy czy cztery a właściwie godziny wieczorne i nocne były dla nas ważniejsze od pracowitych dni.

Spotkania w rozległościach parku pałacowego czy na kolumnowym tarasie, pogaduszki przy księżycu w pełni i gęsto zakrapiane nieporównywalnie lepszym od olimpijskich nektarów popartyzanckim bimbrem należą do najprzyjemniejszych i najprzyjaźniejszych spotkań pisarskich ze wszystkich, jakie miałem potem w życiu. Może z wyjątkiem zjazdu pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych we wrześniu 1969 jeszcze na historycznym okręcie „Batory".

**Stanisław Piętak** — były główny lokator słynnego „wspólnego pokoju" w Warszawie na Powiślu nie wylewał za kołnierz, ale nie pił w nadmiarze. Jednak wtedy, trzeciego bodaj dnia wszedł na salę obrad i choć dyskusja toczyła się w jakiejś całkiem innej kwestii, wygłosił niesłychanej gwałtowności przemówienie o męczeńskim, przeklętym życiu chłopów z jego rodzinnej wsi.

— Mojego pańszczyźnianego pradziada — krzyczał na cały głos, tłukąc pięściami w oparcie krzesła — pan bił bykowcem! Mojego popańszczyźnianego dziada pan bił czymś tam jeszcze. Mojego małorolnego ojca... już nie pamiętał kto i czym bił. Padały zdania, częściej odpowiedniki zdań z niesłychaną gwałtownością, a w nich raz po raz słowa: „przekleństwo", „klątwa", „przeklęta dola". Wszystkie te plagi ciążyły — wykrzykiwał — od wieków nad całą jego rodziną, nad całą wsią, nad całą Polską. Było to przemówienie wstrząsające, acz nie we wszystkim zrozumiałe. Wtedy to **Jan Aleksander Król,** do którego złożoności charakteru dopisać należy także sentymentalność, doskoczył do **Stanisława Piętaka** od prezydialnego stołu i zaczął go całować z dubeltówki, też krzycząc.

— Stach się odnalazł! W Stachu się ocknął dawny chłop! Dawny Szela!

Wtedy, gdy wracaliśmy, nie pamiętam, czy wozem drabiniastym czy ciężarówką do Kielc, potem do Łodzi, wydawało mi się, że nawet i w oszmiańskim powiecie nie było dwóch równie serdecznych przyjaciół, jak ja i **Stanisław Piętak.**

Przyjaciel został nowym prezesem oddziału ZLP w Łodzi i objawił mi się niespodzianie jako ktoś więcej niż niegodziwy.

Licho mnie podkusiło, żeby zgłosić na sekcję poezji do oceny wysokiemu gremium me przekłady z obcych poezji. Trzeba wiedzieć, że po 1948 roku na długie lata niemal zaprzestałem pisania wierszy. Czułem się przede wszystkim przekładowcą i filologiem. Nawet nie dlatego, żebym się zaciął w wściekłej opozycji. Po prostu nie potrafiłem „dojrzeć" do pisania w panującym duchu. Kiedyś storturowałem jednak wyobraźnię nieomal na śmierć i napisałem rzewny liryk o tym jak niewesoło czują się jelenie, z chwilą kiedy, w imię wyższych celów budującego pokój narodu, muszą opuścić rykowisko, ponieważ w miejscu tym powstanie niebawem wspaniała i piękna Nowa Huta, która itd. Poetyckie gremium poczuło się niekompetentne do oceny przekładów, natomiast kazało sobie uważnie odczytać ten wiersz. Niewesoły nastrój wspomnianych zwierząt i w ogóle samo ich jeszcze przebywanie w nowoczesnych lasach wywołały burzę. Gromy sypały się na mnie ze wszystkich stron: **Jurek Miller, Edward Szuster, Igor Sikirycki, Jan Koprowski, Grzegorz Timofiejew, Lejb Sapożnik...**

Nagle owe głosy protestu przerwał prezes **Stanisław Piętak.** Powiedział z pamięci (okazało się, że ma doskonałą pamięć i do cudzych wierszy) jakiś dawny mój wiersz sprzed nakazów do „dojrzewania". Naturalnie swoim ciepłym, lirycznym głosem. Podniósł tego wiersza zalety, po czym streścił jedną z nowel, jakie dawnymi czasy ogłosiłem we **„Wsi"** ... i sytuacja zmieniła się.

Ale znów. Po jakimś czasie zarząd przydzielił mi, jako poloniście i krytykowi, zaszczytne zadanie wygłoszenia na nadzwyczajnej akademii oddziału oficjalnego referatu poświęconego apoteozie twórczości **Władysława Broniewskiego** z okazji jego jubileuszu. Naczytałem się, co tam o nim ostatnio wyszło, wygłosiłem, czego się z tego, co wyszło, naczytałem i... Więcej nie mogłem powiedzieć, choćbym chciał. Widziałem go raz w knajpie i tyle. Inne pokolenie, a poza tym co jeden o drugim wtedy wiedział? O przedwojennych wierszach w rodzaju **„jestem sobie poetą i nic nikomu do tego"** dawno już zapomniałem. O więzieniu we lwowskim Zamarstynowie w czasach radzieckich nie wiedziałem, a gdybym wiedział, no to co? Czy powiedziałbym? I nagle mój płynnie wygłaszany referat przerywa okrzyk siedzącego przy mnie za stołem prezydialnym **Stanisława Piętaka:**

— Łgarstwo. Kłamstwo bezczelne!

Prezes opuścił salę.

I znowu miły, serdeczny **Stanisław Piętak.** Jedziemy we trójkę: On, **Saloni** i ja do Warszawy, żeby złożyć oficjalny wniosek o przyznanie **Włodzimierzowi Słobodnikowi,** który też z kolei doczekał się jubileuszu, Orderu „Polonia Restituta". **Stanisław Piętak pogodny,** szczery, tak serdeczny, że do rany go przyłóż. Chwali moje dzieci, podziwia ich wiedzę, rozgarnięcie, rezolutność Doroty, chwali mój cykl wierszy rodzinnych.

— Wreszcie się odnalazłeś — mówi.

**Mijamy Skierniewice.** Nagle na twarzy jego pojawia się demon, Nie ten smutny Katedry Notre Dame, lecz zły, ledwie hamujący się. Nie mówi nic. Myśli uciekły gdzieś daleko. Ze spojrzeń posłanych w obłoki można jedynie stwierdzić, że złe.

Na jubileuszu **Włodzimierza Słobodnika** znów twarz i uśmiech niemal franciszkański. Zabiera głos, po moim przemówieniu, nie tylko jako prezes Oddziału Łódzkiego ZLP, lecz w imieniu Zarządu Głównego ZLP, którego od lat jest członkiem. Zamiast zacząć, jak każe odwieczna nuda, ze szczętem wyśmiana przez Boya, a przecież wciąż jeszcze żywa konwencja: „Dostojny", „Najdostojniejszy", „Czcigodny" — zaczyna dziarskim głosem, bez żadnych patetyczności: **„Włodzimierzu".** Po latach jeszcze mi owo „Włodzimierzu" brzmi w uszach i chciałbym, żeby kiedyś tam wobec mnie...

**W 1956 roku Stanisław Piętak** postanowił wrócić do Warszawy, choć nie przestawał być wierny w poezji podtarnobrzeskiej **Wielowsi** i tylko **Wielowsi.** Tak się złożyło, że dostałem po nim mieszkanie. Zaproponował mi kupno specjalnie kiedyś dla niego zrobionego regału o kształcie postawionego sztorcem fortepianu. Nie chciał go wozić ze sobą. Nabrałem ochoty, tyle że zażądał niemałej sumy. Ułożyliśmy że spłacę mu ją w czterech ratach. Trzy posłałem pocztą, przy czwartej zamarudziłem. Odwlekał się mój wyjazd do Warszawy, a chciałem pieniądze dać mu osobiście. To już zresztą były grosze. Pojechałem. Zastałem **Stanisława Piętaka** w kawiarni ZLP. Podszedłem ściskając w ręku należny papierek. Chcę się witać, wyciągam rękę...

Słyszę:

— Dawaj pieniądze!

W twarzy diabeł! Nie słyszy wyjaśnień, nie wita, nie żegna. I to było już nasze ostatnie spotkanie.

Później dowiedziałem się o jego chorobie, o leczeniu, o powrocie do zdrowia. I wreszcie niespodziewanie o tym... co się stało między najwyższym podestem schodów klatki schodowej a parterem!

Czytałem wszystkie liryki i poematy liryczne **Stanisława Piętaka** — gatunku, w którym był szczególnym mistrzem. Nie czytałem jednak — tak się składało — jego trylogii autobiograficznej: „Młodość Jasia Kunefała" i następne powieści. Wziąłem się za nie dopiero teraz. Okazją był serial telewizyjny powstały na podstawie tych książek. Są to powieści zdecydowanie autobiograficzne. **Stanisław Piętak** w odróżnieniu od wielu innych pisarzy, nigdy nie zaprzeczał, że nie są. Mam więc prawo wziąć na serio motyw owej klątwy rodzinnej przechodzącej z pokolenia na pokolenie. Tak, ale niedosłownie.

W działanie materialne takich klątw, jakby z powieści gotyckich wziętych, do przechodzących pokoleniami od iks-tej generacji — nie wierzę. Wierzę natomiast w przechodzenie przez pokolenia stanów nerwicowych. Mógł się ich nabawić jakiś rzeczywiście maltretowany przez pana praszczur. A że poeta, szczególnie poeta wybitny, jest workiem nastrojów, wrażliwości, nad- i przewrażliwości, a tym samym krańcowych zmian nastrojów — w to nie ma co wierzyć lub nie wierzyć. To jest prawda jak dwa razy dwa. Los mnie zetknął z nękanym taką „klątwą" poetą — Jasiem Kunefałem.

## Dlaczego strajkowano pod koniec lat czterdziestych

Wedle źródeł partyjnych do pierwszego w dziejach PRL strajku robotniczego — w maju 1945 roku — doszło w Łodzi; trwał on przez dwa dni i zakończył się z chwilą załatwienia wyłącznie ekonomicznych postulatów robotniczych. Akcje strajkowe na tle ekonomicznym wystąpiły w Łodzi także w czerwcu, a ze szczególnie dużym nasileniem w lipcu 1945 r., kiedy to wybuchły aż 23 strajki — 20 w zakładach przemysłu włókienniczego oraz 3 w kolejnictwie.

Charakteryzując przyczyny strajków czerwcowo-lipcowych w Łodzi w 1945 roku Stefan Banasiak podkreśla, iż *„do ogólnych zaliczyć należy: poziom płac..., zbyt wysokie normy, zbyt wysokie ceny na wolnym rynku, złe wyliczenie płac lub premii, nieregularne wypłaty itp. Do przyczyn lokalnych należały: informacje o wyższych zarobkach lub wyższej punktacji w innych zakładach pracy, złe funkcjonowanie stołówek, sprawy deputatów, stosunki międzyludzkie i inne. Dla ilustracji podam, że w jednej z popularnych instytucji pracownicy otrzymali po 0,5 kg śledzi, podczas gdy na kartki w mieście wydawano po 1 kg śledzi. Sprawa urosła do poważnego konfliktu. Wysłano delegację do Warszawy..."*

Niezadowolenie robotników wywoływało niezrealizowanie przez władze i tak już niskich przydziałów żywnościowych, preferowanie w dostawach stołówek dla urzędników państwowych, a także skierowanie do sprzedaży na wolny rynek dostaw, przysłanych do Polski przez UNRRA. Brakowało jakichkolwiek przydziałów węgla, rosła liczba dzieci i młodzieży chorych na gruźlicę i anemię oraz związana z tym śmiertelność.

Władze miasta starały się rozładować niekorzystne nastroje społeczne, przekazując dodatkowe artykuły żywnościowe do przedszkoli, szkół i stołówek (z dostaw UNRRY i darów zagranicznych), wyłączając część węgla z wolnej sprzedaży i przydzielając robotnikom, a także wprowadzając przydziały papierosów i innych artykułów „monopolowych". W sumie w skali całego kraju (w lipcu i sierpniu 1945 r., jak podaje H. Gnatowska, pewną liczbę strajków zanotowano także na Górnym Śląsku, w Zagłębiu Dąbrowskim, na Pomorzu i Wybrzeżu) opanowano sytuację o tyle, że nie została zrealizowana groźba strajku powszechnego, zapowiadanego przez organizacje związkowe.

Pojawiły się nowe przyczyny protestów robotniczych i akcji strajkowych: wysokie, bo sięgające do 33 proc. potrącenia zarobków, zaledwie ok. 50-procentowa realizacja przydziałów kartkowych, bardzo niskie zasiłki chorobowe (3—6 zł) oraz renty inwalidzkie (ok. 50 zł), a także — jak w przypadku strajku w Żyrardowie — wystawny tryb życia oraz biurokratyczne podejście do problemów ludzi pracy przedstawicieli władz partyjnych i administracyjnych tego miasta. Jak podkreśla Stefan Ciesielski, *„robotnicy żądali również wydłużenia urlopów wypoczynkowych do 1 miesiąca i zrównania ich w uprawnieniach socjalnych z pracownikami umysłowymi. Występowano też przeciwko zjawisku wolnego handlu i tzw. szabru. Słaba więź organizacji partyjnych i związkowych z załogami powodowała, że reakcje na robotnicze postulaty bywały spóźnione, często wymuszone dopiero przez strajk, i mało efektywne..."*

Strajki wystąpiły także w początkach roku 1946, a konkretnie w marcu, w łódzkich warsztatach kolejowych, Doświadczalnych Zakładach Lotniczych oraz w kilkunastu zakładach przemysłu włókienniczego na terenie miasta i regionu. Podobnie jak poprzednie były spowodowane niedostatecznym zaopatrzeniem ludności w artykuły żywnościowe i codziennego użytku, trudnościami komunikacyjnymi i mieszkaniowymi, brakiem opału, poważnym wzrostem cen żywności na wolnym rynku, niskimi zarobkami oraz premiami zatrudnionych na stanowiskach pracowników fizycznych. Co przy tym warto podkreślić, akcjom protestu towarzyszyły w wielu zakładach hasła popierające obóz opozycji (*„My chcemy Mikołajczyka!"*, *„Niech żyje PSL!"* itp.) oraz wypowiedzi, upatrujące w zwycięstwie tego nurtu politycznego w kraju poprawę położenia mas pracujących.

Nasilenie akcji protestacyjnych i strajków miało miejsce w Łódzkiem w maju 1946 r., co w dużym stopniu wiązało się ze zbliżającym się terminem referendum ludowego i uaktywnieniem się opozycyjnych partii politycznych PSL i Stronnictwa Pracy. Tym jednak razem — jak akcentuje H. Gnatowska — zasięg akcji strajkowych w Łodzi i regionie był wyjątkowo — jak na ówczesne warunki — szeroki, groził poważnymi konsekwencjami ekonomicznymi i politycznymi. Uczestniczyło w nim ok. 20 tys. robotników, a siły opozycyjne wyraźnie dążyły do wywołania strajku powszechnego!

Szczególnie uciążliwy społecznie był strajk łódzkich tramwajarzy, który sparaliżował częściowo życie miasta i pracę wielu zakładów przemysłowych; strajk zapowiedzieli również pracownicy elektrowni. Po raz pierwszy w Polsce Ludowej właśnie tu, w Łodzi władze zdecydowały się na siłowe rozwiązanie tych strajków: elektrownię obsadzono wojskiem, a większość tramwajów uruchomiono w asyście i pod kontrolą pracowników UB. 56 najbardziej „opornych" tramwajarzy zamknięto w areszcie.

Między 19 a 22 czerwca 1946 roku wybuchły w pięciu dużych zakładach łódzkich strajki na tle ustanowienia nowych, mniej korzystnych dla robotników stawek płacowych. Kolejne wzniesienie fali strajkowej w regionie łódzkim miało miejsce w lipcu 1946 roku, kiedy to strajkowało łącznie prawie 16 tys. robotników, protestując m.in. przeciwko surowym wyrokom na sprawców zajść kieleckich (pogrom Żydów 4 lipca 1946 r.).

Duży zasięg i dość powszechny charakter miały strajki w aglomeracji łódzkiej w październiku 1946 roku, obejmując 15 średnich i dużych zakładów pracy, z których kilka strajkowało przez okrągły tydzień. Powodem była przede wszystkim nowa regulacja płac, na której zyskali najniżej uposażeni, a stracili głównie fachowcy i wysoko kwalifikowani specjaliści. Również i w tym przypadku władze sięgnęły po środki administracyjno-represyjne: aresztowano 4 robotników i 1 studenta, dyscyplinarnie zwolniono z pracy ponad stu czołowych organizatorów protestu robotników. Do pacyfikacji strajków zmobilizowano aktyw partyjno-związkowy miasta i województwa.

Ostatnia fala strajkowa w Łódzkiem wystąpiła we wrześniu 1947 roku i objęła praktycznie wszystkie zakłady przemysłu włókienniczego (zaczęło się od strajków 11 września w Rudzie Pabianickiej oraz następnego dnia w „Poznańskim"). Protesty robotnicze zostały spowodowane reorganizacją systemu produkcji w zakładach, a także narzuconym załogom „czynem produkcyjnym" na rzecz odbudowy Warszawy, który miano realizować pracując w niedziele. Ten najpotężniejszy w latach 1945—1947 strajk w naszym kraju objął ok. 70 proc. załóg strajkujących zakładów, ponad 21 tys. robotników, trwał aż 12 dni — przyniósł straty produkcyjne wynoszące — w cenach ówczesnych — ponad 70 mln zł

JULIUSZ A. PIEŃKOWSKI

Oświęcim, lipiec 1989.

# Dlaczego Żydzi protestują?

**ZOFIA KĘDZIORA**

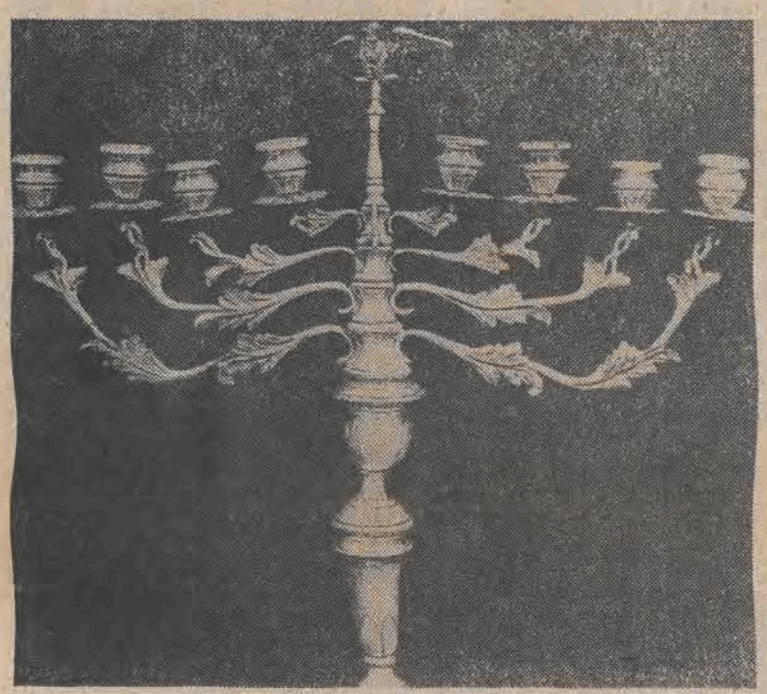

Kraty pojawiły się w oknach klasztoru zupełnie niedawno, przed dwoma, trzema dniami. Świeże są również tablice: „Private property" (własność prywatna) i „No trespassing" (nie przechodzić przez ogrodzenie). Którejś nocy milicja zagrodziła dojazd do klasztoru. Ostatnie 500 metrów do klasztornej bramy można przebyć tylko pieszo.

Rano, 23 lipca 1989 roku ludzie zaczęli gromadzić się na błoniach przed klasztorem. Pierwsi przyszli około godziny 7. Było ze 300 milicjantów, ale nie wszyscy w mundurach. W cieniu pod drzewami stała karetka pogotowia. Ludzi przybywało. Około godziny dziesiątej zgromadził się już spory tłum.

— Trzeba bronić sióstr — mówili między sobą i czekali.

Pojawiła się pogłoska, że Żydzi mogą zjawić się około godziny 11. Czekali więc.

**1.**

**Nie było wątpliwości co do nastawienia większości oczekujących.**

— Moŝki, Żydki — padało w **rozmowach.** — *Do* Palestyny, **czego tu szukają!**

— Pokażemy im — odgrażał się jeden z mężczyzn. — Wtedy, w piątek 14 lipca nikt ich się nie spodziewał. Przyjechali pod klasztor w południe. Najpierw dobijali się, aby ich wpuścić, dzwonili, ale, że widocznie siostry nie chciały z nimi rozmawiać, przeskoczyli przez ogrodzenie i obsiedli drzwi przed klasztorem. Było ich siedmiu: sześciu młodych w czarnych jarmułkach i jeden starszy w białej. Jak się potem okazało — rabin. Ale co to za rabin, co przez płot skacze — wzruszył ramionami. — Mieli na grzbietach te swoje tałesy, takie białe z czarnymi pasami na końcach. Porozkładali się na jakichś szmatach czy kocach i tak czekali nie wiadomo na co.

— Robotnicy, którzy pracują na terenie klasztoru trochę ich polali wodą z okna, to się zaczęli złościć — dodaje inny mężczyzna - Tak koło piątej robotnicy postanowili usunąć ich z dziedzińca poza bramę. No, po prostu wynieśli ich — wyjaśnia — trochę się zapierali, było przy tym dużo krzyku, ale raczej ze strachu. Nikt nikogo nie pobił. Nawet potem im ławkę przynieśli, żeby sobie mogli usiąść przed bramą, ale oni nie chcieli. Ten ich rabin kopnął ławkę, tak, że się przewróciła.

Przysłuchujący się opowieściom chłopak nie do końca zgodził się z tym, co usłyszał:

— Jeden miał rozerwane spodnie, a jeszcze inny sporego guza...

— Co ty chłopie? Bronisz ich? — ostro przerwał jeden z mężczyzn.

— Mówię co widziałem — odpowiedział. — Tych Żydów też nikt nie chciał wysłuchać. Rabin usiłował coś ludziom wytłumaczyć, mówił po angielsku, a jakiś dziennikarz, chyba Anglik tłumaczył, ale ludzie go zakrzyczeli...

Podobnie było i teraz, kilka osób przysłuchujących się z boku nie dało mu dojść do słowa. Aby dokończyć rozmowę trzeba było odejść na bok.

— Nie byłem świadkiem wydarzeń — zastrzega się — ale jak już przyszedłem, wyglądali żałośnie. Trochę z nimi porozmawiałem. Przyjechali z USA, a tutaj w Oświęcimiu zginął ktoś z rodziny, a rabin Avraham Weiss nawet stąd pochodził, pytał gdzie jest teraz ulica Parkowa. Ale chyba jej nawet nie zobaczył, bo chcieli jak najszybciej się stąd wydostać. Ten angielski dziennikarz podwiózł rabina do postoju taksówek i potem rabin zorganizował im powrót taksówkami do Krakowa. Wrócili tu jeszcze w niedzielę, 16 lipca. Było ich więcej, dołączyła do nich grupa sześćdziesięciu Żydów z Kanady. W tym dniu wszystko

**2.**

Tak gada jak Kuroń — wtrącił ktoś z boku. — Też jest za nimi.

Chodziło zapewne o wypowiedź Jacka Kuronia, który na spotkaniu z rabinem Avrahamem Weissem i pozostałymi sześcioma Żydami powiedział: — W takim momencie jak ten wstydzę się, że jestem Polakiem.

— Weźcie ulotki od tego faceta z torbą koło ogrodzenia ktoś radził — to będziecie wiedzieli, ilu Żydów jest we władzach „Solidarności". A Kuroń to przecież organizował wiece przeciwko uwolnieniu Kardynała Wyszyńskiego.

Ulotki rzeczywiście rozprowadzał wśród oczekujących pan z torbą. Miał i inne materiały, oprócz dokładnej informacji, kto rządzi „wałęsowską Solidarnością" i przez kogo jest manipulowany. Z pewnością nie był to działacz „Solidarności". Ale jeżeli nie, to kim był?

Działalność owego pana nie uszła uwadze ludzi, którzy przed bramą klasztoru z własnej woli, starali się zadbać o spokój. Członkowie Komitetu Obrony Sióstr Karmelitanek w Oświęcimiu, który zawiązał się przed kilkoma dniami, poprosili w sposób zdecydowany pana z torbą, aby zaprzestał swej działalności. Powiedzieli, że żaden z mieszkańców Oświęcimia nie chce zrobić krzywdy przybyłym Żydom. W piątek, 14 lipca robotnicy wystąpili w obronie sióstr, bo bali się, że Żydzi zdecydują się na wtargnięcie do środka klasztoru, więc ich wynieśli.

— Takie akty niechęci do klasztoru ze strony przyjeżdżających Żydów nie zdarzyły się po raz pierwszy — powiedziała Maria Ziaja z Komitetu Obrony Sióstr Karmelitanek w Oświęcimiu — sytuacja trwa parę lat, ale dotychczas nie było jeszcze czegoś takiego. Przyszli czasem tutaj pod klasztor, coś tam pokrzykiwali czy odśpiewali i poszli. Wtargnięcie na teren zdarzyło się po raz pierwszy. Tyle tylko, że do tej pory mało o tym pisano i niedokładnie, i teraz zrobiła się sensacja.

**3.**

Wśród oczekujących rozeszła się wiadomość, że już są — jakieś dwie wycieczki żydowskie zwiedzają na razie obóz w Brzezince, ale pewnie niedługo tu będą. To podniosło temperaturę dyskusji. Przeważała tematyka żydowska. Zastanawiano się, co naprawdę spowodowało te protesty Żydów, jakie są kulisy. Wersje były różne.

Pierwsza — wiadomo, że Karmelitanki otrzymują wsparcie z Francji, a te z Oświęcimia są podobno pod szczególną opieką bogatej Żydówki z Paryża, przechrzty i to właśnie jest nie w smak Żydom.

Wersja druga — Edyta Stein — nawrócona Żydówka została błogosławiona, stąd niechęć Żydów.

Wersja trzecia — Austriacy zakopali w budynku skarb, Żydzi o nim wiedzą i chcą go zagarnąć.

Dom wybudowany został przez Austriaków w 1913 roku.

Przed wojną stacjonowało w nim wojsko, w czasie wojny Niemcy przeznaczyli budynek na magazyn, przechowywali gaz Cyklon-B, mundury. Również po wojnie był to magazyn, dopiero w 1984 roku, po remoncie wprowadziły się siostry Karmelitantki. Na błoniach panowała, jak widać, daleko posunięta wolność słowa. Każdy mógł mówić, co mu ślina na język przyniosła.

**4.**

Zgromadzenie przypominało piknik. Wiele osób rozłożyło się na trawie. Ci co mieli parasole, schronili się pod nimi przed silnym słońcem. Oczekiwani Żydzi nie nadchodzili. Przewodnicy dwóch wspomnianych wcześniej wycieczek żydowskich zabronili nawet swoim podopiecznym zbliżać się w okolice klasztoru.

Tłum wyraźnie przerzedził się. — Boją się i pewnie już się dzisiaj nie pokażą — zawyrokowano.

Sporo jednak jeszcze ludzi zostało. Popatrywali w stronę klasztoru. Przez cały dzień nie pojawiła się żadna z sióstr.

Nic w tym dziwnego. Jest to klasztor zamknięty. Czternaście sióstr Karmelitanek nie może w ogóle wychodzić. Wychodzą jedynie cztery siostry Serafitki, które przebywają również w tym klasztorze.

W oknie pierwszego piętra klasztoru stało kilka osób. Na błoniach krążyła informacja, że w środku jest „Solidarność". Ktoś zobaczył nawet twarz znanego posła. Z okna klasztoru kamerą wideo rejestrowano wydarzenia.

**5.**

Nie było jeszcze godziny 16, gdy na drodze prowadzącej do klasztoru pojawiła się grupa Żydów. To byli właśnie ci oczekiwani, kilkadziesiąt osób. Już zaczynali rozwijać transparenty, gdy z parkującego w pobliżu milicyjnego poloneza podeszli funkcjonariusze MO. Ponieważ tylko 4—5 osobom są w stanie zapewnić ochronę, zaproponowali, aby taka nieliczna grupa podeszła do klasztoru.

Leader grupy powiedział wtedy do swoich:

— **Decyzja należy do was.**

Zdecydowali, że pójdą wszyscy.

Byli to młodzi ludzie z Belgii, z Europejskiej Unii Studentów Żydowskich. Przewodził im Bernard Suchecki, którego rodzina w 1920 roku opuściła Polskę. Rodziny sporej części młodych ludzi również wywodziły się z Polski. Z opowieści rodzinnych znają przypadki nietolerancji wobec ich rasy.

Do Polski przyjechali na jeden dzień, aby siostrom Karmelitankom przedstawić swoje posłannictwo.

Starszy człowiek nie opodal grupy Żydów wykrzykiwał przed kamerą telewizji NBC, że on, więzień obozu, nie dopuści, aby Żydzi d szli do bramy obozu. — Nie dopuścimy — powtórzył kilka razy. Żydzi jednak poszli. Uformowali kolumnę i poszli.

Z boku towarzyszyły im okrzyki: „rauss", „schnell", „pajace".

— Nie rozpraszajcie się, nie dajcie się sprowokować — napominał swoich Bernard Suchecki.

Ze wszystkich stron otoczyli idących dziennikarze, kilkanaście ekip telewizyjnych. Fotografowali hasła, które nieśli przed sobą Żydzi.

„Karmelitki odejdźcie z obozu", „Dzisiejsze modlitwy nie mogą zakłócić ciszy przeszłości".

— Ten obóz to symbol dla Polaków — wyjaśniali — ale i dla Żydów, więc najlepiej, aby w tym miejscu nie było ani klasztoru katolickiego, ani miejsca modlitwy Żydów czy innego jeszcze wyznania. Cisza najgodniej uczci pamięć tych, którzy stracili tu życie.

— Chcemy przypomnieć o umowie, jaką czterech dostojników katolickich (między innymi ksiądz kardynał Franciszek Macharski) zawarło ze zwierzchnikami kościoła żydowskiego w Genewie 22 lutego 1987 roku — tłumaczyli. — W tej umowie podjęte zostało zobowiązanie, że w ciągu dwóch lat Karmelitanki zostaną stąd zabrane. Termin upłynął 22 lutego tego roku. Kościół katolicki wyznaczył więc drugi termin — 22 lipca 1989 roku. Przybyliśmy tutaj 23 lipca, aby powiedzieć: — znów termin nie został dotrzymany.

Obóz Koncentracyjny w Oświęcimiu został w 1979 roku wpisany do rejestru dziedzictwa światowego UNESCO i jako taki powinien pozostać nie zmieniony. Rzeczywiście niepodważalnym faktem jest, że gdy obóz funkcjonował, w budynku nie było klasztoru, był używany jako magazyn. Można jednak spierać się, czy budynek należał jeszcze do obozu czy już był poza nim.

Młodzi Żydzi doszli do klasztoru i nie próbowali nawet dzwonić do drzwi. Wiedzieli, że nie będą wpuszczeni do środka. Bernard Suchecki nakazał swojej grupie usiąść, a sam zabrał głos. Odczytał przygotowane w języku francuskim orędzie do sióstr Karmelitanek. Gdy skończył, zatrąbił w barani róg — symbol trąb, w które dął Joszua pod murami Jerycha.

— Będziemy trąbić tak długo, dopóki nie runą mury nienawiści — powiedzieli Żydzi.

Protestujący wrócili potem tą samą drogą, którą przyszli. Na końcu tej drogi Bernard Suchecki znów zatrąbił w róg. Akcja protestacyjna została zakończona. Młodzi ludzie odjechali w kilkanaście minut potem autokarem.

A cóż na to siostry Karmelitanki?

Siostry przepraszają, ale nie chcą komentować wydarzeń. Pewnie w imię chrześcijańskiej pokory opuściłyby nawet klasztor, gdyby miały dokąd iść.

Na placu budowy obiektu gdzie miały, według wspomnianej już umowy, przenieść się — około 600 metrów od obecnego klasztoru, jak dotąd jest tylko tablica informacyjna.

Ktoś powiedział mądrze, że gdyby siostry teraz były zmuszone do opuszczenia klasztoru, to fakt ten spowodowałby falę antysemityzmu, a na tym nie powinno nikomu zależeć.

**GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:**

# Niemowlęta... w kolejce

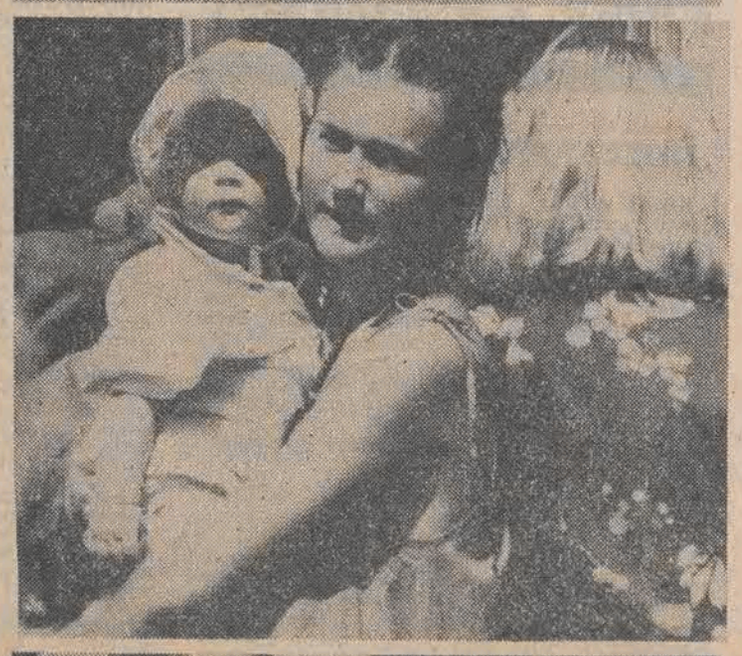

**Do sklepu „Unisco" przy Piotrkowskiej 7 dowieziono odżywki dla niemowląt. Obrazki z kolejki po „Bebiko" dedykujemy entuzjastom projektu nowej ustawy o przerywaniu ciąży.**

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

# Apostrofa do samego siebie

Jak chcesz przeniknąć co nieprzeniknione
Jak chcesz odgadnąć co nieodgadnione
Jak chcesz się zmierzyć z czasem co już minął
Czy chcesz zawołać jeszcze — „Trwaj ta chwilo!"

A może to już wszystko przeszłość zaszłość
A może to już tylko przyszłość własność
A może tu i teraz świat odkrywasz nowy
A może wszystko wiesz już lecz cudzymi słowy

Dokąd prowadzisz pod rękę sam siebie
Co ci się jeszcze pod czaszką kolebie?

# Półka z książkami

## „DZIEŁA" BRATNEGO

**Roman Bratny** dostąpił chwały klasyka: Wydawnictwo Literackie wydaje jego dorobek w długiej, liczącej kilka tomów, edycji. Ostatnio ukazał się zbiór opowiadań pt. **„Jeżeli żyjesz"** zawierający 9 utworów: **„Naganiacz", „Wyroki", „Racja wilków", „Jeżeli żyjesz", „Dawid syn Henryka", „Molto antipatico", „Abu Nill", „Chwała Bogu"** i **„Ryczeć dla odnowy"**. Można sprzeczać się o wartość literacką tych utworów, ale jedno jest bezsporne: są one dziennikarską reakcją na wydarzenia związane z naszą najnowszą historią.

**Roman Bratny: Jeżeli żyjesz i inne opowiadania. WL 1989. Str. 368. Cena 1.240 zł.**

## INTERPRETATORZY

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza od paru lat wydaje „Bibliotekę Ludową", w której prezentuje najcelniejsze książki laureatów literackiej Nagrody Nobla. Właśnie ukazali się **„Interpretatorzy"** Nigeryjczyka Wole Soyinki, wybitnego pisarza i dramaturga. Książka powstała w 1965 r. w Londynie, a jej tematyką są losy młodych nigeryjskich intelektualistów zdobywających wykształcenie poza Nigerią i usiłujących odnaleźć swoje miejsce pomiędzy cywilizacją ludzi białych a tradycją własnego narodu. Soyinka w 1986 r. otrzymał literacką Nagrodę Nobla za całokształt twórczości.

Przekład **Ewy Fiszer.**

**Wole Soyinka: Interpretatorzy. LSW 1989. Str. 268. Cena 750 zł.**

## KAMIENIE NA SZANIEC

Na tej książce wychowało się kilka pokoleń młodych Polaków, a dziś, kiedy „czasy pogardy" na dziesięciolecia odsunęły się w przeszłość, **„Kamienie na szaniec" Aleksandra Kamińskiego,** nadal stanowią cenną ilustrację dziejów naszej historii. Wspominam o tym w związku z kolejnym wydaniem tej „biblii harcerskiej" będącej lekturą szkolną. Ukazała się w **„Bibliotece Dzieci i Młodzieży".** Sądząc z notki edytorskiej, swój estetyczny wygląd książka zawdzięcza poligrafii czechosłowackiej.

**Aleksander Kamiński: Kamienie na szaniec. Wyd. „Śląsk" 1989. Str. 188. Cena 900 zł.**

**E. IW.**

UCHWAŁA I CO DALEJ?

# Czego się Jaś...

**To prawda, że przysłowie „Czego się Jaś nie nauczył..." zostało przez lata wyświechtane, ilustruje ono jednak intencje jakie przyświecały autorom uchwały Rady Narodowej Miasta z 1986 roku, w sprawie edukacji kulturalnej dzieci i młodzieży, uchwały wyróżniającej Łódź na mapie Polski. Opracowany przez międzyresortowy zespół — a w jego skład wchodzą przedstawiciele zainteresowanych placówek, instytucji kulturalnych oraz metodycy i wizytatorzy — program edukacyjny obejmuje upowszechnienie wśród dzieci i młodzieży czterech dziedzin kultury: teatralnej, muzycznej, filmowej i plastycznej.**

**Edukacja teatralna prowadzona jest w szkołach, zajmujących się głównie teorią teatru; domy kultury umożliwiają dzieciom i młodzieży podejmowanie własnej działalności artystycznej pod kierunkiem instruktorów, natomiast teatry — prezentują odpowiednio dobrane i skomponowane spektakle edukacyjne.**

**Teatr Wielki** np. prowadził **„Warsztaty operowe", w ramach których zapoznawano słuchaczy z osobowościami scenicznymi, słynnymi autorami dzieł operowych i baletowych oraz ze sposobami przygotowywania scenicznego poszczególnych gatunków. Swobodna dyskusja z widzami i tzw. łożą prasową stanowiła nieszablonowy sposób edukacji, prowadzonej w zasadzie bez dotacji z zewnątrz.**

**W roku ubiegłym Teatr Wielki dał 10 spektakli. W 80 proc. widownię stanowiły osoby zaopatrzone w karnety (wykupione na cały cykl roczny), a 70 proc. karnetów wykupiła młodzież szkolna.**

**Teatr Nowy** prowadzi **„Scenę Młodego Widza",** a na niej — czyli na małej scenie, w poniedziałki — cykl widowisk **„Od Dionizosa do współczesności",** adresowany do uczniów klas VII i VIII z 80 szkół podstawowych. Dla pierwszej grupy przygotowano w roku ubiegłym 3 spektakle, 1 zaś dla drugiej. Z myślą o młodzieży szkół ponadpodstawowych, zespół Teatru Nowego przygotował dodatkowo **„Rozmowy uchodźców" Bertolta Brechta.**

**Teatr Powszechny** z kolei prowadzi tzw. **„Scenę wędrującą"** z myślą o młodzieży szkół ponadpodstawowych. Z tej formy edukacji korzysta młodzież z 16 szkół zawodowych, 10 licealnych, 2 liceów medycznych, Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej i Liceum Sztuk Plastycznych. Z 10 przygotowanych w latach 1984/87 spektakli (prezentowanych w salach szkolnych), w roku ubiegłym wznowiono 6.

**Pomyślano także o dzieciach w wieku przedszkolnym i z młodszych klas szkół podstawowych. Do tej grupy dzieci dociera Państwowy Teatr Lalek „Arlekin" z cyklem „Lalki i ich bajki", którego spektakle łączą zabawę z nauką zasad animacji. Pewne elementy tego cyklu przygotowane zostały z myślą o dzieciach specjalnej troski.**

**W ramach edukacji teatralnej w roku ubiegłym przygotowano łącznie 4 premiery i 7 premier związanych z kanonem lektur szkolnych — m.in. pozycję szekspirowską, spektakl monograficzny o Gombrowiczu, „Parady" Potockiego itd. Nie trzeba więc nikogo przekonywać, że jest to ogromny wysiłek, zarówno teatrów jak i zespołów, za to pożytek — obustronny.**

**W proces edukacji kulturalnej włączone są również domy kultury. Na Bałutach — filia Dzielnicowego Domu Kultury, przy ul. Zubardzkiej i Łanowej. W pierwszej, raz w miesiącu organizowano w ramach edukacji teatralnej spotkania młodzieży klas VII z trzech szkół, natomiast w drugiej — kulisy teatru dziecięcego przybliżano przedszkolakom z 6 placówek i dzieciom z klas pierwszych 4 szkół podstawowych. Na Polesiu prezentowano dwa cykle: „Spotkania z bajką" — w formie zabaw parateatralnych i małych spektakli, adresowanych do dzieci z klas pierwszych 5 szkół oraz cykl „Magia teatru", obejmujący młodzież klas VII, VIII i pierwszych klas licealnych 7 szkół. Z kolei we wszystkich przedszkolach Śródmieścia odbyły się (cztery) spotkania edukacyjne z tzw. „Teatrem na stole", a na Widzewie — systematyczne wykłady z zakresu historii i teorii teatru, adresowane do młodzieży 6 szkół średnich tej dzielnicy.**

**Nie sposób pominąć tu amatorskiej twórczości teatralnej — jakże ważnego składnika edukacyjnego — uprawianej w Pałacu Młodzieży, młodzieżowych domach kultury i szkołach. W Pałacu Młodzieży np. istnieje 6 kół recytatorskich i 2 zespoły teatralne; w sześciu młodzieżowych domach kultury — 17 kół recytatorskich i 16 teatralnych; w szkołach podstawowych zaś — 56 kół recytatorskich, 26 kół teatralnych i 8 kół miłośników teatru. Wreszcie w szkołach ponadpodstawowych — 55 kół recytatorskich, 24 koła teatralne, 26 kół miłośników teatru i 5 kabaretów. Każde z kół liczy przeciętnie 15 osób, a swój dorobek prezentują na dorocznych turniejach, eliminacjach, festiwalach i konfrontacjach.**

**W równie szerokim zakresie, z dużym rozmachem, prowadzona jest edukacja muzyczna — poprzez audycje, koncerty, naukę gry na instrumentach oraz śpiewu. Filharmonia łódzka systematycznie prowadzi cykl audycji (mający na celu uzupełnienie programów nauczania), adresowany w 30 min. programach do przedszkolaków, a w 45 min — do młodzieży szkolnej. W ciągu ubiegłego tylko r. łódzcy filharmonicy dali 1720 audycji, których odbiorcami było 266 tys. młodych słuchaczy. Drugim niejako nurtem jest cykl koncertów symfonicznych dla uczniów ostatnich klas szkół podstawowych i ponadpodstawowych. Program ten zakłada 30 koncertów w cyklu trzyletnim, z czego 13 wykonano (niektóre dwukrotnie!) w roku ubiegłym, dla 4.600 słuchaczy z 26 szkół.**

**Także łódzka orkiestra „Odeon", w cyklu dwuletnim prowadzi koncerty dla młodzieży szkół zawodowych. Jego założenia programowe, opracowane przy udziale specjalistów z kuratorium, mają na celu przybliżenie muzyki poważnej, zwłaszcza instrumentalnej, poprzez muzykę popularną. Zespół „Odeonu" wziął pod opiekę młodzież z 24 szkół zawodowych, przyzakładowych i liceów medycznych.**

**Nie mniej cenny i znaczący wkład wnosi w edukację muzyczną Łódzkie Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego, które uzupełnia niejako działalność filharmonii w tym zakresie. Towarzystwo prowadzi także audycje muzyczne, lecz przygotowywane przez stałego prelegenta z udziałem pianisty, wokalisty i instrumentalisty. W roku ubiegłym takich audycji przygotowano 1200 oraz bajkę muzyczną pt. „Księżniczka Piwonii", którą w okresie gwiazdki zaprezentowano w 40 przedszkolach.**

**Inną formułę edukacyjną uprawiają wśród szerokich kręgów młodzieży (i dorosłych także) Społeczne Ogniska Muzyczne,** zajmujące się nauką gry na instrumentach. Podobną działalność prowadzi także **Łódzki Dom Kultury,** lecz specjalną metodą, w której rzeczą niezwykle pożyteczną jest to, iż każdego roku uczniowie biorą udział w organizowanym obozie o charakterze warsztatowym. Tym systemem nauczania gry na instrumentach objęto uczniów wytypowanych szkół gminnych.

Niemałą rolę spełniają też inne placówki kulturalne w dzielnicach, gminach, szkołach, a także liczne towarzystwa śpiewacze i koła miłośników muzyki. W prowadzonych przez siebie chórach, zespołach muzycznych różnego typu, czynnie umuzykalniają młodzież, a nierzadko i dorosłych.

Do edukacji plastycznej i filmowej powrócimy odzielnie, ponieważ zaangażowane są tu różne instytucje i placówki, z muzealnymi włącznie, mające ogromny dorobek, o którym wypada powiedzieć więcej. Jednakże na zakończenie warto zatrzymać się na kilku problemach wynikających z dotychczasowych doświadczeń i warunków, w jakich przyjdzie nam działać w najbliższym czasie.

Sprawą zasadniczą jest kwestia środków. Kwota przeznaczona na ten cel z Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury wyniosła w roku ubiegłym 59.900 tys. zł. Tegoroczne wydatki, wynikające z założeń programowych, muszą być znacznie wyższe. Przemawia za tym wzrost kosztów materiałowych, utrzymania obiektów, wynagrodzeń itd. Stąd też, szeroko zarysowany program edukacyjny może znaleźć się w pewnym momencie pod wielkim znakiem zapytania.

Komisja kultury rady narodowej poprzedniej kadencji wyszła z założenia, iż wydział kultury i sztuki UM powinien wyodrębnić ze swoich środków przeznaczonych na działalność instytucji i jednostek określoną kwotę i, jako dotację celową, przekazać na realizację programu edukacyjnego. Miała ona stanowić fundusz początkowy rozwoju systemu edukacyjnego, wspomagany następnie przez dotacje z nadwyżki budżetowej Rady Narodowej Miasta, umożliwiającej realizację założeń programowych przyjętych przez komisję kultury oraz komisję oświaty. Niestety, już ubiegłoroczne doświadczenie wykazało płonność tych oczekiwań. Wystąpienie wydziału kultury i sztuki z wnioskiem o przyznanie z nadwyżki budżetowej 42 mln zł spotkało się z odmową. W tej sytuacji w licznych środowiskach pojawiły się tendencje do redukowania programowych założeń, zwłaszcza w dziedzinie edukacji muzycznej. W tym środowisku najdotkliwiej bowiem dał się odczuć kryzys ognisk muzycznych, powstały w wyniku wzrostu kosztów utrzymania, a co najważniejsze — wzrostu kosztów odpłatności.

I choć tegoroczny wniosek o przyznanie z nadwyżki budżetowej dodatkowych środków na ten cel został pozytywnie załatwiony, jednakże nie gwarantują one pełnej realizacji programów.

Z tych więc względów powstają pytania: Czy na takie rozproszenie sił i środków będzie nas stać? Czy tą edukacją należy obejmować tak wielką liczbę dzieci i młodzieży, ze wszystkich możliwych szkół? Co więcej: ponieważ obserwuje się wysoce niepokojące ograniczanie zajęć pozalekcyjnych i pozaszkolnych, czy zatem programy edukacji kulturalnej mają wypełnić powstałe luki w zajęciach szkolnych? I wreszcie: czy ciężar kosztów edukacji kulturalnej dzieci i młodzieży ma spoczywać jedynie na wydziale kultury i sztuki UM oraz Rady Narodowej Łodzi, czy też włączyć się do tego winny również jednostki stopnia podstawowego — dzielnic, gmin?

Na te i inne pytania trzeba będzie odpowiedzieć zanim zacznie się nowy rok oświatowy.

**MARIAN ZDROJEWSKI**

# Pestki dyni

Pocieszające jest, że obok spraw wielkich zajmują obywateli naszego kraju również sprawy małe. Sądzę, że gdyby ich nie było, życie owych obywateli byłoby jeszcze bardziej przykre niż jest w istocie; mogłoby być wręcz koszmarne. A tak mały kłopot wypiera większy i w ten to sposób utrzymuje się jakaś psychiczna równowaga — chwiejna bo chwiejna, ale dobra i taka.

Pan Karol z Poznania pisze do Pani Beaty, która jest ekspertem od naturystów w tygodniku „VETO": — „Już od kilku lat namawiam żonę, żebyśmy zaczęli opalać się na plaży dla naturystów, ale ona nie chce za żadne skarby. Zaproponowałem, że w takim razie będę chodził sam. Też się nie zgodziła. Co ja mam robić? Nie mogę przecież odwiedzać plaży w tajemnicy przed żoną, bo przecież i tak się wyda! Jak ją przekonać, że naturyzm to wspaniała rzecz i na tych plażach nic złego się nie dzieje?"

Pani Beata odpowiada, że żonę ciężko będzie przekonać. Pewnie nasłuchała się jakichś niestworzonych rzeczy. Najlepiej byłoby, żeby choć raz wybrała się na plażę i chociaż z daleka zobaczyła jak tam jest sympatycznie. Przekona się na własne oczy, że nic złego się nie dzieje i może jej się spodoba.

W dużo lepszej sytuacji — stwierdza Pani Beata — jest Stały Czytelnik z Ryk, ale też ma kłopoty. „Oboje z żoną opalają się nago, ale tylko wtedy, gdy są sami. Chcieliby wybrać się na plażę i poznać innych naturystów, ale nasz Czytelnik obawia się, że widok rozebranych kobiet za bardzo na niego podziała. I co gorsza nie będzie przecież mógł tego ukryć a wtedy może się stać obiektem drwin. Drogi Czytelniku! Ty chyba rzeczywiście nie byłeś nigdy na plaży N. Gdybyś był choć raz, wiedziałbyś, że widok golizny w takiej masie i w naturalnym środowisku zwykle nie działa tak, jak to sobie wyobrażasz. Radzę Ci oczywiście jak najszybciej wybrać się z żoną na plażę, zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Nie musisz zresztą od razu pchać się w sam środek, gdzie najwięcej ludzi. Zatrzymacie się na początek gdzieś z boczku. Pamiętaj, że im dłużej będziesz o tym myślał i obawiał się — tym trudniej będzie Ci się zdecydować. Masz rację, gdy piszesz, że wielu mężczyzn ma podobne problemy. Ale wierz mi, mijają one po pierwszej wizycie na plaży N.

— Nie samym stołem człowiek żyje, nawet jeśli jest on najbardziej okrągły z okrągłych, zwierzył mi się mój znajomy z opozycji i zaczął — w ramach urlopu krajowego — chodzić do naturystów. Inny mój znajomy, wieloletni członek partii oświadczył mi: — Wybory żeśmy co prawda przegrali, ale dzięki obecnej kanikule odkryłem uroki plaży naturystów. Zresztą nie bez pomocy pewnej zasłużonej działaczki — dodał po chwili.

Może rzeczywiście jest to droga do pełnego porozumienia? Wszak goły człowiek, obok gołego człowieka, pośród gołych ludzi — to zawsze bliżej niż przy prezydialnym czy konferencyjnym stole...

W tymże samym numerze „VETA" (23.7.89 — nr 30) znalazłem odpowiedź znanego aktora, Jerzego Treli, na następujące pytanie Pani Elżbiety Stępkowskiej: — „Jest Pan Rektorem PWST — dlaczego tak niewiele ładnych dziewcząt studiuje w tej uczelni?"

Odpowiedź: — „Rzadko pojawiają się u nas urodziwe kandydatki. Wolą pracować w PLL „LOT" i wszędzie tam, gdzie mogą znacznie więcej zarobić. W teatrze otrzymają niewielkie pieniądze, a młode, ładne dziewczyny myślą „ekonomicznie".

I pomyśleć, że kiedyś młode kobiety poświęcały się sztuce, a młodzi i starsi mężczyźni chodzili do teatru, opery i operetki na amantki, primadonny, baletnice i chórzystki... I w efekcie wszyscy byli zadowoleni, zaś przybytki Melpomeny nie świeciły pustkami.

A może by tak wpuścić tam naturystów...?

**ANDRZEJ GRUN**

PS. Indyjska Rada Badań Medycznych wystąpiła z projektem ustawy, w myśl której stosunek płciowy z cudzoziemcem byłby dla obywatela lub obywatelki Indii przestępstwem, zagrożonym karą 3 miesięcy więzienia i grzywna 20 tys. rupii. Cudzoziemiec nie byłby karany. Ministerstwo Zdrowia ustosunkowało się do wniosku pozytywnie, ale Ministerstwo Sprawiedliwości protestuje, twierdząc, że prawo takie naruszyłoby swobody obywatelskie, zagwarantowane konstytucją. Dyrektor Generalny Indyjskiej Rady Badań Medycznych uważa, że należałoby wobec tego zmienić Konstytucję. AIDS, jego zdaniem, jest chorobą importowaną, której rozszerzeniu należałoby zapobiec za wszelką cenę.

Rys. Sławomir Łuczyński

## Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

## SZCZĘŚCIARZ

**„...Pisarz nie przechodzi z czytelnikami całej drogi — mówi Piotr Wojciechowski w rozmowie z Heleną Zaworską,** zamieszczonej w **„Literaturze"**, pt. „Jestem szczęściarzem" — prowadzi go tylko kawałek, potem pokazuje mu mniej więcej kierunek i proponuje: — idź dalej. Pisarz nie wlecze za sobą czytelnika ku wartościom. Przede wszystkim stawia pytania i sugeruje odbiorcy, że jest wolny w odpowiedzi. Niech odbiorca odpowiada jak potrafi, jak chce... Skłaniam czytelnika, żeby szukał odpowiedzi, pokazuję mu ludzi, którzy jej szukają. Tworzę więzi braterstwa pomiędzy tymi fikcjami poszukiwawczymi a czytelnikiem, bo oni są w podobnej sytuacji: wątpienia, szukania, osaczania... Etyka jest osobnym, immanentnym światem człowieka i jego sumienia. Jej zasad nie da się wywieść z żadnych nauk szczegółowych ani z doświadczeń historycznych. Można ją wywieść z doświadczenia jednostki, osoby. Wielkim błędem scjentyzmu było na przykład stwierdzenie, że człowiek oświecony nie będzie czynił zła. Albo że da się udowodnić, iż dobre jest tylko to, co będzie służyć światowej rewolucji. Tymczasem okazuje się, że uzasadnień dla etyki można szukać tylko w relacjach między ludźmi i w sumieniu. Relacje między ludźmi nie są w moich książkach skompromitowane, nie są relatywizowane. Człowiek, który kocha — kocha... Toteż sumienie nie jest od tego, żeby człowieka uspokajało, wręcz odwrotnie: jest po to, aby czyniło człowieka niespokojnym. Bo człowiek — nie tylko Bóg — jest tajemnicą. Powiedzieć, że kogoś poznało się bez reszty, że wie się o nim wszystko — to jakby go zabić. Istnieje sfera tajemnic, do których droga nie wiedzie przez ich odsłonięcie, ale przez wtajemniczenie. Różne religie i filozofie mają swoje ścieżki. Dopóki człowiek jest naprawdę głupi, to uznaje, że nie istnieje żadna ścieżka mądrości i bardzo bywa dumny ze swojego sceptycyzmu. A z chwilą kiedy postawi choćby piętę na początku tej ścieżki, to już porzucił głupotę, choćby jeszcze nie zmądrzał. I tu jest owa wielka różnica w dwóch postawach egzystencjalnych: negować istnienie tajemnicy, albo zwrócić się ku niej..."

## O TEATRZE

„Obserwacje codzienności wskazują, iż na razie w naszym życiu teatralnym dominuje niestety tendencja odwrotna: rozpadają się dotychczasowe zespoły — chociażby z tego powodu, że aktorzy, nie mogąc utrzymać się z etatu w teatrze, szukają dodatkowych pieniędzy poza macierzystą sceną, na przykład w teatrach impresaryjnych. W powstawaniu tego rodzaju scenek wielu dostrzega pozytywny objaw, świadczący o kształtowaniu się nowych mechanizmów funkcjonowania kultury w naszym kraju. Teatr impresaryjny nie jest jednak remedium na wszystkie kłopoty — mówi **Izabella Cywińska** w **„Kobiecie i Życiu"**. — Dobry, a nie będący na etacie aktor może zagrać od czasu do czasu, może być i tak, że spotka się pięciu wspaniałych i zrobią genialne przedstawienie, ale nie będzie to ten teatr, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Proszę bowiem nie zapominać, że teatr z natury swojej jest sztuką zespołową. W moim teatrze wspólnie tworzymy i wspólnie odpowiadamy za swoje dzieło. Jestem kierownikiem artystycznym, a za tym pojęciem kryje się bardzo wiele treści — ja nie tylko produkuję przedstawienia, ale przede wszystkim kieruję zespołem ludzi, którzy przychodzą do mnie, bo akceptują mój program artystyczny i ja ich akceptuję. Nie jestem więc jedynie menażerem, który wynajmuje aktorów do jednej sztuki. Dlatego chcę prowadzić teatr w Poznaniu, bo tutaj aktorzy mają mniej pokus, no powiedzmy, mniejsze szanse pracy poza teatrem, a w Warszawie chyba nie potrafiłabym dzisiaj stworzyć zespołu takiego, jak go rozumiem..."

## TEŻ SPOSÓB

Sporą popularnością cieszą się we Francji codzienne programy **„Tournez manége"** (Obroty karuzeli), służące kojarzeniu małżeństw. Bierze w nich udział trzech mężczyzn i dwie kobiety (lub odwrotnie), którzy nie widząc się wzajemnie, zadają sobie pytania. Trójka mężczyzn eliminuje na podstawie otrzymanych odpowiedzi jedną z dwóch kandydatek, a ta — poprzez następne pytania — wybiera tego, któ-

# Cukierkowe gospel

Wszyscy przywykliśmy do sytuacji, że okres letniej kanikuły nie obfituje w wydarzenia kulturalne. Teatry pozamykane na głucho, muzea, wystawy, kina i inne przybytki muz, które na co dzień nie cieszą się nadmierną frekwencją, jeszcze bardziej opustoszały. Tego lata szansę wyrwania się z obezwładniającego letargu i kontaktu z żywą kulturą dał łodzianom przyjazd zespołu **„Continental Singers and Orchestra"**. Szkoda, że skorzystało z niej niewielu, choć nikt nie żądał przy wejściu do kościoła ewangelicko-augsburskiego, gdzie koncert się odbywał, okazywania zaproszeń czy biletów.

38-osobowy zespół ze Stanów Zjednoczonych specjalizujący się w pieśniach gospels odbywa właśnie 3-miesięczne tournée na trasie Los Angeles — Nowy Jork — Europa. Do Polski przyjechał na zaproszenie Kościoła Zielonoświątkowego przy współudziale I Chrześcijańskiej Agencji Artystycznej i agencji Davine Music and Media Production. Tę grupę wokalno-instrumentalną tworzą młodzi ludzie (w wieku od 16 do 28 lat), pochodzący ze Stanów, choć jeden z jej członków jest Australijczykiem.

Dla większości ludzi, którzy wybrali się na koncert muzyki gospel, a wcześniej o zespole nic nie wiedzieli, największym zaskoczeniem było to, że występują w nim sami biali Amerykanie. Zwolennicy tego gatunku muzyki wiedzą, że nikt nie potrafi tak emocjonalnie i żywo interpretować gospels jak czarni wokaliści, wyrośli w tradycji tej murzyńskiej muzyki religijnej. Nierzadkie są nawet przypadki omdleń w czasie nabożeństw w murzyńskich kościołach na Południu USA. Gospels bowiem to nie zwyczajne pieśni o tematyce religijnej, lecz wyznanie wiary, muzyka serca i duszy czarnej społeczności amerykańskiej. W wykonaniu białych może być to li tylko lepsze czy gorsze naśladownictwo, a zatem zawsze niepełnowartościowy substytut. Toteż starają się oni maksymalnie uatrakcyjnić koncerty, stawiają na ich widowiskowość. Tą drogą właśnie poszedł zespół „Continental Singers and Orchestra". Młodzi Amerykanie zaprezentowali misternie wyreżyserowany spektakl, ze znakomitym układem choreograficznym, perfekcjonistycznie wykonany, w którym było miejsce i na przywitanie z publicznością (przez podanie najbliżej siedzącym ręki) i na zaproszenie najmłodszych widzów do wspólnej zabawy, i wreszcie czas na modlitwę. Było to gospel w wydaniu pop-rockowym, atrakcyjnie opakowane, choć nieco „przesłodzone" i dla ortodoksów tego gatunku zapewne trudne w tej formie do przyjęcia. Taki cukierek w kolorowym szeleszczącym papierku.

Po koncercie poprosiłam o chwilę rozmowy dyrygenta grupy, jej choreografa i głównego koordynatora w jednej osobie — **Briana Vaughan**, który przedstawił krótko historię zespołu. W 1967 roku z organizacji „Youth for Christ" powstała w Stanach Zjednoczonych pierwsza grupa. W czasie tegorocznych wakacji podróżuje po USA i Europie dwanaście grup, w których łącznie występuje ponad pięćset osób. Oprócz amerykańskich i trzech europejskich koncertują grupy z tak egzotycznych krajów, jak Puerto Rico, Singapur czy Korea. Ciekawostką może być fakt, że za prawo uczestnictwa w koncertach każdy członek zespołu musi wnieść opłatę w wysokości 3.700 dolarów za sezon. Pieniądze te nie pochodzą jednak z kieszeni bardzo młodych przecież artystów (w większości studentów), lecz ich bogatych sponsorów. „Continental Singers and Orchestra" nagrał dotychczas około 20 płyt, a lista krajów, w których dawał koncerty, jest bardzo długa. Zespół nie identyfikuje się z jakąś konkretną religią, jego muzyka — stwierdził Brian Vaughan — ma charakter ponadwyznaniowy, a przesłanie które im przyświeca, najlepiej wyraża hasło „Let the Whole World Sing!" na koszulkach reklamowych, sprzedawanych wraz z płytami i kasetami w czasie przerwy w koncercie.

MARIOLA KNAGA

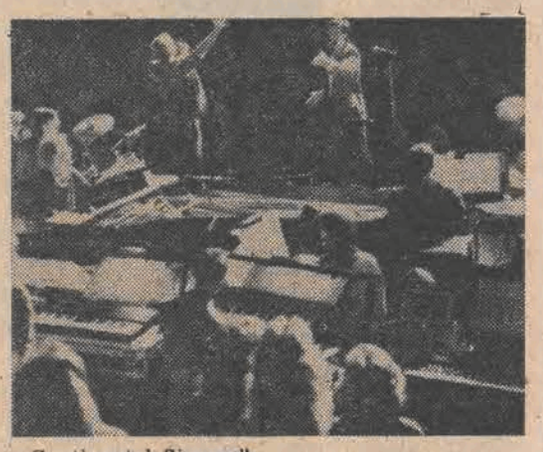

*„Continental Singers"*

*Foto: Tim Hoekendijk*

# Turpizm na pokazie piękności

Jedną z osobliwości naszych czasów jest ścisły związek między konkursami damskiej piękności a procesami demokratyzacji. Dopóki mieliśmy stalinizm, a nawet poststalinizm, żadnych konkursów piękności nie było (z wyjątkiem psich i kocich), mało tego, uważano je za proceder w najwyższym stopniu obrzydliwy, ledwie zaś ruszyła odnowa interes wybuchł nagle jak noworoczne fajerwerki, a co ciekawsze objął także rozległe tereny na wschód od Bugu, co oznacza, że mamy do czynienia ze zjawiskiem międzynarodowym. Stwarza to pokusę nie do odparcia: skoro z postępów odnowy można wnioskować o konkursach piękności, to dlaczego nie może być odwrotnie. Niestety, właśnie w tym punkcie zaczyna się problem; sądząc po ostatnim finale konkursu Miss Polonia z konkursami piękności jest coraz gorzej...

Co prawda zawsze podczas transmisji z Opery Leśnej większość mężów miała wreszcie okazję docenić urodę własnych żon, zaś co bardziej spostrzegawczy wygłaszali uwagi typu „to już ta Baśka z parteru jest ładniejsza", zawsze też jednak były istotne powody, dla których średnia urody finalistek plasowała się poniżej średniej urody większej ulicy czy zakładu fryzjerskiego. Niektórzy uważali na przykład, że idzie tu po prostu o jeden z wielu aspektów wszechobecnej zasady selekcji negatywnej („w rządzie, panie, też niby powinni siedzieć sami najmądrzejsi"), inni, odwołując się do powszechnego katolicyzmu narodu, twierdzili, że żadna przyzwoita dziewczyna nie będzie pokazywać się jakimś tam gumożercom za tak marną i koniec końców doczesną rzecz jak „Toyota", co znów jeszcze inni określali jako pruderyjne zakłamanie, doszukując się tu raczej skutków tłamszenia przez wiele lat tradycji beztroskiej ekspresji własnego ciała. I wszyscy na swój sposób mieli rację.

Dziś jednak czasy się zmieniły. W Sejmie (nie wspominając już o Senacie) mamy co najmniej 161 osób, które są jak najbardziej na swoim miejscu, rola Kościoła wprawdzie nie osłabła, nie przeszkadza to jednak w uznawaniu pożądania dóbr doczesnych za styl obowiązujący, co się zaś tyczy radosnej ekspresji ciała, to nie potrafi jej powstrzymać nawet AIDS. Dlaczego więc na scenie Opery Leśnej nic się nie zmienia, a jeżeli już, to na gorsze? Pozostając w zgodzie z poprzednimi ustaleniami wyjaśnienie może być tylko jedno: z odnową w kraju też nie jest tak dobrze jakby się wydawało, tyle że trudno rozpoznać się w tych wszystkich wyborach, spotkaniach i indeksacjach, a ciało jakie jest, każdy widzi...

Znacznie trudniejszym orzechem do zgryzienia jest wyjaśnienie mizernego poziomu spektaklu, w trakcie którego wybierano Miss. Najłatwiej byłoby odwołać się do tradycji; show w Operze zawsze był czymś pośrednim między wręczaniem zakładowych odznak za działalność społeczną i porankiem dla emerytów w MPiK-u. Ale, z drugiej strony, można by się spodziewać, że w czasach, kiedy ludzie za własne pieniądze coraz głośniej domagają się rzetelnej obsługi, organizatorzy wyciągną odpowiednie wnioski i zdecydowanie podwyższą loty. Otóż nic podobnego!

Nigdy jeszcze prezenterzy w tak ostentacyjny sposób nie podkreślali swoich kwalifikacji do pracy w zakładzie pogrzebowym (pomijając ewidentne niezręczności). Nigdy mowa otwierająca tak bardzo nie zbliżała się do przemówienia w uspołecznionym zakładzie pracy, który stoi nad przepaścią. Nigdy prezentowane przez finalistki numery nie były tak podobne do malowniczych konfiguracji zwierząt gospodarskich, tyle tylko, że czworonogom nikt jakoś nie gra „Bolera" Ravela. Nigdy wreszcie kompozycja występów artytycznych nie nasuwała tak wyraźnych podejrzeń o rozpaczliwą improwizację.

Realizatorów można jeszcze jako tako zrozumieć; pragnęli po prostu dosięgnąć ideałów prawdziwego artysty, tzn. osiągnąć idealną zgodność formy z treścią (czyli wspomnianą wyżej urodą finalistek). Jak jednak zrozumieć publiczność? Pewną wskazówką może tu być tylko trening aplikowany jej w postaci częstych i długich sprawozdań z obrad Parlamentu. Koło się zamyka. Jeżeli jednak Opera Leśna nie chce stracić wiodącej roli w procesie odnowy musi zdecydowanie podkręcić tempo; może tak wybory Mister Polonia?...

RYSZARD NAKONIECZNY

# Muzyka w Sokolnikach

Sokolniki to jedna z bardziej lubianych przez łodzian miejscowości letniskowych. W tym malowniczym, leśnym zakątku spędzają wakacje liczni właściciele dacz i przygodni wczasowicze. Zaś wśród stałych mieszkańców nie brak i takich, którzy porzucili miasto dla ciszy i lepszego, choć — niestety — też już przecież niezupełnie czystego, powietrza.

Właśnie do sokolniczan z wyboru należą państwo **Jolanta** i **Ryszard Osmolińscy**. Oboje są skrzypkami, absolwentami łódzkiej Akademii Muzycznej, od lat występującymi jako **Polskie Duo Skrzypcowe**. Historia owego miniaturowego, dziś „rodzinnego" ansamblu sięga wspólnego, trwającego 4 lata pobytu młodziutkich wówczas muzyków na kontrakcie artystycznym w Neapolu. Grając tam w orkiestrze postanowili również zaznaczyć swą obecność jako kameraliści. Inicjatywa się powiodła, tę formę działalności doceniły nawet neapolitańskie władze, przyznając specjalną nagrodę.

Dlaczegóż by nie zrobić teraz czegoś dla Sokolnik? — powiedział mi w ubiegłym roku Ryszard Osmoliński mając na uwadze fakt, że urządzane niekiedy latem w uzdrowiskach i miejscowościach wypoczynkowych cykle koncertów cieszą się, na ogół, dużym powodzeniem. Dla swojego pomysłu wakacyjnych prezentacji muzycznych zyskał rychło sprzymierzeńców w Wydziale Kultury UW w Łodzi, władzach Ozorkowa i Sokolnik, a nawet Instytucie Włoskim w Warszawie i w ten sposób narodziło się **„I Muzyczne Lato"** w Sokolnikach Lesie. Na 7 kolejnych niedziel, przed południem, zaplanowane zostały w Ośrodku Wypoczynkowym Służby Zdrowia występy solistów i zespołów. Wśród nich — śpiewaków **Grażyny Krajewskiej-Ambroziak** i **Zdzisława Krzywickiego**, flecistki **Katarzyny Przybylskiej** i klawesynistki **Ewy Piaseckiej**, pianistki **Marianny Amodio** i oboisty **Gerardo Amodio**, gitarzysty **Jacka Dulikowskiego**, akordeonisty **Bogdana Dowlasza**, orkiestry smyczkowej PLM w Łodzi pod dyr. **R. Osmolińskiego**, a także Polskiego Duo Skrzypcowego.

Na koncert tych dwojga sympatycznych wiolinistów wybrałem się 23 lipca. Impreza odbyła się w warunkach plenerowych, na przygotowanej zawczasu estradzie, gdyż pogoda była upalna. Jolanta i Ryszard Osmolińscy przedstawili sokolnickim melomanom 3 odmienne pod względem charakteru kompozycje, reprezentujące różne epoki: od baroku po współczesność. Najpierw zabrzmiała 3-częściowa **Sonata e-moll na 2 skrzypiec J. M. Leclaira**, z pełnym gracji gawotem jako częścią środkową. W tym stylowo zagranym utworze najmniej przypadła mi osobiście do gustu interpretacja finałowego Presto, trochę jakby słabszego pod względem dźwiękowym.

Ze wszech miar udany okazał się następny punkt programu — **Pieśń polska op. 12 H. Wieniawskiego** w opracowaniu na 2 skrzypiec. Bez zarzutu wypadło współdziałanie kameralistów prowadzących wyrazisty dialog, na zmianę realizujących bowiem melodię i akompaniament.

Zakończyła występ 7-częściowa **Suita G. Bacewicz**, zbudowana w oparciu o zasadę silnych kontrastów temp. Odtworzona została muzykalnie, z wigorem, choć i tu zamykające całość, witalne Allegro wzbudziło moje niewielkie zastrzeżenia z punktu widzenia walorów dźwiękowych, a nawet, w pewnym momencie, intonacyjnych.

W sumie wizyty w Sokolnikach nie żałowałem. Na podstawie tego, co usłyszałem i zobaczyłem mogę stwierdzić, że zamiar organizatorów kontynuowania „Muzycznego Lata" w przyszłości, godny jest poparcia.

JANUSZ JANYST

## Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

ry przystąpi z nią do następnego etapu konkursu. Dobrana w ten sposób para otrzymuje 2 tys. franków na wspólne spędzenie wieczoru i pogłębienie znajomości. Następnego dnia w studiu telewizyjnym prowadzący program sprawdzają, na ile nowi znajomi są zadowoleni z przypadkowego wyboru. O ile test wypada pomyślnie, para otrzymuje kolejną nagrodę w postaci wycieczki dla dwóch osób. W ciągu ostatnich trzech lat wzięło w programie udział 5 tys. panien i kawalerów. Dorobkiem tych telewizyjnych spotkań jest dotychczas 20 małżeństw i pięcioro dzieci... **(„Antena")**.

### NIEZNANY GORKI

Tak zapowiadała telewizja radziecka spektakl oparty na jego sztuce **„Dziwak"**. Napisany w 1910 roku utwór nie był wystawiany od przeszło 70 lat i znany tylko historykom literatury i teatru. Dramat określony dodatkowo przez autora jako „sceny", jest opowieścią o inteligencji, jej osamotnieniu w próbach oddziaływania na rozwój procesów, należy do słabszych dzieł autora **„Letników"** i — zdaniem krytyków — słusznie skazany na zapomnienie, stanowiąc dziś jedynie zabytek literacki.

### POPIERSIE MICKIEWICZA

Obchody 200 rocznicy urodzin **Adama Mickiewicza** zapoczątkowało na Białorusi odsłonięcie jego popiersia w Lidzie. Postument wzniesiono w pobliżu gimnazjum, do którego uczęszczał poeta, przy ulicy noszącej obecnie jego imię. Twórcą popiersia jest białoruski rzeźbiarz **Walery Januszkiewicz**. Z okazji rocznicy odbudowany zostanie rodzinny dom Mickiewicza w Nowogródku oraz nastąpi odsłonięcie tablicy nad jeziorem Świteź, upamiętnionym w jego balladach.

### NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

**Andrzej Szczypiorski „Początek"** (Instytut Zachodni, Poznań 1989) — 2500 zł (cena nominalna 1000 zł); **Melchior Wańkowicz „Bitwa o Monte Cassino"** (Wyd. MON 1989, reprint 3-tomowego rzymskiego wydania z 1945) — 30 000 zł (cena nominalna w opr. broszurowej: 19 800 zł); **Czesław Madajczyk „Dramat katyński"** (KiW 1989) — 2800 (cena nominalna 1000 z); **Andrzej Leszek Szcześniak „Katyń"** (tło historyczne, fakty, dokumenty Alfa 1989 — 2500 zł cena nominalna 1000 zł; **Jerzy Kosiński „Malowany ptak"** Czytelnik 1989 — 6000—6500 cena nominalna 1200 zł; **Stanisław Nicieja „Cmentarz Łyczakowski"** (drugie wydanie „Ossolineum" — 6000 zł) cena nominalna 3500 zł; **Bronisław Geremek „Litość i szubienica"** Czytelnik 1989 — 4500 zł cena nominalna 1700 zł; **Kazimierz Leski „Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK** PWN 1989 — 4000—6000 zł cena nominalna 1900 zł; **Cezary Leżeński „Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym"** Wyd. Lubelskie 1989 — 5000 zł cena nominalna 2 t. 2500 zł.

# Galeria pisarzy

MIECZYSŁAW KUCNER

*Rys. Sławomir Arabski*

# Kronika

**TRZY MIĘDZYNARODOWE KONGRESY ŚWIADKÓW JEHOWY** — pod hasłem przewodnim „prawdziwej pobożności" — **zgromadzą w Chorzowie** (1—6 VIII br.), **Poznaniu** (w tym samym terminie), **Warszawie** (11—13 VIII) — **ok. 140 tys. uczestników.**

Spodziewany jest **przyjazd delegatów z 22 państw. Kraje europejskie** reprezentowane będą **przez 20 tys. wyznawców Jehowy, zaś z Ameryki Północnej przyjedzie 2500 osób.** Delegaci zagraniczni oddadzą **hołd pomordowanym w Oświęcimiu,** zwiedzą również **miejsca urodzin Fryderyka Chopina i Marii Skłodowskiej-Curie.**

**SĄD WOJEWÓDZKI W ŁODZI** zarejestrował 27 lipca br. dwa nowe stowarzyszenia: **Chrześcijańską Misję Społeczną „Sukkot"**, utworzoną przez osoby związane z **Kościołem Zielonoświątkowym** oraz **Stowarzyszenie Społeczno-Oświatowe.**

Członkowie Chrześcijańskiej Misji Społecznej zajmą się **zwalczaniem zjawisk patologii społecznej,** zaś Stowaszyszenie Społeczno-Oświatowe — **organizowaniem oraz prowadzeniem tzw. społecznych szkół podstawowych i średnich**

**MUZEUM HISTORII FOTOGRAFII W KRAKOWIE** — z okazji 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej — **przygotowuje wystawę poświęconą oficerom polskim zamordowanym w Katyniu.**

**NAKŁADEM WYDAWNICTWA LUBELSKIEGO** ukażą się niebawem wspomnienia **Jana Dzieduszyckiego pt. „Trzy lata wykreślone z życiorysu". Obrazują one losy Polaków internowanych przez NKWD na Wschodzie.** Jest to pierwsze krajowe wydanie książki, która **trzy lata temu ukazała się w Paryżu.**

**W POZNANIU,** na Starym Rynku 41, gdzie mieściła się ongiś znana apteka „Pod Białym Orłem" **otwarto Muzeum Farmacji.** Utworzenie muzeum było przede wszystkim możliwe dzięki darom spadkobierców starych rodzin aptekarskich.

**W INTERESUJĄCYM WYWIADZIE** udzielonym „Tygodnikowi Kulturalnemu" (nr 30 z br.) **Agnieszka Holland stwierdziła m.in.:**

„Muszę powiedzieć, iż irytuje mnie w polskiej kulturze łatwość z jaką przychodzi jej (...) skłonność do obarczania odpowiedzialnością za zło zawsze kogoś z zewnątrz (...). Schematy czarno-białe nigdy mi nie odpowiadały. Także kiedy kręciłam „Zabić księdza", starałam się unikać zbyt łatwo narzucających się podziałów na wcielone zło i uosobioną dobroć, chciałam pokazać, że to jest bardziej skomplikowane".

**ZE WZGLĘDU NA PRZESZKODY NATURY FINANSOWEJ Bałtycka Agencja Artystyczna** zmuszona została **przełożyć na przyszły rok koncert z okazji 30-lecia muzyki rockowej w Polsce. Odbędzie się on w dniach 15 i 16 czerwca 1990 r. w Sopocie.**

W tej z wielkim rozmachem przygotowywanej imprezie **weźmie udział ponad 100 wykonawców** — m. in. legendarny **Bogusław Wyrobek, Wojciech Korda, Czesław Niemen,** zespoły: **Lady Pank i Voo-Voo.**

**NAGRODA WARSZAWSKIEJ PREMIERY LITERACKIEJ przypadła** w lipcu br. **Stefanowi Kisielewskiemu** — popularnemu Kisielowi z łam „Tygodnika Powszechnego" — **za opublikowany przez „Znak" wybór felietonów pt. „Lata pozłacane, lata szare".**

**W STOŁECZNEJ KORDEGARDZIE,** z okazji **45. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego,** 26 VII br. **otwarta została wystawa malarska pn. „Powstanie Warszawskie w twórczości Lecha Okołowa".**

Artysta **przeżywał powstanie jako 11-letni chłopiec, był świadkiem walk na Czerniakowie.** Swoje doznania utrwalił później malarską paletą.

**NA PÓŁKI KSIĘGARSKIE** dociera pierwszy tom **„Sztuki świata"** (drukowany w Czechosłowacji), — monumentalnego, 10-tomowego dzieła przygotowywanego przez „Arkady". Ukazanie się całości **przewidziane jest do 1994 roku (2 tomy w roku).** Nakład rozprowadzany będzie w subskrypcji oraz w wolnej sprzedaży.

W tym ogromnym przedsięwzięciu edytorskim uczestniczy wielu partnerów. Za druk **„Budimex" wykonał usługi na rzecz czechosłowackiej poligrafii.**

**ORGANIZATORZY UBIEGŁOROCZNEGO „ARSENAŁU '88" — Jarosław M. Daszkiewicz i Leszek Jampolski — przygotowują** w warszawskiej Hali Gwardii **nową wystawę.** Ekspozycja w zamierzeniu **ma być konfrontacją dokonań plastyki polskiej i radzieckiej w ostatnich latach.**

Otwarcie wystawy odbędzie się 18 sierpnia br.

**ŁODZIANIN, inż. Tadeusz Kiełbasiński, od 35 lat gromadzi pamiątki związane z Łemkami.** Ozdobą jego kolekcji są łemkowskie stroje ludowe, sprzęty gospodarstwa domowego oraz bogaty zbiór publikacji **(liczne „białe kruki").**

**BIBLIOTEKA NARODOWA W KRAKOWIE** zgromadziła prawie **4 tys. publikacji oficyn niezależnych. Oczekują one** obecnie **na skatalogowanie.**

**Opracował: JAK**

ze str. 1

wym przebiegu wydarzeń, którego nie zawierają opracowania historyków. W każdym razie na podstawie jednej z publikacji, wydanej po wojnie w Warszawie, autorstwa wiarygodnego obywatela i społecznika, księgarza i wydawcy Bronisława Szczepankiewicza, wynikałoby, że pierwsza masakra ludności nastąpiła w nocy z 4 na 5 sierpnia 1914 r., kiedy to m. in. wymordowano całą rodzinę znanego żydowskiego kupca Kapłana. Następnego dnia Bronisław Szczepankiewicz naliczył w jednym miejscu zgromadzone zwłoki 17 cywilów. Gdy spytał kogoś z niemieckiej komendantury o przyczyny, dowiedział się, że to w odwet za skrytobójcze morderstwa niemieckich żołnierzy popełniane przez Polaków. Oskarżeniu temu przeczyłaby okoliczność, że żaden z pamiętnikarzy nie wspomina, że widział trupy żołnierzy. Podobno jednak kaliski lekarz dr Alfred Dreszer, który uczestniczył w sekcji zwłok żołnierzy, miał oświadczyć — mimo pogróżek, iż znalazł niemieckie kule.

### 3.

Pierwsi mieszkańcy zaczęli opuszczać miasto, ale po dniu ciszy i ustaniu niemieckich represji, zaczęli powracać, gdy raptem 7 sierpnia 1914 r., czyli szóstego dnia od wkroczenia Niemców nastąpiło zdecydowane pogorszenie sytuacji, zaczęło się jawne podpalanie budynków śródmieścia przez specjalne grupy żołnierzy, tego dnia podpalono ratusz, a przez całą noc trwał silny ostrzał artyleryjski, co wywołało masowy już exodus ludności, przeważnie pieszo, wśród palących się domów i całych ulic, z pospiesznie spakowanym dobytkiem na plecach. Tylko zamożniejszym i posiadającym własne pojazdy udało się uratować znaczniejszą część ruchomego dobra, ale i tak płonęły meble, obrazy, cenne księgozbiory, rodzinne pamiątki. W tak długo spokojnej i bezpiecznej dla zwykłych ludzi Europie były to dni grozy zupełnie niepojętej, nie mieszczącej się w wyobraźni.

Jak długo trwało podpalanie i ostrzeliwanie miasta trudno ustalić, wiadomo, że 16 sierpnia 1914 r. podpalono budynek teatru, a jeszcze 22 tego miesiąca widziano podpalanie jednej z kamienic śródmieścia. Co prawda obserwatorów było niewielu. Pozostało bowiem w mieście tylko ok. 5 tys. mieszkańców głównie przedmieść. Zniszczono 900 budynków, czyli ok. 18 proc., niektóre śródmiejskie ulice co do jednego budynku.

Co nie padło pastwą płomieni lub nie zostało przywalone gruzami, stało się przedmiotem rabunku społecznych mętów, których część z pewnością w tym celu pozostała w mieście. Niezależnie od tego, od pierwszych dni zagłady miasta postępowały planowe i metodyczne rekwizycje przez okupanta zapasów żywności, surowców przemysłowych, maszyn i urządzeń fabrycznych, różnego rodzaju metalowych przedmiotów, nadających się do przetopienia na złom dla fabryk zbrojeniowych, nie przeoczono także wyposażenia szpitala. Krwawe dni sierpnia pochłonęły też nie ustaloną, idącą w dziesiątki liczbę ofiar śmiertelnych.

### 4.

Pozostaje ciągle, moim zdaniem, otwarte pytanie: czy był to akt barbarzyństwa bezmyślnego czy zamierzonego? Trudna do przyjęcia wydaje mi się popularna przez długi czas hipoteza, że najwyższe niemieckie czynniki wojskowe czy państwowe postanowiły już wcześniej zburzyć jakieś większe i ważniejsze miasto na zajmowanych rosyjskich terenach, aby *„rzucić strach na ludność"* i sparaliżować w zalążku wszelki opór przeciwko zarządzeniom niemieckiej okupacji wojskowej.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że Niemcy prowadzili wojnę z Rosją, nie zaś — z wymazanym z mapy — państwem polskim, a ponadto „Kongresówka" stanowiła rdzennie polski obszar, i chyba raczej na pozyskaniu Polaków i wygrywaniu kwestii polskiej przeciwko Rosji oraz jej aliantom powinno by zależeć Niemcom. *„Id fecit, cui prodest"* — „Ten uczynił, komu to służy" — mówi łacińska maksyma, a niemieckim władzom najwyższym, jeśli nie utraciły rozumu, nie mogło dobrze służyć zrażenie do siebie Polaków, którzy i bez tego barbarzyńskiego aktu niechętnie odnieśli się do walczących u boku Austrii (sojuszniczki Niemiec!) legionistów Józefa Piłsudskiego.

A w takim razie, czy major Hermann Preusker pastwił się nad Kaliszem na własną rękę? Wprawdzie wiele wskazuje na to, że w czasie wkraczania do Kalisza ostrzelały się pomyłkowo dwa oddziały niemieckie i były też — szybko uprzątnięte — ofiary śmiertelne, dogodnie więc było Preuskerowi i jego bezpośrednim zwierzchnikom zataić przed wyższym dowództwem ten „błąd sztuki", zwalając winę na polską ludność Kalisza, ale czy działania odwetowe, akceptowane przez czynniki najwyższe, mogły przybrać tak szeroki zasięg i takie niszczycielskie skutki, nie przysparzające armii niemieckiej sympatii w świecie? Co innego pogwałcenie neutralności Belgii, przez którą wiodła najpewniejsza droga do szybkiego zdobycia Paryża, a więc warto tu było narażać się na złą opinię.

Co do Kalisza, to w żadnych archiwach nie zachowały się dokumenty (a chyba ich szukano) wyjaśniające cui bono popełniono zbrodnię na mieście, którego zburzenia nie mógł wymagać interes Niemiec, jak zburzenia Kartaginy wymagały, przynajmniej w opinii Katona, interesy Rzymu.

### 5.

Epopeja wojenna Kalisza i jego mieszkańców nie kończy się, moim zdaniem, na tragicznym sierpniu 1914 r. Stopniowy, począwszy od jesieni 1914 r., i coraz bardziej masowy powrót kaliszan na gruzy i zgliszcza swojego miasta, żeby je odbudować, jest również godny uwagi. Już w dwa lata po zniszczeniu miasta, w jesieni 1916 r. (a więc jeszcze w czasie trwania wojny i pod okupacją niemiecką) ludność wzrosła do 33 tys., a po odzyskaniu niepodległości odbudowa, przy coraz wydatniejszej kredytowej pomocy państwa, ruszyła pełną parą i na początku lat trzydziestych w przeszło 50-tysięcznym wówczas Kaliszu nie można już było prawie doszukać się śladów zniszczeń, z wyjątkiem gmachu teatru, oddanego do użytku dopiero w 1937 r.

To znamienne dla nas, że ta epopea ofiarności i wyrzeczeń społeczeństwa, rozwiązywania z aprobatą mieszkańców mnóstwa problemów organizacyjnych i porządkowych, nie oddziałała na wyobraźnię pisarzy, i na dobrą sprawę nie doczekała się nawet godnego publicystycznego utrwalenia. Czy kochamy się tak bezgranicznie w martyrologii, że już nie starcza zapału i wyobraźni na kultywowanie tradycji zbiorowych sukcesów?

**JERZY KWIECIŃSKI**

# Dlaczego pruski major zniszczył Kalisz?

Kalisz w czasie wojny 1914 — Rynek z ratuszem

Czy Józef Stalin był antysemitą? (3)

# Bardziej Osetyniec niż Gruzin

**RYSZARD BADOWSKI**

Wśród Żydów, którzy zawdzięczali swoją karierę Józefowi Stalinowi, zaszedł wysoko Lew Mechlis. Pochowano go w murze kremlowskim. Zmarł trzy tygodnie przed Stalinem.

W latach dwudziestych, po skończeniu Instytutu Czerwonej Profesury, Lew Mechlis podjął pracę w sekretariacie Stalina. Generalny sekretarz zaczął właśnie upajać się władzą. Radziecki publicysta Wiktor Gorochow przytacza taką scenę z Kremla:

— *Mechlis, zapałki* — raz po raz rozlegało się z gabinetu Stalina i Mechlis spieszył na wezwanie.

Pewnego dnia, wchodząc rano do swojego gabinetu, Józef Stalin za zdziwieniem zauważył nowość: na specjalnej półeczce obok stołu leżały staranie ułożone papierosy „Hercegowina Flor", tytoń fajkowy, pudełka zapałek. Ale nie minęła minuta, gdy z wewnętrznego telefonu dobiegło:

— *A jednak, Mechlis, zapałki.*

Na Mechlisa Stalin miał „hak": w latach 1907—1910 był członkiem uznawanej za burżuazyjną Żydowskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej Poalej-Syjon.

### Mechlis był pojętny

Był naczelnym redaktorem „Prawdy", kierownikiem wydziału prasy KC WKP(b). Później Józef Stalin zrobił go szefem Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej, Ludowym Komisarzem Kontroli Państwowej, wiceministrem Obrony, przedstawicielem Sztabu Generalnego na Froncie Krymskim, członkiem rad wojennych innych frontów. Nienawidziło go wojsko. Wydawał głupie rozkazy, prowadzące do dużych strat w ludziach. Za najmniejsze przewinienie stawiał oficerów i żołnierzy przed trybunałem. Miał na imię Lew. Uważano go za wilka.

Kozioł ofiarny — to określenie pasuje natomiast do pochodzącego z Grodna Jakuba Jakowlewa (Epsteina), który zajmował funkcję ludowego komisarza rolnictwa w latach kolektywizacji. Roj Miedwiediew nazywa go ślepym narzędziem. O sprawach kolektywizacji decydował bowiem Józef Stalin, podejmując osobiście działania, które dopiero później konsultował z Komitetem Centralnym partii. Niekiedy nie uzgadniał ich nawet z Biurem Politycznym. Tak było ze sprawą „rozkułaczania". Biuro Polityczne KC WKP(b) zaaprobowało związane z nią wywózki milionów ludzi po 2—3 tygodniach od czasu wydania poleceń Jakubowi Jakowlewowi. Jakuba Jakowlewa rozstrzelano w 1938 roku.

W Związku Radzieckim roztrząsa się stopień odpowiedzialności różnych osób, poza Stalinem, odpowiedzialnych za brutalnie przeprowadzoną kolektywizację. Trzeba przypomnieć, że w 1933 roku na czele wydziału rolnego KC WKP(b), przez który szły dyrektywy Józefa Stalina do organizacji partyjnych na wsi i administracji terenowej, stał Łazar Kaganowicz. Jednocześnie to on w latach 1933—34 przeprowadzał czystkę w partii. Wtedy właśnie skupił w swych rękach największą władzę.

### Z inicjatywy Łazara Kaganowicza

W 1934 roku Józef Stalin wydał zgodę na utworzenie na Dalekim Wschodzie, w Kraju Chabarowskim, jedynego wówczas na świecie państwa żydowskiego — Żydowskiego Obwodu Autonomicznego, który istnieje do dziś ze stolicą w Birobidżanie. Żydowski OA zajmuje obszar 36.000 km kwadratowych i jest półtora raza większy niż państwo Izrael w granicach określonych przez ONZ w 1947 roku wraz z terenami przyłączonymi w wyniku wojny z sąsiednimi krajami arabskimi w latach 1948—49.

Żydzi niechętnie osiedlali się na Dalekim Wschodzie. Żydowski OA liczy obecnie 216 tysięcy mieszkańców (Izrael ponad 4 miliony), z czego Żydzi stanowią mniej niż połowę, prawdopodobnie nie więcej niż jedną trzecią.

Józef Stalin wściekł się, gdy Żydzi radzieccy zapragnęli po II wojnie światowej mieć własne państwo na Krymie, skąd wysiedlono do Kazachstanu ludność tatarską. Projekt ten miał mu przedstawić przewodniczący Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego Salomon Łozowski. I to stało się bezpośrednią przyczyną rozwiązania organizacji, która zbierała dane o martyrologii Żydów w czasie okupacji. Od roku istniało już państwo Izrael, za powstaniem którego ZSRR głosował na forum ONZ. Działaczy komitetu uznano za syjonistów. W Moskwie mówiło się, że żona Mołotowa, Polina Żemczużyna, to przyjaciółka Goldy Meir. Przyszła premier Izraela, pochodząca z Kijowa, była w latach 1948—49 przedstawicielką dyplomatyczną Izraela w Moskwie i zapewne na różnych przyjęciach obie panie spotykały się i rozmawiały. Uknuto z tego intrygę.

Józef Stalin był takim samym antysemistą, jak anty-Gruzinem, anty-Rosjaninem czy anty-Polakiem. Świadczy o tym los Stanisława Redensa jedynego spowinowaconego z nim Polaka. Pochodzący z Mińska Mazowieckiego Stanisław Redens, mąż jego szwagierki Anny Alliłujewej, został na podstawie fałszywych oskarżeń rozstrzelany, gdy Stalin rozprawiał się z rodziną swej pierwszej żony — Gruzinki i drugiej — Rosjanki.

W okresie Rewolucji Październikowej Stanisław Redens był członkiem moskiewskiej grupy SDKPiL. W 1918 roku trafił do WCzK. Pracował na odpowiedzialnych stanowiskach w organach „czerezwyczajki" w Moskwie, Kijowie, Odessie, na Krymie, a tuż przed aresztowaniem był komisarzem ludowym spraw wewnętrznych w Kazachstanie. Pochodził z robotniczej rodziny. W wieku 10 lat rozpoczął pracę w Dnieprowskich Zakładach Metalurgicznych w Kamienskóje. Tam wstąpił do partii. Świetlana Alliłujewa pisze z dużą sympatią o swym polskim wujku Stanisławie. Zrehabilitowano go w 1961 roku. Żona Stanisława Redensa Anna, siostra żony Józefa Stalina Nadieżdy Alliłujewej, powędrowała na zesłanie.

Wnuczek Stalina zapytał kiedyś Swietłanę Alliłujewą:

— *Czy to prawda, że dziadek był kiedyś Gruzinem?*

Powszechnie uznaje się go za Gruzina, jednakże znany radziecki historyk prof. Dmitrij Wołkogonow nazywa go *„podstępnym Osetyńcem"*. Poeta Osip Mandelsztam także pisał o nim jako o *„Osetyńcu z szeroką piersią"*, w szyderczym epigramie, którym wydał na siebie wyrok śmierci.

Józef Stalin urodził się w Gori, na terytorium obecnego Południowo-Osetyńskiego Obwodu Autonomicznego, zamieszkałego przez Osetyńców i Gruzinów.

### Matka jego była Gruzinką, ojciec Osetyńcem

o nazwisku Dzugajew, które w gruzińskiej wersji brzmi Dżugaszwili. Ubogi szewc pił i bił żonę. Stalin nigdy nie darzył miłością ojca ani matki. Nie przyjechał do Tbilisi na jej pogrzeb. Opowiadano sobie na ucho, że był nieślubnym dzieckiem Mikołaja Przewalskiego, słynnego rosyjskiego podróżnika i geografa. Źródłem tej plotki było, jak sądzę, wielkie podobieństwo portretowe Józefa Stalina i Mikołaja Przewalskiego, o czym można się przekonać zaglądając na str. 456 II wydania „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej" (1955 rok). Mówiono, że Mikołaj Przewalski mieszkał w Gori w domu Dzugajewa-Dżugaszwili i miał romans z jego żoną. Owocem tego romansu miał się stać Soso, który wyrósł na tyrana. Mikołaj Przewalski podobno pomagał w jego kształceniu (Josif Dżugaszwili rozpoczął naukę w Gorijskiej Szkole Duchownej, a w wieku 15 lat wstąpił do Tbiliskiego Seminarium Duchownego).

Brak udokumentowanych danych na potwierdzenie tych słuchów. Józef Stalin urodził się 21 grudnia 1879 roku. Mikołaj Przewalski miał wówczas 40 lat (zmarł w 1888 roku) i teoretycznie mógł być jego ojcem. Rzecz jednak w tym, że w latach 1879—1880 znajdował się ... w Tybecie.

Ta wersja rozpowszechniła się w Polsce, gdzie w różnych publikacjach robiono aluzje, iż Józef Stalin jest nieślubnym ... polskim dzieckiem. Szereg autorów próbowało udowodnić polskość Mikołaja Przewalskiego. Profesor Antoni Łaszkiewicz, który sam pochodził z Kaukazu (urodził się w mieście Zakatały, należącym niegdyś do Gruzji, a teraz do Azerbejdżanu) przeprowadził gruntowne badania, z których wynika, iż protoplastą rodu Przewalskich był Kozak, nobilitowany w XVI wieku, który z nadania królewskiego otrzymał rozległe dobra na Witebszczyźnie. Po I rozbiorze Polski część rodziny Przewalskich zdeklarowała się jako Rosjanie, przodkowie Mikołaja czuli się długo Polakami. Jego dziadek był katolikiem. Matka i ojciec wyznawali już prawosławie.

W warszawskiej książce telefonicznej jest kilku Przewalskich. Kiedy w większym gronie osób, które rozpowszechniały opowieść o Stalinie-Polaku podałem wyniki swych ustaleń, jedna pani z błyskiem w oku zapytała:

— *W którym miesiącu 1879 roku Przewalski udał się do Tybetu i czy jest pan pewien, że nie jechał przez Kaukaz.*

Nie byłem pewien...

Andrzej Makowiecki

# Pięćdziesiąt melonów

32

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

Dranie! Luksusu im się zachciało.

— Prawie osiemdziesiąt dolarów — powiedział. — Straszne pieniądze.

— Straszne — przytaknął osioł z wąsikiem.

Obiady pewnie jedliście na miejscu?

— Ano, jedlim, panie. I kolacje tyż. Piwo dawają dobre trza przyznać, lecz cienżki ankohol się sprzeciwio. Rzygłem.

— Niemożliwe?!

— Niech pan spyta kobity!

— Rzygnął — zaświadczyła kobita.

Osioł wypił trzy szklanki wody i zamiast podziękować, tyknął na Bogu ducha winną Grażynę:

— Dzwoń pani do tego Areoflota!

— Na razie mają nieczynny komputer.

— Co mnie obchodzi komputer! Pieniędze za bilet, tośta wzieli, ino jak należy człowiekowi pomóc, to was ni ma!

— Proszę się uspokoić — tłumaczyła łagodnie Grażyna. — Zrobimy wszystko, aby państwu pomóc, choć jest to sprawa Radzieckich Linii Lotniczych, a my działamy tylko grzecznościowo.

Osioł skinął pokojowo głową. Wąs nad górną wargą ruchliwą i giątką jak gąsienica, przybrał wyraz głębokiej zadumy i smutku.

— Czego bym chciał, to zamknąć oczy, a potem otworzyć je i żeby już była Polska.

Grażyna zerknęła wymownie na karykaturzystę; ten wstał i ucałował ją w grzbiet dłoni, trochę wyżej, niżby wypadało, więc była zdziwiona.

— Ucieka pan? — zapytała chłodno.

— Tak. Jutro wpadnę. Adiós.

Czekał na windę modląc się, aby nie wysiadł z niej konsul. Dość miał skrachowanej polskiej rodziny, która z takich czy innych względów nie zdołała przeszwarcować się na terytorium Stanów Zjednoczonych — dyplomata z pewnością rąbnąłby Janowi na ten temat długą i pouczającą mowę. Byłoby to ponad siły Jana. Marzył o szklance whisky w spokojnym cichym barze — prawdopodobnie za tydzień, za dziesięć dni będzie już w kraju! Szampańskie uczucie! Warszawa, Łódź, synkowie, przyjaciele, stare dobre kąty, których wspomnienie nawiedzało go w snach... Dygotał z radości, nie przyznając się przed sobą, że wiąże się ona przede wszystkim z perspektywą szybkiego kielicha.

Odciągnął drzwi zużytego dźwigu, który nie przywiózł, chwała Bogu! przemądrzałego konsula. Postąpił krok, lecz w tym samym momencie dogonił go krzyk kobiety:

— Halo, proszę pana!

Jan puścił windę, która czmychnęła natychmiast w dół, i odwrócił się wolno.

— Lecę?

— Tak.

— Wspaniale. Przed chwilą właśnie myślałem, że za tydzień, dokładnie: za dziewięć dni wyląduję na Okęciu.

Grażyna uśmiechnęła się i kręciła przecząco głową.

— Mam dla pana lepsze wiadomości.

Jan zbladł.

— Jakie?

— Niech pan zgadnie.

— Boję się.

— Śmiało!

— Nie chce chyba pani powiedzieć, że... jutro?

— Si senor — przytaknęła po hiszpańsku. — Manana el avión, pojutrze wieczorem Warszawa. Rosjanie potwierdzili pański lot — Wręczyła mu bilet. — Wszystkie formalności są załatwione. Co panu?

— Nic. — Dygotał jak starzec. Krew odpłynęła z czerwonych, zmysłowych ust, na czole pojawiły się głębokie bruzdy. Przeczesał palcami obydwu rąk szczotkę siwych, obciętych przy skórze włosów.

— Spokojnie! — Sądziła, że doznał szoku z radości. — Nie warto ekscytować się i szaleć, bo to szkodzi. Samolot jest o jedenastej, ale lepiej wstać rano — w drodze może coś pana zatrzymać: jakiś zator uliczny i tak dalej. Na lotnisku powinien pan być najpóźniej dwie godziny przed startem. Słucha mnie pan?

— Oczywiście.

— No, to powodzenia. Muszę wracać, żeby wepchnąć jeszcze jakoś Rosjanom tę polską rodzinę.

Uścisnęła mu końce palców i odeszła. Na wargach Jana błąkał się głupawy uśmieszek, który przeistoczył się nagle w przerażony grymas alkoholika. — Kraj, ojczyzna, przyjaciele, dzieci. Czy ja naprawdę tego chcę? Czy rzeczywiście brak mi brudnej Łodzi i nudnej Warszawy? Kolejki, kłótnie, zawiść, nędza, koszmarny klimat... Serce waliło konwulsyjnie o żebra, wrzał ogień w schorzałej duszy. Już dawno opadły z niego wszelkie złudzenia: tęsknił tylko wtedy, gdy pił; tylko wtedy, gdy pił odżywały w nim nadzieje, pragnienia, ambicje i plugawe namiętności.

Obmacał kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Whysky. Natychmiast! Przemyśleć, jeszcze raz, od początku do końca. W Cuernabace czeka dona Figueras. W Dystrykcie Federalnym u księdza też nie jest najgorzej. Whysky, whysky! Pocieszał się, że w każdej chwili może zrezygnować, wiedział wszakże, iż los zdecydował już w tej kwestii, nie pytając go o zdanie.

## 20.

Spał, chrapał wstrząsająco nie reagując na uporczywe sygnały telefonu. Obudziła go dopiero kobieta w sposób tak brutalny, że kiedy otworzył oczy i odzyskał przytomność, gotów był zabić. Rozmasował nagie, spocone zaczerwienione od uścisków ramię.

— Szczypiesz, suko?!

— Dzwonią.

— Kto?

— Nie wiem.

— Czemu w takim razie nie odbierasz? Nikt nie dzwoni zresztą.

— Wyłączył się.

— To szlag mu w serce.

— Umieram, Narduś, umieram! — jęczała dama zmaltretowanym, ochrypniętym głosem istoty przeklinającej dzień, w którym matka wydała ją na świat. Przekręciła się na brzuch, owinęła rozczochraną głowę poduszką i waliła grzbietem stóp w jugosłowiański materac. — Umieram, umieram, umieram! Proszek!

— Nie mam proszków.

— To co masz, do jasnej cholery?!

— Klina.

— Nie chcę klina!

— Chcesz czy nie chcesz, powinnaś wypić przez rozum, i to szybko — mówił kojącym głosem Bernard. — Zaufaj mi, kochanie. Sto albo nawet dwieście gram, trochę maści tygrysiej na czoło, i jesteś zdrowa.

Wstał. Nie tknął wódki poprzedniego dnia, więc czuł się dobrze. Pogratulował sobie, że zostawił pieniądze w ubikacji u brata. Kto mógł przewidzieć, że jakiś wariat zatelefonuje o ósmej rano i wyrwie z odmętów głębokiego pijackiego snu jego najsłodszą ptaszynę, skłonną na widok, czy tylko zapach forsy zapomnieć o wszelkich dolegliwościach i wyciągnąć swoje chciwe szpony.

Nie żałował — otworzył poloneza i odmierzył do szklanki dawkę, po której padłby na kolana stukilowy alkoholik. Wyjął z szafki w łazience pudełeczko wietnamskiej mazingi i ruszył umiłowanej żoneczce na pomoc.

— Już, skarbie. — Lewą ręką podtrzymywał skołtuniony łeb, a prawą wlewał wódkę do suchych, spierzchniętych ust, na których tu i ówdzie pozostała jeszcze szminka. — Zaraz świat znowu nabierze blasków.

— Rzygnę.

— Nie rzygniesz. Pij!

— Daj złapać powietrze.

— No to łap, do diabła! — Namaścił blade czoło i pożółkłe skronie, wałkując opuszkami palców resztki zwietrzałego podkładu. — Lepiej?

— Dużo lepiej.

— Ano widzisz — powiedział. I pomyślał: co ja na'epszego wyprawiam?! Paskuda gotowa jeszcze wyczołgać się z łóżka i namieszać.

Wtedy znowu zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę i warknął:

— Nie za wcześnie na pobudkę?!

— Szacunek! Podgórski przy aparacie — odezwał się miękki, przypochlebny, niezupełnie obcy głos.

— Podgórski?

— Podgórski. Jestem sąsiadem pańskiego brata z tej samej klatki schodowej. Jacek prosi, żeby pan natychmiast przyjechał.

— Po co?

Katastrofa w pionie wody. Pękła jakaś rura w ustępie, zalało mi pół mieszkania.

— Wezwaliście hydraulika?

— Tak.

Bernard trawił odpowiedź marszcząc brwi i zagryzając wargę.

— Czemu Jacek sam nie zadzwonił?

— Przecież nie ma telefonu.

— Mógł zadzwonić od pana.

— Mógł, ale woli pilnować hydraulików.

— Ilu ich jest?

— Dwóch.

— Jadę! — powiedział Bernard.

Trzasnął słuchawką o widełki. Kurwa! Że też musiało się to zdarzyć akurat dziś. Znów pogratulował sobie, że nie pił. Szczelnie opakowane w plastyk pieniądze nie przemiękły — Jacuś zabezpieczył je na pewno, nim wezwał hydraulików: ukrył kiełbasę w szafie lub w kredensie. Ale ten Podgórski szczupły, stetryczały, małomówny, mężczyzna, któremu kłaniał się nieraz na podwórku i na schodach, głos miał jakby trochę zbyt śliski, zbyt okrągły i ciepły, jak na gościa, któremu zalano mieszkanie.

— Kłopoty, Narduś?

— Zgadłaś! — ubierał się prędko.

— W kiblu? — Humor ptaszyny zwyżkował wyraźnie.

— W łazience.

— Skoro jeżeli są hydraulicy, to po kiego unkra tam jedziesz? Nalej no mi jeszcze kapeczkę, było nie było.

— Sama sobie nalej.

— Nar-duś! — Akcent położyła na drugą sylabę. — Znowu chcą cię obrać z pieniędzy. Za reperację trzeba będzie zapłacić, po to tylko jesteś im potrzebny; tak czy nie?

— Tak.

— Ale żonie kielicha podać nie możesz?

— Spieszę się.

— Idź do diabła! — usiadła podciągając kołdrę i patrzyła na niego złymi, załzawionymi oczyma. — Zawsze byłam na drugim miejscu, na pierwszym był brat.

— Bzdura! Kocham cię i dostaniesz zaraz kielicha. Załatwię szybko z hydraulikami i wracam.

Obmacał zarost na szczękach. Trudno! Ogoli się po drodze u fryzjera w jakimś miasteczku. Operacja złotówka — dolar musi być przeprowadzona dzisiaj!

— Proszę — wręczył jej wypełnioną polonezem szklankę przekonany, że po wypiciu wróci w otchłań mocnego, parogodzinnego snu.

Odrzuciła kołdrę i rozwarła nogi demonstrując czarne, spocone, suto owłosione krocze. Chwyciła go za nadgarstek i szarpnęła.

— Chodź!

— Nie mam czasu.

— Chodź, błagam cię, chodź, bo zwariuję!

Mózg podpowiada: wyjść! lecz zawładnęło nim dzikie, zwierzęce, nie dające się okiełznać pożądanie, ważniejsze na moment od milionów, hydraulików i życia. Nie zdjął spodni. Zwalił się na gorące, pulchne ciało i poruszał biodrami odwracając głowę przed stęchłym, skacowanym oddechem. Jej usta dopadły go jednak. Ciągle jeszcze były spierzchnięte; drapały lekko i wprawnie wargi Bernarda doprowadzając go do przedwczesnego orgazmu.

Zdjął z pawlacza w korytarzu walizkę, w której przechowywał strój kaszubskiego fanfarona: skórzany krawacik, czerwoną koszulkę, kusy garniturek o stebnowanych klapkach, płócienną czapkę z daszkiem, białe buty i słoneczne okulary. Wpakował po namyśle do kieszeni butlę z gazem paraliżująco-łzawiącym i wyszedł. Jadąc zatłoczoną ulicą ku śródmieściu miał wrażenie, że czepił się go jakiś cień.

## 21.

Po rozmowie z Bernardem korzystający z uprzejmości sąsiada Kukuryk wybrał numer Gejszy. Kiedy dziewczyna odezwała się swoim kuszącym, pękniętym, złożonym jakby z dwóch oddzielnych tonów głosem, palnął obcesowo:

— Szanowanie. Jest Jacek?

Po drugiej stronie zapanowała na chwilę wyniosła, wzgardliwa cisza.

— Kto mówi?

— Waligóra.

— W jakiej sprawie?

— Bernard kazał powiedzieć Jackowi, żeby przyszedł do domu. On też zaraz przyjdzie. Mają do pogadania.

— O czym? — Kuszący głos zrobił się chłodny i kłujący jak sopel lodu.

— O paszportach czy coś — zełgał Kukuryk z nieprawdopodobną intuicją. — To jak: przyjdzie nie przyjdzie?

— Przyjdzie. — Głos był o pół stopnia cieplejszy.

— Kiedy?

— Za pięć minut.

Połączenie zostało przerwane. Kukuryk odwrócił się twarzą do sąsiada, niejakiego Stasiaka, milicjanta z drogówki, i do dwóch facetów w cywilu — pierwszy był młodym trzydziestoletnim mężczyzną o wesołej fizjonomii, krótkich blond włosach i błyszczących niebieskich oczach, świadczących o dobrym zdrowiu i świetnym samopoczuciu, dźwigniętym poprzedniego dnia paroma kieliszkami wódki; drugi przypominał skałę — tęgi, grubokościsty, wbity w szary garnitur o wypchanych łokciach i kolanach, podpasany krawatem, którego w żadnym wypadku nie można by uznać za ozdobę; nieruchomy i ponury, trochę jakby radziecki wąskoczoły, szerokonosy, milczący i ponury jak mogiła. Patrząc na niego, zasłużony skądinąd dla urzędu Kukuryk czuł się winny, mały, przestraszony i głupi.

— Jedziemy — powiedziała Skała.

Był to jeden z owych nielicznych osobników, których boją się władni i możni. Był to jeden z tych, którzy przetrwają każdy wiraż losu, każdy zakręt dziejów i każdą zmianę rządu. Był to jeden z tych, którzy potrzebni są w każdym ustroju, nieprzekupni i niezłomni, kiedy wszakże odchodzą na emeryturę bądź powołuje ich do siebie Bóg, świat zaczyna lżej oddychać.

Wszedł Kukuryk i blondas; milicjant drogowy pozostał.

— Do widzenia — powiedziała Skała zaglądając drogowemu w oczy.

## 22.

Bernard skręcił z Aleksandrowskiej w aleję Włókniarzy, po czym odbił w lewo, przeciął tory tramwajowe i pojechał Zieloną. Jego cień duży bury fiat z odpryskiem lakieru nad prawym reflektorem wykonał identyczne manewry. Sunął dwieście — trzysta metrów za peugeotem Bernarda. Nie spieszył się.

Nerwy! Urojenia! Papieros dopalał się na wardze ekonomisty; wypluł go na podłogę i wpakował sobie do ust płytkę miętowej gumy do żucia. W ostatniej chwili trącił kierunkowskaz i czmychnął w Lipową, oddalając się umyślnie od domu brata. Poleci dran za mną czy nie? — Przystanął na Próchnika przed Wólczańską i czekał.

Cienia nie było. Słońce chlapało na jezdnię, w drzwiach jatki z koszernym drobiem sterczał brodaty Żyd. Dwóch brzdąców grało w kapsle na chodniku. Z bramy naprzeciw zamkniętej jeszcze restauracji „Murzynek" wyszła kobieta z półmetrową koafiurą i rozszerzyła czarne od tuszu powieki, żeby sprawdzić, czy motłoch padł już przed nią na pysk.

Bernard odetchnął. Tak czy owak, trzeba wziąć się w garść. Śmieszne! Przeraził go jakiś zdezelowany grat, podążający tą samą drogą. A ile w końcu jest tych dróg?! Trzy najwyżej cztery; nie sposób trafić inaczej do śródmieścia.

Ruszył w stronę Więckowskiego, niebawem toczył się Gdańską. Jakiś czas biegł obok niego sportowiec w czerwonych spodenkach, chłopak o nogach tak chudych, jakby go w ostatniej fazie wojny wypuścili z Oświęcimia. Bernard gryzł gumę i medytował. Ten głos... miękki, grzeczny, nie pasujący jakoś do kostycznego urzędnika... Potrzask! Błysnęło nagle w głowie, aby uciec. Jeśli zrobi to jednak, a ktoś rzeczywiście zastawił pułapkę, wpadnie w nią Wicher. Nie, tak nie wolno! — Wariuję, po prostu wariuję! Pękła rura w ustępie i to wszystko. — Rozglądał się w lewo i w prawo, śledził bacznie retrowizor, wszelako po burym fiacie pozostało tylko przykre wspomnienie. Westchnął i wjechał w ulicę, przy której w secesyjnej kamienicy mieszkał brat.

C.D.N. ■

# Wideonotes

FILM TV WIDEO

Scenarzyści filmów sensacyjnych od dłuższego już czasu stają przed coraz bardziej karkołomnym zadaniem. Gatunek funkcjonuje przecież niemal od początków kina, wypuszczono na rynek tysiące jego egzemplarzy, zgrano, i to wielokrotnie, wszystkie możliwe warianty intrygi i postaci, a tu tymczasem trzeba ciągle wymyślać coś nowego, a przynajmniej znane klocki układać w nowe kombinacje.

Nie lepiej wygląda sytuacja reżyserów, którzy dwoją się i troją, aby dorównać koledze Hitchcockowi, ale go nie powielać, wywołać zaciekawienie i suspence, ale i wpisać się w najświeższe gusty. Czego to już w tym wyścigu nie próbowano. Akcja toczyła się w otoczeniu codziennym, ale i w krainie baśni. Bohaterami byli nie tylko policjanci, prywatni detektywi i dziennikarze, ale także dzieci i staruszki, przy czym niektórzy z nich cechowali się kryształową uczciwością, inni zaś okazywali najpodlejszymi kreaturami. Stosowano oszałamiające zmiany tempa; od pokazywania w całości odkręcania śrub w „Rififi", do zwariowanego kalejdoskopu Spielberga. Widza traktowano na równi z bohaterami, przedstawiając mu wszystkie dane do rozwiązania zagadki, bądź też co rusz wpuszczano w maliny. Z powodzeniem intronizowano komedię sensacyjną i kryminalną, strojąc sobie żarty z trupów. Zaprzeczano wreszcie fundamentalnym zasadom gatunku, opowiadając się za przestępcami i puszczając ich wolno.

Skutki tych wszystkich fanaberii nie wyglądają, niestety, rewelacyjnie; film sensacyjny spadł do poziomu mocno konfekcyjnej rozrywki i wydaje się niemal niewiarygodne, że były czasy, kiedy spełniał rolę gatunku wiodącego, ambitnego artystycznie i podejmującego najbardziej istotne tematy. Ślepa uliczka, w którą coraz bardziej się zagłębia, nie obniża jednak jego produkcji: sensacja to w końcu żywioł kina, widzowie ciągle ją lubią, trzeba więc zaspokajać popyt. A w rasowym kinomanie z każdym nowym tytułem odradza się nadzieja: może tym razem, może ślepa uliczka ma jakieś niewidoczne odgałęzienie wiodące na piękną, szeroką aleję...

Spróbujmy spojrzeć pod tym kątem na krążące akurat po rynku wideo „Gorączkę" i „Wymuszenie". W obu wypadkach mamy próbę wykorzystania klasycznych reguł jako bazy, z jednoczesnymi wypadami w rejony współczesnego stylu i gustu.

W „Gorączce" więc oglądamy zmęczonego życiem outsidera, którego kwalifikacje — cielesne i duchowe — predestynują do wielkich czynów, życie natomiast zmusza do wynajmowania się byle komu i za byle co. Pomagając bezinteresownie starej przyjaciółce bohater ów wikła się w konflikt z obstawionym plutonem osiłków bogatym paniczykiem z wypaczoną wyobraźnią erotyczną.

W „Wymuszeniu" z kolei jest młody prawnik, który podejmuje się obrony czarnego handlarza narkotyków oskarżonego o morderstwo policjanta w cywilu. Usiłując udowodnić, że policjant był skorumpowany, a oskarżony działał w obronie własnej nasz bohater — z wydatną pomocą swojego przyjaciela, przypominającego jako żywo główną postać „Gorączki" — naraża zdrowie i życie w straszliwych labiryntach świata przestępczego.

Karty zostały więc rozdane tak samo, jak to już nieraz bywało, i jakby zdając sobie z tego sprawę, w odruchu ambicji i przyzwoitości, w obydwu wypadkach postanowiono wprowadzić pewne modyfikacje w rozgrywce.

Realizatorzy „Gorączki" postawili tu na pogłębienie psychologiczne swojego bohatera, dzięki czemu dowiadujemy się, że jego głównym marzeniem jest pobyt w Wenecji oraz obserwujemy rozwój męskiej przyjaźni z młodym programistą komputerowym pragnącym nauczyć się tajników samoobrony.

W „Wymuszeniu" postanowiono osłodzić widzom konieczność oglądania starego schematu „Życiem na gorąco", „dżunglą wielkiego miasta" oraz próbując przeskoczyć tempem Spielberga. Oglądamy więc ponure meliny i jeszcze bardziej ponurych meliniarzy, pościgi samochodowe, jazdę napowietrzną kolejką bez hamulców, sprowadzenie do parteru samolotu i to przez jednego, uczepionego podwozia człowieka, a dla wybrednych i wrażliwych przygotowano dylematy prawne i uczuciowe... Wygląda malowniczo, ale od razu widać, że żaden z filmów nie przeciera wyjścia na szeroką, piękną aleję. Przeciwnie: obydwa brną w ślepy zaułek wprost beznadziejnie.

A najciekawsze, że przyczyny tego stanu rzeczy nie leżą, jak mogłoby się wydawać, w wykorzystaniu klasycznych reguł gry, ale w tym co do nich dodano i co okazało się banalne, anonimowe, kierujące się standardami masowej wyobraźni — jednym słowem komiksowe. Zapowiadała się gra w brydża, albo pokera, a zrobiła w makao, a od czasu do czasu nawet w durnia.

Jeżeli mimo tego, czas spędzony przy tych dwóch rodzynkach nie jest zupełnie stracony, to tylko dlatego, że uświadamiają one pewną fundamentalną prawdę: można się spokojnie opierać na starych, sprawdzonych regułach, rozgrywać je jednak należy oryginalnie, nadając im własne piętno niepowtarzalności. Prawda ta obowiązuje nie tylko w filmie sensacyjnym, ale i w życiu. Czym bowiem jest życie jak nie sensacyjnym filmem...

**RYSZARD NAKONIECZNY**

**„GORĄCZKA", scen. William Goldman, muz. Michael Gibbs, zdj. James Contner, reż. R. M. Richards, aktorzy: Burt Reynolds Peter Mc Nicol, Karen Young, Howard Hesseman, Neill Barry.**

**„WYMUSZENIE", scen. i reż. James Glickenhaus, zdj. John Lindley, muz. Jonathan Elias, aktorzy: Peter Weller, Sam Elliott, Patricia Charbonneau, Antonio Fargas, William Prince, Blanche Baker.**

# Normalnie czy inaczej

**Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70**

**Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.**

**Na twój telefon czekają redaktorzy:**

**3 sierpnia — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.**

**10 sierpnia — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.**

**RELACJA Z REPORTERSKIEGO DYŻURU Z DNIA 27 LIPCA.**

**Panią Jadwigę Kujawę** tytułowy dla naszej rubryki szlag trafia, gdy obserwuje ślamazarne tempo robót w rejonie **Dworca Kaliskiego.** Są dni, gdy — jak twierdzi — nic tam się prawie nie dzieje, a wciąż słyszała w minionych latach, że to prestiżowa szalenie potrzebna dla naszego miasta inwestycja. Nasza Czytelniczka wysnuwa dość znany wniosek: — Ale w Warszawie już dawno by tę budowę zakończono... I porozmawialiśmy sobie z panią Jadwigą chwil kilka o tym, jak to Łódź coraz wyraźniej ginie na mapie kraju: nowoczesnych arterii komunikacyjnych nie przybywa, w Krakowie ciągnie się wykopy pod metro, u nas — wciąż „prace studialne", o Filharmonii — żal wspominać, sprawę lotniska dla Łodzi definitywnie włożono już między bajki. Jak długo jeszcze „łódzki sztandar" w kulturze nieść będzie tylko osamotniony Teatr Wielki? — pyta Czytelniczka. No, no, nie jest aż tak źle, w odwodzie mamy jeszcze Szpital Pomnik, Targi „Interfashion" i...?

Pan **Jan Łuczak** alarmuje, iż w rejonie skrzyżowania ulic: **Pabianicka — Rudzka** zniszczone zostały ochronne barierki zabezpieczające przede wszystkim pieszych przed wypadkiem w tym ruchliwym punkcie komunikacyjnym. Samymi barierkami przed nieszczęściem ludzi się nie ustrzeże, ale zobaczymy czy po naszym sygnale ktoś przystąpi do naprawy tych uszkodzonych...

Pani **Bogna Fijałkowska** zamieszkała przy ulicy **Braterskiej** widzi codziennie jak mieszkańcy tego rejonu pokonują betonową kładkę dla pieszych wybudowaną specjalnie w tym celu nad bocznicą kolejową należącą do EC-II. Cóż w tym dziwnego? Ano tyle tylko, że miesiąc temu przejście zagrodzono deskami, prawdopodobnie w celu wyremontowania niektórych, zniszczonych stopni. Prawdopodobnie, bo żadne roboty nie są prowadzone, a staruszki z torbami i siatkami przeskakują między deskami. Pani Bogna przekonana jest, iż prace wykonać miały ekipy EC, podobnie jak zimą odśnieżanie czy malowanie napowietrznej kładki.

Pan **Andrzej Chojak** z **Pabianic** malowniczo opisał swoje przygody z administracją, mieszczącą się przy ulicy **20 Stycznia 72.** Nikt tam od dwóch miesięcy nie da się przekonać, iż antena telewizyjna zainstalowana na bloku przy ulicy **Ossowskiego 47/49** naprawdę nie odbiera drugiego programu. W budynku, który — jak to się ładnie określa — zasiedlony został w grudniu ubiegłego roku, usterek, co też jest normalne, nie brakuje. Co gorsza, nikt jakoś nie kwapi się do ich usunięcia, a niektóre są niebezpieczne — jak choćby murowana ścianka w piwnicy, która chwieje się za dotknięciem nawet dziecięcej ręki. Odwiedziły — jak opowiada Czytelnik — lokatorów dwie komisje usterkowe, z tym, że pierwsza wszystkie niedoróbki i usterki spisała, druga — około miesiąca temu — potwierdziła ustalenia tej pierwszej i — również „odpłynęła" w siną dal.

— Opowiedzieć panu, jak w szybki i nieskomplikowany sposób zrobić duże pieniądze?... — zadał mi retoryczne raczej pytanie Czytelnik, przedstawiając się tylko jako **Ryszard W.** — Wystarczy być geodetą i dyrektorem przedsiębiorstwa — zaczął swą opowieść. — Zakłada się wówczas spółkę z o.o., zajmującą się pracami geodezyjnymi, zatrudnia część pracowników swojego przedsiębiorstwa i przyjmuje zlecenia. Sprytnie manewrując (atrakcyjne zlecenia przyjmuje w większości spółka), można doprowadzić do bankructwa przedsiębiorstwa, a później — nawet je wykupić. Ale to przyszłość, podobnie jak nie mniej ambitne plany, by na atrakcyjnych terenach budować domy i sprzedawać je na licytacjach... Myślę, że na dziś wystarczy tych opowieści, choć anonimowy Czytelnik przekazał mi jeszcze więcej danych. Sądzę, że wiele ciekawych informacji będą nam mogli też przekazać pracownicy **Miejskiego Przedsiębiorstwa Geodezyjnego i spółki z o. o. — „Teren".** I ci zachwyceni nową formą działalności firmy, i ci, którym może nie wszystkie metody działania całkowicie przypadły do gustu. Czekamy...

Dziękuję za wszystkie telefony, wiele zasygnalizowanych tematów znajdzie zapewne swój oddźwięk w publikacjach na łamach „Odgłosów".

**DARIUSZ DOROŻYŃSKI**

# A może do kina?

**Proponujemy dziś film Bohdana Poręby pt. „Penelopy".** Bohaterkami filmu — „Penelopami" żyjącymi ciągłym oczekiwaniem na mężów — marynarzy, są trzy kobiety: Beata, Bożena i Magdalena. Łączy je los żon marynarzy, dzieli wiek i doświadczenie. Najmłodsza, Beata jest początkującą mężatką, Bożena — barmanką, a najstarsza Magdalena, wychowuje siedmioletniego syna. Otrzymały wiadomość, że statek na którym służą ich mężowie ma wpłynąć do portu, oczekują więc na ich powrót. Oczekiwanie przedłuża się, kobiety rozmawiają o swym życiu, dając upust swemu rozgoryczeniu. Scenariusz powstał na podstawie opowiadań **Lucyny Jakubiak,** które charakteryzują się otwartością i szczerością w mówieniu o kobietach.

W rolach głównych występują: **Jana Svandova, Eva Vejmelkova, Monika Marciniak, Marek Wysocki** i inni.

# Fakty ◇ Plotki ◇ Anegdotki

■ „...ostatni film, jaki był na ministerialnej półce, już niebawem trafi do kin" — taką obietnicę, dotyczącą **„Przesłuchania" Ryszarda Bugajskiego,** złożył w wywiadzie dla „Dziennika Polskiego" minister Krawczuk.

■ **Michele Placido** nie uległ presji milionów swoich wielbicieli i raz na zawsze rozstał się z postacią komisarza Cattaniego. Ostatni odcinek IV części **„Ośmiornicy"** (jedna z najpopularniejszych pozycji w programie włoskiej telewizji), zgromadził rekordową (ponad 17 mln) liczbę widzów, którzy już zostali pozbawieni wszelkiej nadziei: podziurawiony kulami z broni maszynowej komisarz Cattani oddał ostatnie tchnienie. Jednakże popularnego komisarza zastąpi piękna przedstawicielka wymiaru sprawiedliwości Silvana Conti (w tej roli — **Patricia Milardet**), która w ostatniej scenie filmu pochyla się nad zabitym Cattinim i przysięga mafii zemstę...

■ **Aleksiej German,** twórca głośnych filmów **„Próba wierności"** i **„Mój przyjaciel Iwan Łapszyn"**, realizuje dla producentów fińskich dokument o młodości poety **Josifa Brodskiego,** laureata Nagrody Nobla.

■ **Krzysztof Zanussi** reżyseruje jeden z sześciu odcinków serialu telewizji francuskiej poświęconego Napoleonowi. Scenariusz odcinka napisali **Jacek Fuksiewicz** i reżyser. W roli głównej występuje **Jean Francois Stevenin,** a także: **Daniel Olbrychski** jako książę Józef Poniatowski, **Joanna Szczepkowska** jako Maria Walewska, **Andrzej Seweryn** jako car Aleksander i **Marek Kondrat** jako książę Adam Czartoryski. Tyle odcinek „polski" o Napoleonie, odcinek „rosyjski", kręcony także w Polsce, reżyserował będzie **Janusz Majewski.**

■ Po 26-letniej przerwie na ekranie telewizji francuskiej pojawiła się słynna **Brigitte Bardot** w programie, zatytułowanym „S.O.S.", w którym bardzo ostro krytykowała nielegalny handel kością słoniową. Comiesięczny program zajmował się będzie takimi problemami jak przeprowadzanie naukowych eksperymentów na żywych zwierzętach, wstrzykiwanie im hormonów, wreszcie — polowaniami. Po porzuceniu wielkiej kariery filmowej jedyną pasją Brigitte Bardot jest walka o los zwierząt.

● W czasie XX Lubuskiego Lata Filmowego w Łagowie, jury Stowarzyszenia Filmowców pod przewodnictwem **Andrzeja Wernera** wyróżniło **Złotymi Gronami** film **Ryszarda Bugajskiego „Przesłuchanie"** oraz **„Górników 88" — Andrzeja Piekutowskiego.** Ten ostatni film zdobył niedawno **Złotą Taśmę** jako dokument roku. **Srebrne Grona** otrzymały filmy **„Kornblumenblau" Leszka Wosiewicza** i **„Stan wewnętrzny" Krzysztofa Tchórzewskiego.**

● Klub Przyjaciół **„Czerwonego Sztandaru"** — jedynego ZSRR dziennika polskiego — zorganizował pokazy filmów **„Nad Niemnem"** i **„Sami swoi"** w wersji oryginalnej.

Jak daleko sięgają skutki historycznych wydarzeń?

# Zaczęło się od Katarzyny II

W 1762 roku na tron polski został, dzięki staraniom Katarzyny II, wybrany Stanisław Poniatowski, zaś w 1763 roku zawarto z Polską układ, zgodnie z którym Rosja zobowiązywała się nie dopuszczać do żadnych zmian w polskim ustroju państwowym, to znaczy gwarantowane było prawo Rosji do ingerencji w sprawy wewnętrzne Polski. W odpowiedzi na to polscy patrioci utworzyli tak zwaną Konfederację Barską, po stronie której wystąpiły Francja i Austria. Dla zneutralizowania Rosji kraje te wciągnęły ją w wojnę z Turcją. Wojna przebiegła pomyślnie dla Rosji i zakończyła się w 1774 roku pokojem Kjuczuk-Kajnardżijskim, zgodnie z którym Rosja otrzymała Azow i Kercz, zaś Krym proklamowano wolnym. W porównaniu ze zwycięstwami zdobycze były niewielkie, ale zostały one zrekompensowane udziałem w 1773 r. wraz z Prusami i Austrią w pierwszym rozbiorze Polski. W 1783 r. Potiomkin pobił Krym, a w 1787 r. zaczęła się nowa wojna z Turcją, która zakończyła się w 1791 r. pokojem w Jassach. — Rosja otrzymała północny brzeg Morza Czarnego z Oczakowem. Dwa lata później nastąpił drugi rozbiór Rzeczypospolitej, który uczynił ją ostatecznie państwem zależnym. Wywołało to w Polsce powstanie, które zostało brutalnie zdławione przez wojska pod dowództwem A. Suworowa. W 1795 roku nastąpił trzeci rozbiór Polski, który na długo zlikwidował państwowość polską. W wyniku rozbiorów Rzeczypospolitej wszystkie rejony wschodniosłowiańskie, wchodzące w jej skład, znalazły się pod panowaniem Rosji.

Na pierwszy rzut oka sukcesy Katarzyny II w polityce zagranicznej były olśniewające. Stepy południowe, stanowiące nieustanne zagrożenie dla Rosji, przekształciły się w Noworosję, Krym stał się częścią Imperium Rosyjskiego, a Rosja umocniła się ostatecznie nad Morzem Czarnym. Polska, której posiadłości rozciągały się na początku panowania Katarzyny do Dniepru, przestała istnieć. Do Rosji zostały przyłączone Zachodnia Ukraina, Białoruś, Litwa i Kurlandia. W istocie rzeczy sukcesy w walce z Turcją były nieporównywalne ze stratami materialnymi i ludzkimi, zaś Imperium Bizantyjskiego i tak nie udało się odbudować. Jeśli zaś idzie o Polskę, to konsekwencje „sukcesów" polityki Katarzyny w stosunku do tego kraju są odczuwane po dziś dzień.

Nie ulega wątpliwości, iż wyzwolenie ich narodów spod jarzma narodowego i religijnego było zjawiskiem postępowym, ale nie wolno zapominać i o tym, że rozwój społeczno-polityczny tych terytoriów był nieco wyższy, niż Rosji. Przede wszystkim wiele miast, które znalazły się pod berłem rosyjskim, posiadało Prawo Magdeburskie. Rozciągnięcie na te ziemie rosyjskich porządków pańszczyźnianych stanowiło dla nich krok w tył.

W wyniku zagospodarowania przez ludność rosyjską w XVI—XVII wieku Powołża, rejonów zauralskich i Syberii, przyłączenia Ukrainy i rejonu nadbałtyckiego Rosji stała się państwem wielonarodowościowym. Zwycięstwa wojenne Katarzyny poważnie pomnożyły zróżnicowanie etniczne cesarstwa i zaostrzyły problemy narodowe. Ponadto Katarzyna specjalnie ściągała do Rosji obcokrajowców. Narodowość kolonistów nie obchodziła jej, jak się wydaje, ale najwygodniejsi dla tego byli Niemcy.

Panowanie Katarzyny II stało się okresem powstania w Rosji kwestii żydowskiej. Do rozbiorów Rzeczypospolitej ludności żydowskiej w Rosji praktycznie nie było. Niemniej jednak, zdaniem rosyjskich działaczy państwowych, interesy handlu wymagały dopuszczenia do kraju kupców żydowskich, i już w pierwszych dniach panowania Katarzyny senatorzy przedstawili świeżo upieczonej imperatorowej odpowiedni projekt ustawy. Wszystko wskazuje na to, że Katarzyna II nie miała żadnych uprzedzeń w stosunku do Żydów, odgrywając jednakże w tym czasie rolę rzeczniczki prawosławia, uznała, iż niewygodne jest zatwierdzenie projektu, choć odmawiać senatorom również nie chciała. W wyniku tego decyzja została odłożona na czas nieograniczony. Po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej w skład Rosji weszły ziemie z dość znaczącą ludnością żydowską. Kupiectwo rosyjskie zaczęło aktywnie sprzeciwiać się konkurencji kupców żydowskich. W wyniku tego w 1791 roku zostały ustanowione granice osiedlania się.

Wszystko to są polityczne następstwa polityki zagranicznej Katarzyny. Jeżeli zaś idzie o stronę moralną, to jest rzeczą oczywistą, iż charakter tej polityki można określić tylko jako ekspansjonistyczny. Rola, jaką odegrał caratw likwidacji państwa polskiego jest haniebną plamą na jego historii. Gwoli sprawiedliwości należy zauważyć, iż inicjatorem rozbiorów Rzeczypospolitej nie była Rosja, lecz Prusy. Nawiasem mówiąc, prawdziwa historia rozbiorów pozostawała przez długi czas strefą zakazaną dla historyków radzieckich.

**ALEKSANDER KAMIEŃSKI**
**(„Woprosy Istorii" 3 z 1989 r.)**

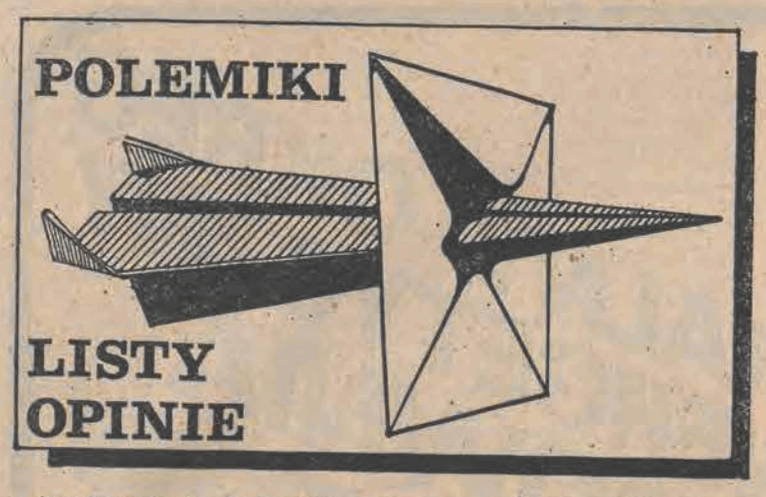


**Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.**

## W ROMANOWIE, ALE U INNEGO ILIŃSKIEGO

3 czerwca 1989 r. odbył się przedstawiony przez Filharmonię Łódzką interesujący koncert, na którym po raz pierwszy w Łodzi zaprezentowany został koncert fortepianowy As-dur (op. 2) Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego. Wprawdzie na sali było tylko 42 słuchaczy (przeliczyłem, ale ci co wysłuchali byli usatysfakcjonowani zarówno dziełem napisanym przez 17-letniego wówczas kompozytora, jak i grą solisty, Paweł Skrzypek), oraz akompaniamentem orkiestry Filharmonii Łódzkiej pod dyrekcją Andrzeja Straszyńskiego.

W programie napisano między innymi:

*„Ignacy Feliks Dobrzyński, starszy o trzy lata kolega Chopina w Szkole Głównej Muzyki w Warszawie, urodził się 15 lutego 1807 w Romanowie na Wołyniu i wstępne nauki otrzymał w miejscowym kolegium jezuickim. W latach 1817—25 uczęszczał do Gimnazjum Podolskiego w Winnicy, pobierając lekcję muzyki u swego ojca Ignacego, kapelmistrza orkiestry w majątku hrabiego Jana Stanisława Ilińskiego w Romanowie w latach 1799—1817".*

Ze strony Ilińskich pierwszym właścicielem Romanowa był Jan Kajetan Iliński (1730—1781) starosta żytomierski. On założył w Romanowie chór i orkiestrę liczące około 100 wykonawców. On też rozpoczął budowę pałacu w Romanowie. Po jego śmierci Romanów przeszedł na własność jego starszego syna Janusza (Jana) Stanisława Ilińskiego (ok. 1765—1792) generała polskiego, generalnego inspektora kawalerii, posła kijowskiego na Sejm Wielki, zwolennika Konstytucji 3 Maja. Zginął on w czasie wojny polsko-rosyjskiej pod Markuszewem 25 lipca 1792 r. Tak więc Ignacy Dobrzyński nie mógł być kapelmistrzem orkiestry Jana Stanisława Ilińskiego od 1799 r., gdyż ten już od 7 lat nie żył. Nie był on poza tym hrabią.

Po śmierci Jana Stanisława Ilińskiego Romanów przeszedł na własność jego młodszego brata Józefa Augusta Ilińskiego (1766—1844), generała polskiego i rosyjskiego, marszałka szlachty wołyńskiej i senatora rosyjskiego. Był on przyjacielem cesarza rosyjskiego Pawła I, jeszcze w okresie gdy ten był następcą tronu. Przez cesarza Pawła I, a następnie Aleksandra I, obsypany został tyloma tytułami, godnościami i orderami, że trudno byłoby je tu wymieniać. Po upadku Insurekcji Kościuszkowskiej przyczynił się do zwolnienia Tadeusza Kościuszki, I. Potockiego i wielu innych. To on został hrabią w 1797 r.

Józef August Iliński stworzył w Romanowie silny ośrodek gospodarczy. Założył fabrykę sukna, młyn, parowy, hodowlę koni krwi angielskiej, i in. — W tymże Romanowie założył instytut dla głuchoniemych, szpital dla ubogich, Kolegium Jezuickie (1804), klasztor z kościołem dla wizytek (1820), kościół, itd. Dokończył budowy ogromnego pałacu i wybudował gmach teatru, w którym utrzymywał teatr polski, niemiecki, operę włoską. Miał dwie orkiestry, z których jednej liczącej ok. 120 muzyków dyrygentem był Ignacy Dobrzyński, a drugiej Rosjanin nazwiskiem Siła, a później Karella. Oprócz tego istniał chór ponad 80-osobowy i liczny balet. Te setki ludzi musiało gdzieś mieszkać, a w związku z tym w Romanowie zostały wzniesione odpowiednie budynki mieszkalne .Tak więc Ignacy Dobrzyński nie był kapelmistrzem Jana Stanisława Ilińskiego, lecz *Józefa Augusta Ilińskiego.*

Dla wszelkiego porządku należy dodać, że Józef August Iliński miał syna (z pierwszego małżeństwa) urodzonego w 1795 r., któremu dla uczczenia pamięci zmarłego stryja nadano na chrzcie jego imiona. Gdy Ignacy Dobrzyński opuścił Romanów w 1817 r., to Jan Stanisław miał 21 lat, i oczywiście nie był właścicielem Romanowa. Był on m.in. kompozytorem i studiował w Wiedniu u Salieriego i Kauera, oraz podobno u Beethovena. Nie było go więc wówczas w Romanowie. Nie stał się on właścicielem Romanowa po śmierci ojca w 1844 r., gdyż dobra wołyńskie przeznaczył Józef August Iliński dla starszego syna — Henryka.

Sformułowanie, że Ignacy Dobrzyński był kapelmistrzem orkiestry w majątku... w Romanowie, jest zupełnie nie do przyjęcia. Romanów, to była wówczas siedziba iście magnacka. Romanów był miasteczkiem, a otaczało go 40 folwarków i wsi będących własnością Józefa Augusta Ilińskiego. O życiu i o spektaklach w Romanowie wspominali liczni pamiętnikarze. M.in. przesławny Michał Czajkowski (Sadyk Pasza) pisał o odegranej po włosku operze „Don Juan" (Mozarta), na której był obecny.

Sława spektakli teatralnych Romanowa dotarła za pośrednictwem pewnego Polaka (ustaliłem jego osobę) do Stendhala, który napisał o tym w jednej ze swoich książek. Na ten trop (informator i przedmiot informacji) wpadłem ok. 15—20 lat temu, i od tego czasu gromadzę materiały o Ilińskich, o Romanowie, i o informatorze Stendhala. Myślę, że w najbliższych latach znajdę czas na opracowanie tego polonicum w dziele Stendhala, któregoś z rzędu już przeze mnie opracowanych, i dalekim w kolejności do wyczerpania tematu.

Na zakończenie pozwolę sobie zwrócić się z prośbą do czytelników: po wojnie jeden z potomków wspomnianych Ilińskich ogłosił wspomnienie nt. przechowywania w swym mieszkaniu w Warszawie obrazu Van Dycka, otrzymanego przez Józefa Augusta Ilińskiego od cesarza Pawła I. Gdy po powstaniu wrócił do domu, skrytka była opróżniona z obrazu. Wydawało mi się, że wspomnienie to opublikowane było w „Problemach" ok. 1947—48 roku, ale notatki wówczas nie sporządziłem i do dziś nie mogę tego wspomnienia odnaleźć (może zresztą opublikowane było w innym czasopiśmie). Może ktoś z czytelników przypomina sobie miejsce i datę publikacji tego wspomnienia i mnie tę wiadomość przekaże? Będę bardzo zobowiązany i jako oznakę wdzięczności podaruję z dedykacją jedną z ostatnich moich prac stendhalowskich, jakie ukazały się we Francji lub w Italii (według wyboru).

**LESZEK SŁUGOCKI**

## „JĘDRUSIE" W ZHP

O „Jędrusiach" jeszcze w czasie okupacji krążyły legendy. Ich nazwę przypisywała ludność cywilna Kielecczyzny niemal wszystkim oddziałom partyzanckim operującym w Okręgu AK „Jodła" (Radomsko-Kieleckim), rozsławiając imię dowódcy oddziału i jego żołnierzy. Stąd wiele legend i niesamowitych opowieści.

W roku 1974 hm. Elżbieta Malińska prof. historii w Technikum Włókienniczym w Łodzi, prowadząc tamtejszy szczep harcerski, rozpoczęła kampanię o nadanie mu imienia „Jędrusiów". Zorganizowano dwa obozy letnie wędrowne szlakami walk tego oddziału. Wystąpiono do władz harcerskich o zatwierdzenie nazwy tego szczepu. Ale Główna Kwatera ZHP miała swoje zastrzeżenia natury politycznej.

— Jakże — mówili. — Czyż szczep harcerski przy Technikum noszącym imię Kosmonautki Walentyny Tierieszkowej może nosić nazwę oddziału nie związanego formalnie z lewicowym ruchem partyzanckim?

Oto jeden z zasadniczych argumentów który zaważył na zaakceptowaniu sprawy. Wysuwane i sugerowane inne kontrpropozycje nie przypadły do gustu młodzieży. Sprawa nadania imienia „Jędrusiów" szczepowi upadła, a Elżbieta Malińska pomówiona o „sprzeciwianie się", decyzją GK ZHP musiała pożegnać się ze swoją harcerską karierą instruktorską.

Ale to było nie wszystko. Młodzież z Technikum Włókienniczego wzięła sobie do serca letnie przygody i spotkania z partyzantami i ich przeszłością Trwała cicha wojna młodzieży z Główną Kwaterą ZHP, jej pomysłami o przeobrażeniu drużyn starszych w „Harcerską Służbę Polsce Socjalistycznej".

Minęło kilka lat. Nowa szczepowa Barbara Zytka, profesorka historii podjęła od nowa walkę o nadanie nazwy szczepowi. W porozumieniu z przyjacielem szczepu, byłym członkiem oddziału „Odwet" (Jędrusiów) Tadeuszem Szewerą „Łebkiem", emerytowanym dziennikarzem. Rozgłośni Łódzkiej PR, opracowano nowy wniosek o zatwierdzenie nazwy szczepu. Od złożenia pierwszego wniosku minęło już osiem lat.

Wreszcie nastąpił rok 1982. W dniach 5 i 6 czerwca odbyła się impreza szczepu, na której otrzymał on wymarzoną nazwę.

**MIECZYSŁAW KOZAK**

## W DĄBROWIE DALEKO OD GŁOWNA

Na progu samotnej chaty ustawionej szczytem do drogi przywitał mnie mężczyzna w trudnym do okresienia wieku. Na pooranej bruzdami twarzy — ślady choroby i zmęczenia niełatwym życiem. Porusza się wolno, ostrożnie, jakby w obawie przed bólem.

Miał dwanaście lat, kiedy Niemcy schwytali go na próbie przeniesienia ważnych listów przez granicę Generalnej Guberni, przebiegającą wtedy nie opodal Dąbrowy. Pobito go tak dotkliwie, że cierpi do dzisiaj.

Mimo złego stanu zdrowia, przez całe życie był aktywny, nie poddał się chorobie. Na początku lat sześćdziesiątych pracował w Komitecie Centralnym PZPR, działał społecznie w różnych ugrupowaniach, był członkiem ORMO i Towarzystwa Przyjaciół Głowna.

Ludzie mają mu wiele do zawdzięczenia. To dzięki pomysłom dokonano melioracji okolicznych pól w 1969 roku. Brał udział we wcześniejszej elektryfikacji wsi. Wciąż jeszcze pracuje w Ochotniczej Straży Pożarnej w Waliszewie.

Nie skarży się, ale smutnymi oczyma patrzy na uschnięte kikuty drzew, sterczące nad sąsiednim budynkiem Wytwórni Tkanin Powlekanych Tworzywem. Dawno już użalał się na okropny smak i zapach wody w swojej studni, ale ciągle z niej korzysta, bo zbyt daleko musiałby chodzić z wiadrami, a zdrowie mu na to nie pozwala.

Protokół analizy wody studziennej o objętości 1 litra.

Mętna. Zapach oznaczany na zimno 1R, na gorąco 3R (ostra woń organiczna).

Żelazo całkowite Fe +2/+3 — O mg/dm³.
Amoniak — $NH_3$ — wykryto śladowe ilości.
Utlenialność nadmanganianowa — 1,2 mg $O_2$/dm³.
Chlor wolny $Cl_2$ — 0,05 mg/dm³.
Zasadowość wobec oranżu — 7,6.
Jony chlorkowe Cl — 300 mg/dm³.
ph — 7,5.
Azotynów nie wykryto.

Dokonująca analizy Zofia Pietrzak stwierdziła: „Nie nadaje się do celów spożywczych ze względu na obecność amoniaku".

Wodę zbadano i na tym sprawa się zakończyła. Zdzisław Krzeszewski nie wie, co robić dalej.

Pani Genowefa Świerzyńska jest rencistką. Jej renta powinna być dostarczana około dwudziestego trzeciego każdego miesiąca. Ale poczta nie dotrzymuje terminów. Pieniądze są przywożone aż z Głowna, bo granica między województwem łódzkim, a skierniewickim przebiega kapryśnie o dwie chałupy stąd. W Skierniewickiem droga jest dziurawa i licho utwardzona, ale do poczty blisko, bo jest w Waliszkowie. Łódzkie szczyci się asfaltem, ale wszystkie urzędy są kilkanaście kilometrów stąd — w Głownie.

Zastępczyni naczelnika głowieńskiej poczty, przemiła pani Wiesia, z którą rozmawiałem, tłumaczyła, że przez pewien czas nie było doręczycieli obsługujących Dąbrowę. Zastępowali ich, na zasadzie dobrowolności, a więc niezbyt regularnie, koledzy z innych rewirów. Teraz doręczyciel już jest, ale akurat dzisiaj nie przyszedł.

**ANDRZEJ KRAKOWSKI**

## CO BARDZIEJ POTRZEBNE NA CHOJNACH-ZATORZU?

Sklep spożywczy nr 1154 przy ul. Skupionej 1, należący do PSS „Społem" Łódź-Górna miał być przebranżowiony na aptekę, dziś na przemysłowy. Wówczas dzięki zdecydowanej postawie mieszkańców tej części osiedla, petycje z 350 podpisami, skierowane do władz dzielnicy spowodowały, że sklep pozostał.

Pani dyr. Szabunio z PSS „Społem" na łamach „Odgłosów" zapewniała mieszkańców osiedla, że zarząd nie miał wcale takich zamiarów. Po tym zapewnieniu ludzie uwierzyli, że nadal będą mieli sklep spożywczy tak im niezbędny, w tej części osiedla. Odetchnęli z ulgą.

Decyzja przebranżowienia z dniem 7 lipca 1989 r. na sklep przemysłowy, znów zaszokowała mieszkańców ulic Skupionej, Kurczaki, Gospodarczej, Mieszczańskiej, Błękitnej i wielu wielu jeszcze przyległych. Niby wszystko w porządku. Podkładki są: zgoda samorządu mieszkańców (nikt z członków nie zamieszkuje w tej części osiedla), Wydziału Handlu i... protokół z sanepidu. NIE MA TYLKO ZGODY SAMYCH MIESZKAŃCÓW! Ludzie najlepiej wiedzą, co bardziej jest im potrzebne — sklep spożywczy, potrzebny na co dzień — przemysłowy na jakiś czas, raz w roku. Gdzie sens i logika? A kto będzie ponosił odpowiedzialność za wypadki drogowe małych dzieci i ludzi starszych, kalekich, którzy zechcą pofatygować się do sklepu na drugą stronę ul. Rzgowskiej, bardzo ruchliwej, już dziś nieprzejezdnej dla samochodów i pieszych. Drugi, najbliższy sklep spożywczy przy ul. Serdecznej 4 — pęka w szwach!

Tłumaczenie się brakiem personelu (gdzie go nie brakuje?) pobieraniem pieniędzy i wydawaniem towarów przez tę samą ekspedientkę, co raczył zauważyć sanepid, stan sanitarny sklepu, a nawet argumentowanie niewyrabianiem planu obrotów, niewiele ma do rzeczy. Są to sprawy czysto organizacyjne dyrekcji i kierownika sklepu, nie klientów i dlatego też żaden z argumentów, przedstawionych telefonicznie przez dyr. do spraw Handlowych p. Majkę nie trafia mi do przekonania. Sądzę, że innym potencjalnym klientom sklepu — również.

**WŁADYSŁAW BISZEWSKI**

## A ZA CÓŻ TE PRZEPROSINY?

W „Dzienniku Łódzkim" z dn. 26 lipca ogłoszono „sprostowanie", że — cytuję: „w poniedziałkowym sprawozdaniu z wspólnej sesji Rady Narodowej m. Łodzi i RŁ PRON zorganizowanej z okazji Święta Odrodzenia wymieniono wśród gości uczestniczących w obradach przewodniczącego RKO NSZZ „Solidarność" w Łodzi, Ryszarda Kostrzewę. Wczoraj otrzymaliśmy teleks, w którym Ryszard Kostrzewa informuje, że w sesji nie uczestniczył".

I wszystko — uważam — byłoby w porządku, gdyby Szanowna Redakcja na tym poprzestała, ale najwyraźniej „przedobrzyła" dopisując od siebie: „zainteresowanego przepraszamy". Bardzo jestem ciekaw za cóż to mianowicie te przeprosiny? Wszak Ryszard Kostrzewa, przewodniczący RKO NSZZ „Solidarność" w Łodzi już wcześniej występował oficjalnie niemal w identycznym gronie reprezentującym lokalne władze, ostatnio jak pamiętam na sesji Rady Narodowej m. Łodzi, na której aż trzykrotnie zabierał głos z mównicy. Dlaczegóż więc wymienienie jego nazwiska, zresztą nie tylko przez „Dziennik", ale również przez „Express Ilustrowany", tym razem ma wymagać — zdaniem redakcji — publicznych przeprosin?! ...

Chyba stosowniej byłoby wyjaśnić Czytelnikom, jak to się stało, że aż w dwóch łódzkich gazetach ukazały się równie niedbałe sprawozdania z tej samej uroczystości, i jakie wnioski z tego obie redakcje wyciągnęły, aby nieco rzetelniej spełniać elementarne obowiązki dziennikarskie. Moim zdaniem, jeżeli w ogóle przeprosiny redakcji komuś się należą, to wyłącznie czytelnikom, bo na pewno nie uczestnikom uroczystości ani — tym bardziej — komukolwiek kto nie wziął w niej udziału. Oczywiście, pod warunkiem, że redaktorom „DŁ" nie przyświecały zgoła inne intencje, a mianowicie, aby takimi „przeprosinami" przy okazji prawdziwie obrazić wszystkich, nie wyłączając „zainteresowanego"...

Z szacunkiem

**K.T.**
(nazwisko i adres podaję do wiadomości redakcji)

## POGRZEB PILOTA

W pierwszych dniach wojny nad Wilnem zestrzelony został przez Niemców samolot polski. Ciężko rannym pilotem zaopiekowali się wilnianie i umieścili go w szpitalu na Antokolu. Rannym pilotem okazał się podchorąży lotnictwa Stanisław Skorupski z Łodzi. Po trzech miesiącach ranny zmarł w szpitalu.

Jego pogrzebem zajęła się młodzież.. Zwłoki złożone w trumnie wystawione zostały w pobliskim kościele Trynitarzy. Na pogrzeb przybyło liczne grono osób. przeważnie młodzieży... Bohaterski pilot, złożony został w grobie na cmentarzu tuż obok kościoła. Ktoś wygłosił nad trumną pożegnalne przemówienie. Po spuszczeniu jej do grobu rozległo się „Boże coś Polskę". po którym z mocą uderzyły w niebo słowa Roty: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród". Pogrzeb odbył się 13 listopada 1939 roku.

**WACŁAW OLASIKOWICZ**

## GÓRKI PLEBAŃSKIE

Pierwszy cmentarz łódzki zlokalizowany był na „Górkach Plebańskich" jak nazywano ongiś miejsce obecnego Placu Kościelnego. Plac ten, a wraz z nim zbudowany obecny kościół w latach 1888—1897 według projektu K. Wojciechowskiego powstał po zlikwidowaniu cmentarza, a było to zapewne na początku XIXw., o czym świadczy chociażby zachowany do dziś w dobrym stanie kamienny pomnik z roku 1822.

Pomnik ten [illegible] dobrze zachowane cztery medaliony przedstawiające postać zmarłego oraz herb rodowy i dobrze czytelny napis:

*„Tu leżą zwłoki ś.p. M. Wyszyńskiego. Umarł dnia 11 czerwca 1822 roku, skończywszy lat 38, prosząc o pobożne westchnienie. Czułość wiernej Żony i przywiązanych dzieci ten pomnik wystawiła".*

Również w tym miejscu u schyłku XIX w. wydarzył się wypadek o czym informuje wmurowana tablica o treści:

*„Tu zgasła wypadkową śmiercią dnia 4 lipca 1898 roku ś.p. Bronisława z Kochanowskich Brzozowska, żona lekarza miasta Łodzi, przeżywszy lat 48. Pochowana w Kolacinku. Prosi o modlitwę do Boga.*

W miarę rozbudowy Łodzi przemysłowej, do której napływało wiele nowej ludności, na cmentarzu na Górkach Plebańskich zaczęło brakować miejsc na pochówek. Powstała potrzeba znalezienia nowej parceli pod drugi cmentarz, który zlokalizowano w 1819 roku po drugiej stronie doliny rzeki Łódki przy ulicy Ogrodowej, na który w roku 1888 przeniesiono drewniany kościół z Placu Kościelnego, zbudowany tu w latach 1765—1768.

Kościół na Placu Kościelnym w czasie okupacji zamieniono na magazyn, a na plebanii miała siedzibę żandarmeria hitlerowska i żydowska służba porządkowa, albowiem Plac Kościelny znajdował się na terenie łódzkiego getta.

**ALEKSANDER PYTKE**

## APEL DO RODZIN ŻOŁNIERZY ODZNACZONYCH W LATACH 1914—1921

Redakcja Słownika Biograficznego **„KAWALEROWIE ORDERU VIRTUTI MILITARI 1914-1921"** zwraca się do rodzin wszystkich żołnierzy, którzy w latach 1914-1921 zostali odznaczeni Orderem Virtuti Militari, aby zechcieli skontaktować się z Redakcją Słownika: **Wyższa Szkoła Inżynierska, 75-620 KOSZALIN, ul. Racławicka 15/17, Blok B, pokój 208.** Wszelkie informacje można też otrzymać dzwoniąc pod numer telefonu: **278-81, wew. 259** w Koszalinie.

Redakcja Słownika zainteresowana jest kontaktem z byłymi żołnierzami ZWC, POW, Legionów, formacji polskich na Wschodzie, obrony Lwowa, Hallerczyków, powstańców z Wielkopolski i Śląska. Zainteresowani otrzymają odpowiednią ankietę do wypełnienia.

## „TEATR 77" — INICJATYWA GODNA POPARCIA

Z ciekawą inicjatywą wystąpił **Teatr 77** i **Młodzieżowa Agencja Wydawnicza**. Zamierzają wspólnie wydać w 1990 roku monografię **Teatru 77**, który początkowo był teatrem studenckim, a następnie stał się teatrem profesjonalnym. W monografii — obok dziejów teatru bogato ilustrowanych — znajdą się też dzieje Łódzkich Spotkań Teatralnych, przeglądu dorobku teatrów studenckich, imprezy dziś już nie istniejącej.

Monografia **Teatru 77** powinna przede wszystkim zainteresować krytyków teatralnych, dziennikarzy zajmujących się teatrem i sprawami kultury, studentów filologii i kulturoznawstwa, redakcje, teatry, biblioteki i instytucje zajmujące się kulturą. Wydawcy: **Teatr 77** i **MAW** proszą wszystkich zainteresowanych o nadsyłanie na karcie pocztowej zamówień z podaniem ilości zamawianych egzemplarzy pod adresem: **TEATR 77, 90-403 Łódź, ul. Zachodnia 56, II p.** Wszelkie informacje można też otrzymać pod telefonem: **33-43-68** lub **33-26-41** w godzinach od 9 do 15.

Przewiduje się, że cena egzemplarza w miękkiej oprawie wyniesie około 1800 zł, a w twardej — 2200 zł.

## SPROSTOWANIE

Do relacji Mirosława Kulisia z inauguracyjnego posiedzenia Sejmu i Senatu chochlik drukarski wprowadził kilka własnych poprawek, za które przepraszamy. Inauguracja odbyła się 4 lipca, w obozie ZSL jest 76 posłów, a Jacek Kuroń podczas głosowania nad kandydaturą Mikołaja Kozakiewicza na marszałka Sejmu wstrzymał się od głosu.

# Kalkulatory firmy „CASIO"

## z wyświetlaczem i drukarką

**Zasilanie sieciowe i bateryjne. Nowoczesne i niezawodne.**

**10- 12- 14- i 16-cyfrowe niezastąpione w działach finansowo-księgowych**

**KALKULATORY INZYNIERSKIE**

**Udzielamy 12-miesięcznej gwarancji, zapewniamy serwis pogwarancyjny.**

Krótkie terminy do odbiorcy. Płatność: przelew, inkaso, czek.

NASZ ADRES:

**Przedsiębiorstwo**
**Techniczno-Handlowe Sp. z o.o.**
**ul. Słowackiego 189**
**26-600 Radom**
**tel. 524-65; 527-80**
**teleks. 067645**

460/1380-k

ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW

# CENTRALNY OKRĘG ENERGETYCZNY ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW

Z SIEDZIBĄ W ROGOWCU
97 406 BEŁCHATÓW 5

**PRZYJMIE DO PRACY**

pracowników w następujących zawodach:

- **ENERGETYKÓW z wykształceniem średnim lub zasadniczym do pracy w systemie 4-brygadowym,**
- **MURARZY KOTŁOWYCH,**
- **MONTERÓW IZOLACJI TERMICZNEJ,**
- **SZKLARZY,**
- **MONTERÓW SPAWACZY,**
- **ABSOLWENTÓW SZKÓŁ ZAWODOWYCH i ŚREDNICH o kierunku łączności lub elektronika.**

Przedsiębiorstwo zapewnia:
— konkurencyjne płace wg zakładowego systemu wynagrodzeń, dodatek bełchatowski, zniżkę w opłatach za energię elektryczną i szeroki wachlarz świadczeń socjalnych.

Informacji udziela Dz. Kadr Elektrowni — tel. 715-61 lub na miejscu. Dojazd z Bełchatowa autobusem spod Hotelu „Energetyk", godz. 8.57, 10.57, 12.07, 13.18.

4865-k

EX INTEX

# INTEX

## BIURO TURYSTYKI ZAGRANICZNEJ

## Organizuje

**7-DNIOWE WYCIECZKI samolotowo-autokarowe do TURCJI. Przelot na trasie GDAŃSK —BURGAS—GDAŃSK, przejazd autobusem do STAMBUŁU i z powrotem. Noclegi w hotelach 1 i 2-gwiazdkowych w centrum STAMBUŁU (AKSARAY). Śniadanie wliczone w koszty.**
**CENA: 198.000 zł + 45 USD**

**— 16-dniowe wycieczki do INDII i NEPALU (śniadanie kontynentalne wliczone w koszt wycieczki), 7-dniowy pobyt w DELHI i 3-dniowy w KATMANDU**
**CENA: 464.000 zł + 330 USD**

**Informacje i zapisy od poniedziałku do piątku w godz. 9—17.**
**ŁÓDŹ ul. Piotrkowska 18**
**Telefon: 32-49-44**
**WARSZAWA**
**ul. Marchlewskiego 68**
**tel. 31-81-84**
**SOPOT ul. Powstańców Warszawy 6**
**Telefon: 51-03-30**
**51-59-84**
**Tlx 0512298 itex**
**Telefax 51-25-40 inter**

2586-K

REKLAMA

POLUKS

Z różnych szuflad.

# Przygody Króla Jegomości

Przed z górą 60. laty niejaki Zygmunt Wilski, używający tytułu Jego Królewska Mość król Zygmunt IV, został dotkliwie pobity przez redaktora pisma monarchistycznego „Pro Patria" Henryka Olszewskiego. Obydwaj panowie stanęli przed sądem pokoju, który skazał krewkiego redaktora na miesiąc aresztu za czynne znieważenie Jego Królewskiej Mości. Wyrok uległ zaskarżeniu zarówno ze strony oskarżyciela jak i oskarżonego, ale zefirek historii zmiótł gdzieś wieści o dalszych losach samozwańczego monarchy.

Był to, jak się rzekło, rok 1928, dziś stajemy w przededniu ostatniego dziesiątka lat XX w., aliści wciąż mamy dualizm władzy z łaski miłościwie nam panującego króla Władysława V, w cywilu znanego jako Geoffrey Wladislas Count Potocki of Montalk. Pewne zdziwienie może wzbudzić fakt, że Jego Królewska Wysokość koronował się potajemnie w odległej Anglii jeszcze w latach 30., ale ponieważ wedle sentencji Jana Ostroroga *„król polski nie podlega nikomu prócz Boga"*, przyjmuję tę osobliwość w wiernopoddańczej pokorze. Zresztą wydawany od 1936 r. przez monarchę oficjalny organ polskiego domu królewskiego „The Right Review" przynosi wiele informacji o osobie króla Władysława V, jak i o jego protoplastach po mieczu i po kądzieli. Powiadają niektórzy, że podczas wojny flegmatyczni Anglicy bez żadnego szacunku dla godności królewskiej internowali króla Władysława, bo im się nazjeżdżało zbyt wielu autentycznych monarchów, nagle pozbawionych dzidzicznych tronów, a ten dziwny Polak z przekąsem wyrażał się zarówno o marszałku Piłsudskim jak i o generale Sikorskim.

Jego Królewska Mość, w dość osobliwy sposób władający mową swych poddanych oznajmił kiedyś, że *„roztwarzacz, który się nazywa CZAS, wymazuje ludzi na dalszą metę i to nieubłaganie"*. Wprawdzie nie bardzo wiemy, co to jest ów roztwarzacz, chcielibyśmy ocalić króla przed jego działaniem, chociaż sędziwy pan (jeśli jeszcze żyje) sam zadbał o zachowanie swego imienia we wdzięcznej rodaków pamięci. Oprócz roczników „Przeglądu Rządowego" ogłosił wiele prac oryginalnych i tłumaczonych, a także trzy tomiki wspomnień „Dzieciństwo moje", o których pisali czytelnicy: *„Wielce Szanowny Panie Hrabio, a właściwie Kochany Geniuszu! Bardzo się cieszę, że pisze Pan pięknie po polsku (...). Nie mogę powiedzieć, że nie popełnił Pan kilku błędów językowych, ale i te błędy są urocze. Książka napisana dobrą polszczyzną". „Imponuje mi Pan, wspaniale pisze Pan po polsku stylistycznie, gramatycznie i ortograficznie, przecież nie uczył się Pan tego języka"*. Gwoli ścisłości pochwały wspomnianych czytelników są trochę na wyrost, bo książeczki wprost przeciwnie, są napisane w całkowitej niezgodzie z normami stylistyki, gramatyki i ortografii, ale mimo to są doprawdy urocze.

Sporo szczegółów biograficznych o spadkobiercy historycznego imienia Pilawitów Potockich przynosi książka R. T. Riska „Why Potocki?", wydana w 1981 r. w Francestown w USA i broszura samego Potockiego „Myself as a printer", opublikowana przez Caspara Standinga w wydawnictwie „Daedalus Press". Najwięcej jednak szczegółów biograficznych przynoszą memuary z czasów dzieciństwa monarchy, ogłoszone jego sumptem i trudem rąk własnych w prywatnej drukarni króla ulokowanej w prowansalskiej miejscowości Drapuingnan, gdzie król raczy przebywać, gdy nie bawi w nowozelandzkim mieście Hamilton, swej stałej siedzibie.

JKM Władysław V przyszedł na świat 6 października 1903 r. w Nowej Zelandii, w miejscowości Remuera, stanowiącej dziś dzielnicę miasta Auckland, na stokach wygasłego wulkanu Mount Hobson. Ojciec — architekt z zawodu — spokrewniony z angielską rodziną Montalków, zapomniał całkiem o ojczyźnie swych przodków, pamiętał tylko, że dziadkiem jego był hr. Józef Franciszek Jan Potocki, powstaniec listopadowy, urodzony 4 października 1800 r. w Boćkach nad Nurem, w Grodzieńszczyźnie. Wprawdzie niektórzy heraldycy (Konarski) zaprzeczają tej gałęzi Pilawitów prawa do tytułu hrabiowskiego, ale szczegół to bez znaczenia zważywszy, że i Sobieski i Poniatowski też hrabiami nie byli, a królewskiego majestatu dostąpili. Dość powiedzieć, że rodzic Geoffreya nie tylko wyzbył się patriotycznych urojeń, ale zakorzenił się głęboko w żyzny grunt nowozelandzki, tłocząc jedynie na kominach projektowanych przez siebie domów gmerk przypominający herb rodowy Pilawa. Geoffrey-Władysław wspominał po latach o ojcu: *„Nigdy nic nie czytał o Polsce, ale muszę powiedzieć, że w tych czasach w Nowej Zelandii byłoby trudno coś o niej znaleźć, nawet w bibliotekach publicznych, a nie sądzę, żeby umiał czytać tych parę książek o niej w języku francuskim w bibliotece prywatnej mego dziadka"*. Nie wiadomo, kiedy Geoffrey zaczął myśleć o swej nieznanej ojczyźnie i kiedy rozpoczął naukę trudnego dlań języka przodków. *„Przez długie lata byłem praktycznie jedynym czytelnikiem niebywałego zbioru (...) starej literatury polskiej"* — pisał w styczniu 1986 r. do jednego ze swych polskich korespondentów. Przed wojną po wielekroć czytał „Zwierzyniec" Mikołaja Reja w edycji z 1562 r., udostępniony mu w czytelni British Museum. Stąd w jego polszczyźnie tyle zapożyczeń z literatury złotego wieku, przeciwnie dystansujących się od języka współczesności.

W dzieciństwie przebrał się był za króla Jerzego V, którego portret wisiał w ojcowskim domu, w wieku 9 lat zaczął pisać poezję i tak już pozostało. Potocki ogłosił się pretendentem do tronu polskiego, wreszcie monarchą, pisał wierszem i prozą. Zofia Stulgińska we wspomnieniach „Gruszki na wierzbie" (Warszawa 1972) opisała Montalka, przechadzającego się w czerwonej opończy i w sandałach nałożonych na bose nogi po ulicach przedwojennej Warszawy. Włosy spływały mu na ramiona, twarz miał gładko wygoloną, więc nie dziwota, że jakiś starszy pan ucałował mu dłoń, biorąc go za kobietę, co młody monarcha przyjął zapewne jako dowód czci wobec suwerena. Podczas krótkiego pobytu w Polsce dokuczył wielu urzędom i osobom, urągając np. warszawskiemu staroście za brak zgody na ulgowy paszport dla prawnuczek siostry genialnego pianisty Ludwiki Chopinówny.

W środowisku emigracyjnym zasłynął jako dziwak i oryginał, publikujący własnym nakładem kiepskie wiersze własne i podobno niezłe przekłady poetów polskich na angielski (np. „Dziady" Mickiewicza) Zbierając materiały do biografii tego odrodzonego Polonusa, trafiłem do osób, pozostających z nim w kontakcie, oglądałem listy z herbową pieczątką Pilawitów, w piśmie „The Right Review" (1978 nr 19) przeczytałem wiadomość z ostatniej (wówczas) chwili, że *„bolszewicka prasa w Polsce jeszcze raz podała wiadomość o śmierci hrabiego Potockiego"*. Sam też pisałem do Króla Jegomości do słonecznej Prowansji i do miasta Hamilton w dalekiej Nowej Zelandii, gdzie na przemian w ostatnich latach przebywał; odpowiedzi nie otrzymałem. Ponieważ CZAS nie zwykł oszczędzać nawet długowiecznych, a moi korespondenci nie znają też obecnych losów starego pana, może więc warto dobrym słowem przypomnieć tego Nowozelandczyka z urodzenia, a Polaka z wyboru serca. W liście z Londynu przestrzegano mnie, bym żywota króla Władysława V nie opisywał *„po łebkach"*, *„bo gotów on będzie przyjść i zza świata straszyć Pana po nocach..."*. Z lękiem spoglądam w ciemność za oknem, choć wierzę głęboko, że sędziwy pan pozostaje nadal wśród żywych.

ANDRZEJ KEMPA

1

# Kwadratura koła

Niedawno mój krewny zbeształ mnie za to, że nie posiadam samochodu, a — według niego — mógłbym mieć i powinienem. Gdybym miał samochód, to mógłbym go od czasu do czasu gdzieś zawieźć. Próbowałem mu wytłumaczyć racjonalność mojej postawy. Tłumaczyłem, że u nas motoryzacja postawiona jest na głowie. Nie ma właściwie funkcjonujących stacji obsługi samochodów, nie ma części zamiennych, nie ma benzyny, nie ma wreszcie dostatecznej ilości samochodów, a ich ceny są horrendalne. Fakt, że u nas stary samochód kosztuje niekiedy więcej niż nowy potwierdza irracjonalność naszego systemu motoryzacji. Bez skutku.

— *A co według ciebie jest normalną motoryzacją?* — zapytał.

— Normalnie jest wtedy, kiedy mogę wejść do salonu samochodowego i wybrać sobie samochód według upodobania i fantazji. Normalnie jest wtedy, kiedy wjeżdżając do dużego miasta zostawiam samochód w stacji obsługi na przedmieściu i o wskazanej godzinie podstawiają mi dobrze przygotowany samochód we wskazane miejsce.

— *To są jakieś bajki i wymysły* — wzruszył ramionami nieprzekonany. Widać dla niego normalne jest to, co widzi wokół. Nie potrafi sobie jakoś wyobrazić tego, że może być inaczej. Więc może przekona go niniejsza opowieść.

Pani Krystyna S. pracuje w jednym z łódzkich szpitali. Wspólnie z mężem dorobili się samochodu — fiata 126p. Samochodem dojeżdża do pracy, jak wielu pracowników tego szpitala. Dla lekarzy i innych pracowników służby zdrowia samochód jest — i długo będzie — narzędziem pracy. Przed szpitalem jest parking, na którym parkuje samochody personel szpitala. Tego parkingu nikt nie pilnuje. Zainteresował się nim złodziej samochodowy i pani Krystynie S. ukradł koło z samochodu. No i powstał kłopot. Gdzie dziś dostać koło? Można na bazarze, nawet to samo, które ukradziono, ale cena jest straszna. Nie każdy zdecyduje się płacić za „swoje własne koło" taką cenę. Pani Krystyna S. nie zdecydowała się. Ktoś jej podpowiedział, że trzeba napisać pismo do dyrekcji PP „Polmozbyt", które zajmuje się takimi sprawami.

Pani Krystyna S. napisała podanie, w którym prosi *„o umożliwienie zakupu obręczy koła i opony z dętką do samochodu Fiat 126p"*. Pani Krystyna S. uzasadnia swoją prośbę tym, że *„dojeżdżanie samochodem do pracy jest niezbędne z racji wykonywania obowiązków służbowych"*. I to jest prawda.

Ale jest to prawda dla tych, którzy się tym samochodem posługują. Podobnie jest z telefonem. Telefon na przykład dla dziennikarza, lekarza, pracownika nauki, milicjanta, adwokata i wielu innych jest narzędziem pracy. Ostatnio usłyszałem w radiu, że wielu zachodnich biznesmenów wzdraga się przed podejmowaniem współpracy przemysłowej w Polsce, bo nie mogą bez przeszkód łączyć się ze swoimi firmami na Zachodzie. Polska — niestety — jest pod tym względem zacofana. W Polsce właśnie z powodu tego zacofania nie rozumie się, że samochód czy telefon może być normalnym, podręcznym narzędziem pracy. W Polsce samochód i telefon są luksusem, podobnie jak kolorowy telewizor, pralka automatyczna, lodówka, dobre radio. Ale na tym koniec dygresji.

Pani Krystyna S. napisała podanie i czekała na decyzję. Spodziewała się, że PP „Polmozbyt" przyjdzie jej z pomocą, że zrozumie jej złożoną sytuację, że wskaże, gdzie można kupić taki rarytas, jakim jest koło do samochodu fiat 126p. Ale pani Krystyna S. myliła się. W krótkim czasie — to już osiągnięcie, że nie musiała długo czekać na odpowiedź — otrzymała pismo urzędowe NO-050-1063/89 z datą 27.06.1989, w którym dyrektor PP „Polmozbyt" mgr Jan Grzesiek pisze tak:

*„...uprzejmie informuję, że Przedsiębiorstwo Państwowe „Polmozbyt" w Łodzi nie prowadzi imiennej sprzedaży elementów motoryzacyjnych. Otrzymana przez przedsiębiorstwo masa towarowa kierowana jest w całości na stacje obsługi. Ewentualne skompletowanie koła możliwe jest wyłącznie w placówkach usługowych podległych „Polmozbytowi"*.

Ale, jak wynika z praktyki w *„placówkach usługowych podległych „Polmozbytowi"* kół nie ma, bo gdyby były, to pani Krystyna S. nie pisałaby podania, w którym zwraca się *„z uprzejmą prośbą o umożliwienie zakupu"*. Być może koła takie bywają w *„placówkach usługowych podległych „Polmozbytowi"*, ale w których i kiedy? Grzeczność gentlemana wskazałaby, kiedy i w których *„placówkach usługowych"* będą te cholerne koła. Niech sobie idzie i kilka dni postoi w kolejce.

Poza tym panią Krystynę S. nie obchodzi *„masa towarowa kierowana w całości"* do tych punktów usługowych, które usługowymi są jedynie z nazwy, ale koło, jedno koło do samochodu marki fiat 126p. Rozumiem, że dyrektor mgr Jan Grzesiek nie jest powołany do sprzedaży kół samochodowych nawet w szczególnych wypadkach, nawet dla pracowników służby zdrowia, ale jest on dyrektorem PP „Polmozbyt", które to PP nie wypełnia roli, do jakiej zostało powołane. Nie sprzedaje kół, które są niezbędne dla samochodów. Wobec tego dyrektor mgr Jan Grzesiek w swojej odmownej odpowiedzi powinien przeprosić swoją korespondentkę, zapewnić ją, że „braki są chwilowe", a gdy tylko zaniką zaraz ją o tym powiadomi. Poza tym jest szczęśliwy, że klientka się do niego zwróciła, gdyż to dowodzi zaufania do firmy, i że — mimo tego, iż nie jest do tego powołany, ani to nie jest jego rolą, ale dla dobra firmy, które przedkłada ponad wszystko — pomoże jej ten jeden raz i prosi o dyskrecję, aby się inni nie dowiedzieli.

Ale PP „Polmozbyt" jest monopolistą i klientów nie szanuje.

ZENON POROWATY

2

Lewym okiem

# Poczta jedzie!

Ostatnio poczta ogłosiła gotowość świadczenia usług w iście błyskawicznym tempie. Mianowicie list nadany w Polsce może się znaleźć na przykład w RFN już w ciągu 48 godzin pod warunkiem, że opłaci go się sumą 5400 złotych! Dwie doby z Warszawy na przykład do Hamburga. Domyślam się, że poczta zbierze takich dziesięć, dwanaście przesyłek i wyśle pociągiem sypialnym inspektora, który za tę kwotę zrobi sobie wycieczkę do Hamburga i z powrotem i będzie to trwało w obie strony niewiele więcej niż dwie doby. Jakże sobie inaczej tłumaczyć akurat taką stawkę! Przecież jeżeli ta superekspresowa przesyłka wieziona będzie pociągiem czy samolotem, no to i normalny list też jest wieziony tym samym środkiem lokomocji. Co tu trzeba więcej zrobić by ten list przyspieszyć? Za co ten kolosalny haracz?

Niezrównana jest nasza poczta w swoich poczynaniach i pomysłach. List z Koszalina do Warszawy jest w drodze niecałą dobę, z Warszawy do Łodzi drugą dobę, a w Łodzi, zanim zostanie doręczony leży sobie gdzieś dwa tygodnie. Już niczego kompletnie nie można powierzać poczcie. Zapowiedź czyjegoś przyjazdu otrzymujemy długo po przyjeździe odnośnej osoby. O wysyłce pieniędzy dowiadujemy się wtedy, kiedy już dawno zdążyliśmy je wydać. Czekolada i sucharki w paczce zagranicznej zdążą zakwitnąć wszystkimi kolorami pleśni zanim otrzyma je adresat. Rosną natomiast formalności niewytłumaczalne dla zdrowo myślącego obywatela. Pewnej pani, która chciała nadać paczkę do Ameryki kazano przedłożyć dowód osobisty. Po jaką jasną Anielkę — przecież tego nigdy nie było! Musiała biedna iść do domu i przynieść dowód, inaczej paczki nie chciano przyjąć. To są już horrendalne sprawy i doprawdy ręce opadają jak się wciąż o tej poczcie pisze i pisze i nic się tam nie zmienia.

Był taki czas, kiedy podobnie pisało się o Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. Okazało się jednak, że można i w naszym kraju tak wpłynąć na sytuację, tak zorganizować pracę we własnej instytucji, że wszelkie narzekania ustają. Czy dziś, mimo tak kolosalnego obciążenia ZUS w związku z ciągłymi zmianami emerytur i rent, czy dziś skarży się ktoś jeszcze na ZUS? Przecież to tylko poczta hamuje tempo rozsyłania rent. Przecież to tylko przez nią musimy się wzajemnie zapożyczać u sąsiadów czekając aż nasz rodzimy doręczyciel zjawi się z pieniędzmi; czasem nie zjawia się wcale i trzeba odebrać emeryturę w okienku po odczekaniu przepisowych dwóch godzin w kolejce.

To, co się wyprawia z prenumeratą prasy przekracza już wszelkie granice. Niewątpliwie jesteśmy jedynym krajem nie tylko w Europie, ale na całym świecie, gdzie nie doręcza się prenumerowanych pism adresatom.

Myślę ze smutkiem, że gdyby Konstanty Ildefons Gałczyński pisał dzisiaj swój poemat „Trąbki pocztowe" mniej zawarłby w nim sentymentu. A pamiętacie wieszcza Adama piękny sonet:

„Tutaj widok jest na drogę
tędy zawsze poczta jedzie"

Dzisiaj też poczta jedzie. Ale jedzie — w dół.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

# Najgorsze jeszcze przed nami

Dawno, dawno temu RTS Widzew kupił Dariusza Dziekanowskiego i zapłacił ogromną — jak na tamte czasy — sumę 21 milionów złotych. Teraz ŁKS sprzedał Jarosława Bako do Lubina i jak pisze Janusz Basałaj w „Przeglądzie Sportowym" — „uzyskanie informacji o wysokości transferu jest czasami niemożliwe". Janusz Basałaj nie przewidział konkurencji. To, co okazało się niemożliwe dla dziennikarza „PS", stało się realne dla dziennikarza prasy opozycyjnej i „Gazeta Wyborcza" ujawniła wysokość ceny, jaką zapłacono za Jarosława Bako: 150 000 000 złotych. Suma piękna. Nie potrafię tylko porównać wartości 21 milionów z dawnych czasów z wartością 150 milionów z 1989 roku. Nie zapominajmy o inflacji!!!

Jarosław Bako zapytany o powody przejścia do Lubina powiedział:

— „Wie pan czasami trzeba zmienić klimat. W Łodzi mieszkałem siedem lat. Wystarczy".

Przypominam sobie, że Dariuszowi Dziekanowskiemu też nie odpowiadał klimat w Łodzi. A może to nie klimat w Łodzi jest zły, może tu po prostu pieniędzy jakby mniej. Bo przecież doświadczony kibic, nie wspominając o działaczach sportowych, trenerach, pracownikach klubów i zawodnikach, wie doskonale, że w sporcie — a w piłce nożnej szczególnie — decydują pieniądze. I przede wszystkim pieniądze.

Dawno temu pewnemu mojemu znajomemu dyrektorowi zaproponowano działalność w zarządzie jednego z klubów sportowych. Klub znany, z tradycją ale i wielkimi kłopotami. Mój znajomy dyrektor jest zapalonym kibicem piłki nożnej i to właśnie drużyny tego klubu, który zaproponował mu działalność w zarządzie. Propozycję przyjął z entuzjazmem. Miał nadzieję, że postara się pomóc „swojemu" klubowi. Dyrektorem był dobrym, prowadzona przez niego firma prosperowała, znał się na interesach. Nadzieje miały solidne podstawy. Po jakimś czasie — dość krótkim — zapytany, jak tam w „jego" klubie, machnął ręką i oświadczył, że już nie działa, bo nie ma zamiaru stanąć przed prokuratorem. Klub prosperuje do tej pory, nadal ma trudności, ale jakoś do tej pory nikt z tego klubu nie stanął przed prokuratorem. Z innych — podobnie. A przecież — tak można sądzić — byłoby za co.

Nowy prezes PZPN deklaruje publicznie, że nie będzie malowanym prezesem, a w piłce nożnej jak nie powiało nowym, tak nie powiało. Wszystko idzie po staremu.

To przecież w PZPN wymyślono, aby Janusza Wójcika uczynić jednocześnie odpowiedzialnym za dwa zespoły młodszych piłkarzy. Z punktu widzenia źle pojętej oszczędności korzyść to ogromna. Z punktu widzenia korzyści piłkarskich pomysł straszny. Tak się bowiem składa, że oba młodzieżowe zespoły grają w tym samym czasie w różnych miejscach. Wytwarza się bałagan. Janusz Wójcik pozostawia jeden zespół i leci do drugiego, którym opiekuje się w zastępstwie jego asystent. Na kierowników ekipy urządza się łapanki. Edmund Zientara, który w PZPN ma koordynować pracę trenerów, jeździ za granicę jako... asystent Janusza Wójcika. Pomieszanie z poplątaniem, na którym najgorzej wychodzą młodzi piłkarze. Sądząc po takim stanie rzeczy w drużynach przyszłych reprezentantów Polski długo jeszcze nie wyjdziemy z kryzysu piłkarskiego. Najgorsze przed nami!

Albo inny przykład piłkarskiej demoralizacji. W Tarnowie jest klub Tarnovia, a w tym klubie jedna z ostatnich w Polsce drużyn amatorskich. Zawodnicy Tarnovii pracują do godziny 11, a następnie idą na trening. Jest to — a raczej była to — drużyna z ambicjami. Już, już mogła awansować do II ligi. Wkoło jednak wszyscy piłkarze śmiali się z piłkarzy Tarnovii. Oni nie pracowali, mieli wszystko, co chcieli, a piłkarze Tarnovii musieli pracować, nie mieli mieszkań, nie dostawali samochodów, nie mieli dużo pieniędzy. Ale grali. Aż do pewnego momentu. Przyszli bowiem panowie z teczkami i błysnęli rulonami kolorowo drukowanego papieru bardzo dobrej jakości. I chłopcy z Tarnovii dali się nabrać. Potwierdziła się teza, że w sporcie, a w piłce nożnej szczególnie decydują pieniądze i przede wszystkim pieniądze. Kto ma pieniądze, ten ma dobrych piłkarzy, ma wyniki, jeździ za granicę. Ale chłopcy z Tarnovii nie mieli wprawy. Wszystko się wysypało i spotkała ich kara. Gdy drużynę objął trener Stanisław Krok, który już kiedyś ją trenował, to okazało się, że brakuje mu 9 piłkarzy. Zastąpili ich nowi. Tych dziewięciu zostało zawieszonych. Tarnovia już nie gra w II lidze. Wszystko trzeba zaczynać od nowa.

Tak to wygląda na razie. Ale ciągle mam wrażenie, że najgorsze dopiero przed nami.

BOGDA MADEJ


OGŁOSZENIA DROBNE

**ZE SLAJDÓW** — negatywy, odbitki na materiałach zachodnich — wykonuje „STUDIUM" Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej). Rycel.
43618-g

**WEEKENDY AUTOKAROWE** Berlin Zach. 40.800 + 3 DM Sartour — Sienkiewicza 101/109, tel. 36-31-54 (11—17).
42492-g

**HAMBURG** — trzy dni, 60.000 zł + 50 DM, „SARTOUR" 36-31-54.
42496-g

**WIEDEŃ 44.800 zł + 4 USA,** „SARTOUR", 36-31-54.
42494-g

**ATRAKCYJNE** oferty panów z RFN, „Samanta" 59—850 Świeradów Zdrój, skrytka 13.
30566-g

# Superagent Tambor

(2)

Rys. Dariusz Romanowicz

**JERZY JESIONOWSKI**

Wieczorem musiało nastąpić to, na co Tambor był po desperacku przygotowany: inauguracyjne sex party z Jolą. Kiedy się oboje wykąpali, Jola natarła nań jak wygłodzona lwica. W łóżku okazało się, że jako akrobatka jest ona może za słaba dla amerykańskich cyrków, ale na prześcieradle potrafi niemało. Tym widocznie zachęciła do małżeństwa amerykańskiego eks-męża, który nie podołał wszakże na dłuższy dystans takiej Niagarze rozkoszy. Tambor nie był ułomkiem, miał wielostronną zaprawę sportową (uprawiał z sukcesami nawet dżudo), lecz po godzinie miłości z Jolą czuł we wszystkich mięśniach i stawach takie zmęczenie, jakby przebiegł czterdziestodwukilometrowy maraton z plecakiem kamieni na grzbiecie.

Ona zaś miała jeszcze siłę i ochotę na bawienie się z nim. Przy tych jednostronnych igraszkach połaskotała mu spód stopy. Tambor skręcił się i zaskowyczał jak targnięty prądem, a potem siadł na łóżku i przywarł stopami do podłogi.

— Co ci się stało? — spytała przestraszona Jola.

Tambora też dopadł strach, chociaż jego stopy były już bezpieczne. Oto podwładna pułkownika Knocka odkryła starannie tajoną słabość superagenta. Według regulaminu powinna o tym zameldować. Wtedy koniec z opinią i karierą asa tajnej służby, na którego nie ma mocnych w żadnym kraju, a może i we wszechświecie.

Tę jego słabość — osobliwie wybujałą nieodporność na łaskotanie spodów stóp — pierwsza dostrzegła w dzieciństwie matka, lecz z jej strony nic nie groziło. Potem odkryli to rówieśnicy, którzy czynili ze zdobytej wiedzy bezlitosny użytek. We dwóch albo trzech obezwładniali Tambora i wymuszali łaskotaniem podeszew wszystko, co chcieli: pieniądze, wyznania i czyny. Dopiero przeprowadzka rodziców wyzwoliła Tambora spod tej przemocy, ale musiał skrywać swą niebezpieczną przypadłość jak tylko można. Dotąd mu się to udawało. Teraz zaś posiadła tajemnicę funkcjonariuszka wywiadu, której babski język, a ponadto służbowy obowiązek... Ech, taka zawstydzająca wpadka w łóżku...

Na babski język i służbowy obowiązek mógł być tylko jeden sposób: strach. Tambor postanowił użyć tej hamującej broni.

— Jolu, odkryłaś niechcący moją słabość, o której nikt nie może się dowiedzieć. Jestem łaskotliwy. Jeśli chlapniesz o tym przed kimkolwiek jęzorem, możesz od razu pisać testament. Trup, kamień i głęboka woda. Dla mnie to fraszka.

Jola znowu się przestraszyła — tym razem z wiadomego już powodu.

— Po co miałabym komukolwiek mówić? U mnie jak w studni.

— No to pilnuj języka. A teraz śpijmy, dość tego figlowania. Jutro zaczynamy pracować.

## III.

Aby nie trwonić czasu na zabiegi o taksówki, których wyraźnie było w Polsce za mało, Tambor zdecydował się na opłacanie stałego samochodu z kierowcą, mającym czekać na niego, a nie odwrotnie. W biurze wynajmującym takie samochody, zaproponowano mu zieloną limuzynę marki polonez z kierowcą o imieniu Marek, znającym podobno doskonale Warszawę i całą Polskę.

— Taki mi właśnie potrzebny — oznajmił Tambor. — Biorę.

Pan Marek okazał się krępym czterdziestolatkiem o bystrych oczkach człowieka, który wiele widział i w kaszy zjeść się nie da.

— Będzie pan ze mnie zadowolony, sir — zapewnił Tambora. — Z mojego pasażera nikt jelenia nie zrobi, nie pozwolę.

— Na to i ja nie pozwolę — rzekła obecna przy rozmowie Jola. — Wychowałam się w Polsce.

— No to sir może być całkiem spokojny o swój portfel — skonkludował pan Marek. — Sam nie dałby sobie rady, u nas cwaniaczków jak mrówek. Doją każdego, żadnych zasad.

Tambor zachichotał w duchu z mniemania, że sam nie dałby sobie rady. Ale nie mógł przecież zdradzić, kim jest. Dla pana Marka musiał być wzbogaconym polonusem, zamierzającym założyć w kraju firmę i szukającym zyskownego wynalazku.

Jeszcze w drodze do Polski Tambor wyrozumował, że wynalazca perpetuum mobile — nim zdążono je utajnić — zgłosił zapewne swe dzieło w urzędzie patentowym. Poszukiwanie należało zatem zacząć od tamtego miejsca. Pan Marek wiedział, gdzie znajduje się ten urząd, pojechali więc tam od razu.

Marek lawirował samochodem w śródmiejskim ścisku ze zręcznością ekwilibrysty. Takich kierowców spotykało się tylko w zatłoczonych metropoliach o kiepsko zorganizowanym ruchu.

— Dawno pan pracuje w tej firmie? — spytał Tambor.

— W tej firmie niedawno.

— A przedtem?

— Przedtem miałem własną taksówkę.

— I co, nie opłacało się?

— Za dużo wspólników. Prywaciarza każdy chce skubać, bo wszyscy uważają, że za wiele zarabia. A najgorsi ci od jednakowych żołądków.

— Nie rozumiem... Kto?

— Tacy, co mają żołądki sprawne, ale obydwie ręce lewe, nie do roboty. Ci prywaciarzowi nie popuszczą. Batem go i pod górę, niech się nie leni. Ale dochód odebrać podatkiem i rozdzielić między wielodzietnych, żeby było równo na każdy żołądek. No to ja dałem sobie spokój z tą taksówką. Sprzedałem i teraz jestem człowiekiem pracy, a nie posiadaczem. Wolnego czasu mam więcej, bo przedtem jeździłem po dwanaście godzin, a nieraz i dłużej. Zyskałem też to, że przysługują mi teraz świadczenia socjalne. Chorobowe, emerytalne i wszystkie inne. Pełne bezpieczeństwo, czy się tyra, czy choruje. Państwo płaci.

Tambor wiedział już, dlaczego w Polsce jest za mało taksówek. Tymczasem dojechali do urzędu patentowego. Tambor udał się z Jolą do działu, w którym rejestrowano zgłaszane wynalazki. Spis prowadziła kobieta. Tambor łatwo spostrzegł, że jako mężczyzna podziałał na nią podniecająco. To mogło mieć dwojaki skutek. Albo przyspieszyć załatwienie sprawy, albo prowadzić do jej przeciągania, by wizyty powtarzały się, co dawało szansę zadzierzgnięcia znajomości. Tambora interesowała oczywiście tylko pierwsza możliwość.

Przedstawił urzędniczce rzekomy cel swego przyjazdu do Polski. Wysłuchała go z życzliwą uwagą i spytała:

— Jakiego rodzaju wynalazek interesuje pana? Chodzi mi o branżę.

— Perpetuum mobile — odrzekł nie tracąc czasu na jałowe kluczenie.

Urzędniczka popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— Perpetuum mobile jest niemożliwe, proszę pana — oznajmiła. — Takich zgłoszeń w ogóle nie rozpatrujemy.

— Ale rejestrujecie?

— Rejestrujemy wszystko, co wpływa.

— To poproszę o nazwiska i adresy.

Po chwili zakłopotania urzędniczka podjęła próbę pchnięcia Tambora na sensowniejszy jej zdaniem tor poszukiwania.

— Mamy tu bardzo cenne wynalazki, którymi nasz przemysł nie interesuje się. Mogłabym panu wskazać.

— Ja chcę perpetuum mobile — uciął jej dobre chęci Tambor.

Urzędniczka skapitulowała i siadła bez ochoty do wyszukiwania w rejestrze zgłoszeń PM. Przewertowała dwa ostatnie lata i podała Tamborowi kartkę z sześcioma nazwiskami i adresami.

— Wystarczy? — spytała takim tonem, jakby miała do czynienia z chcącym się pobawić dzieckiem.

Tambor uświadomił sobie, że z utajnieniem prawdziwego PM nawet ślamazarni Polacy nie zwlekaliby dłużej niż dwa lata — zatem musiał to być wynalazek nie starszy.

— Wystarczy — odrzekł. — Dziękuję pani.

Rejestratorka pożegnała go zalotnym uśmiechem, co było znakiem wybaczenia mu nienaukowej wiary w perpetuum mobile. Gdy skierował się ku drzwiom, dorzuciła zachętę:

— Gdyby jednak zdecydował się pan na co innego, chętnie służymy.

— Jeszcze raz dziękuję.

Pierwsza przeszkoda na drodze do PM została przeskoczona. Zadowolony Tambor postanowił dać sobie na resztę dnia służbową folgę i popuścić wodze nie zaspokojonej wczoraj oskomie osobistej. Kierowca był podobno człowiekiem znającym doskonale Warszawę i całą Polskę.

— Panie Marek... — zaczął Tambor, gdy ruszyli samochodem spod urzędu.

— Mówi się „panie Marku" — poprawiła go Jola.

— Panie Marku, czy lubi pan pierogi z kapustą?

Marek aż mlasnął usłyszawszy to pytanie. Lecz odpowiedział głosem pełnym smutku.

— Lubię, ale chwilowo mi nie wolno. Żołądek nie wytrzyma, chorowałem, jestem jeszcze na diecie.

— Mój wytrzymuje. Cały talerz i jeszcze trochę, aż brzuch być twardy. Gdzie można ich dostać?

— Niełatwo. Muszę pomyśleć.

Pomyślawszy Marek spytał:

— Zapłaci pan dolarami, sir?

— Dolarami. Zapłacę, ile chcą.

— Postaram się to załatwić. Ale nie od razu. Trzeba zamówić. Mogą być na kolację.

— Okey. Gdzie?

— Zawiozę.

Po obiedzie Tambor wybrał się na pieszy spacer po mieście. Jolę zwolnił, bo dowiedziała się, że tego dnia występuje po raz ostatni jakiś przyjezdny cyrk, więc chciała pójść na popołudniowe przedstawienie. Przyznała się, że wciąż tęskni do dawnej profesji i nie przepuszcza żadnej okazji znalezienia się pod kopułą cyrku.

— Już podczas przejazdów samochodem Tambor zauważył, że na ulicach Warszawy nie widać ludzi wyglądających na nędzarzy. A przecież — jak wynikało z przeczytanej przez niego miarodajnej broszury amerykańskiej — społeczeństwo polskie żyje w biedzie, w przeciwieństwie do funkcjonariuszy reżimu (których część też zresztą pozoruje niedostatek). Czyżby po ulicach Warszawy chodzili tylko funkcjonariusze, nie zobowiązani służbowo do maskowania się, reszta ludności zaś woli dla bezpieczeństwa siedzieć w domach? To należało zbadać. Nie takie zagadki Tambor rozszyfrowywał, toteż i z tą spodziewał się nie mieć kłopotu.

Wędrując po mieście musiał jednak szybko uznać, że nie jest możliwe, by wszyscy przechodnie byli funkcjonariuszami. Ludzi ci dokonywali zakupów, załatwiali sprawy na poczcie oraz w punktach usługowych — przy czym były to czynności autentyczne, a nie udawane, gdyż Tambor łatwo by swym wywiadowczym okiem rozpoznał takie pozorowanie. Funkcjonariusze zaś nie tłoczyliby się przecież z autentycznej potrzeby w kolejkach, bowiem — jak informowała broszura — obsługiwały ich obficie zaopatrzone sklepy specjalne.

Ci krzątający się warszawianie byli zatem społeczeństwem, a nie sługami reżimu. Dlaczego jednak nie wyglądali na biedujących? Natężywszy umysł Tambor doznał olśnienia: to oni udają. Starają się (bez wątpienia dużym dla siebie kosztem) wyglądać porządnie, jak ludzie władzy, żeby nie budzić podejrzeń funkcjonariuszy prawdziwych i uniknąć tym sposobem ich zainteresowania. To zaś, że niektórzy narzekają w kolejkach nawet na rząd, jest kamuflażem piętrowym: chcą uchodzić za prowokatorów, co zabezpiecza ich jeszcze skuteczniej.

To odkrycie społeczne Tambor zaliczył jako swój kolejny (po zdobyciu adresów) sukces w pierwszym dniu wykonywania misji w Polsce. Szło mu zatem dobrze. Nagroda w postaci pierogów z kapustą była w pełni zasłużona. Byle Marek nie zawiódł. Polacy są podobno niepewni pod względem dotrzymywania obietnic.

Marek wywiązał się z obietnicy. Wieczorem zawiózł Tambora i Jolę do małej, prywatnej restauracji w podwarszawskiej miejscowości. Wszedł z nimi do środka i powiedział coś krótko do jedynego tu kelnera. Ten skinął potakująco głową i natychmiast zameldował się przy stoliku, zajętym przez Tambora i Jolę.

— Dobry wieczór szanownym państwu. Dwa razy pierożki z kapustką, tak?

— Nie — odpowiedziała Jola. — Raz. Dla mnie coś lekkiego. Co może być?

— Polecam szczupaczka w galaretce. Świeżutki.

— Proszę — zaakceptowała propozycję Jola.

Kelner zwrócił się do Tambora.

— Jakąś wódeczkę do tego? Pod pierożki dobra żytniówka. Podać karafeczkę?

Tambor uznał, że po dwóch sukcesach służbowych alkohol mu się należy.

— Dobrze, proszę.

— Pierożki podsmażyć czy z wody?

— Podsmażyć.

— Na masełku czy ze skwareczkami?

— Ze skwarkami. Dużo skwarek.

— Tak jest.

Czekając na pierogi Tambor rozejrzał się po lokalu. Z pozostałych stolików zajęte były tylko dwa. Przy jednym dojrzały wiekiem adonis ugadywał młodą dziewczynę, która wyglądała na jeszcze nie rozgrzaną. Natomiast trzej mężczyźni przy drugim stoliku wypili już widać — jak na swoje głowy — dosyć, gdyż rozmawiali głośno i bełkotliwie. Tambor nie wszystko rozumiał, ale temat dawał się odgadnąć; opijali jakiś interes. Byli bez wątpienia społeczeństwem, bo funkcjonariusze nie załatwialiby tego w knajpie, na ludzkich oczach. Mieli na pewno lokale wydzielone, dla swoich.

Kelner przyniósł pierogi, rybę i wódkę. Oceniwszy widocznie, że sąsiedzi zagranicznego gościa zachowują się zbyt głośno, podszedł do ich stolika i powiedział coś półgłosem. Biesiadujący przycichli, zaczęli za to obserwować Tambora i Jolę.

Tambor spałaszował pierogi szybko i poprosił o drugą porcję. Jola dziobała rybę powoli, po damsku, jakby skrępowana obserwacją. Kiedy Tambor napełnił kieliszki, upiła ze swojego tylko odrobinę. Chociaż sąsiedzi rozmawiali teraz ciszej, Tambor słyszał ich uwagi o nim i Joli.

— Ciekawe, kto tu kogo podrywa. On czy ona.

— Jemu jakby nie zależało. Żre pierogi. Tak się babki nie rwie.

— Na pewno ona. Amerykaniec musi być forsiasty.

— I żre pierogi?

— Widać lubi. Kowboje mają różne gusty. A bogaty chromoli, co kto o nim pomyśli. Swoją wartość zna.

Kelner zaserwował z magnetofonu amerykańskie przeboje i Tambor przestał słyszeć, co mówią sąsiedzi. Wyszli oni zresztą niebawem, rozliczywszy się z kelnerem. Jola przestała się krępować i wysuszyli teraz karafkę pijąc równo. Kiedy przyszło do płacenia, kelner nie chciał wyjawić wysokości rachunku.

— Proszę zapłacić tyle, ile kosztuje w Ameryce.

Tambor wyjął z portfela banknot dwudziestodolarowy. Tym razem Jola nie sprzeciwiła się wygórowanej zapłacie. Kelner przyjął ją tak, jakby była należna. Niemniej odprowadził gości usłużnie do drzwi i polecił się na przyszłość.

Na dworze czekali trzej biesiadnicy od sąsiedniego stolika. Jeden z nich podszedł do Tambora i oznajmił:

— Ameryka oczeń gut, mister. Jawohl!

Drugi wystąpił z propozycją:

— Wymienimy dolary, mister. Korzystniej niż w banku.

Nim Tambor zdążył odpowiedzieć, jak spod ziemi wyrósł przy nim kierowca Marek z łyżką od opon w ręku.

— Spływające — powiedział groźnie do nagabywaczy. Gdy posłusznie odeszli, rzekł do Tambora: — Cwaniaczkowie. Żadnych zasad. Proszę się takich strzec, sir.

W hotelu podochocona alkoholem Jola zaatakowała Tambora wprost z marszu. Ciężki po dwóch porcjach pierogów jak bąk, z trudem sprostał jej erotycznemu impetowi. Zaczął żałować, że nie poprosił pułkownika Knocka, by przydzielił mu na tę podróż lesbijkę.

## IV.

Jeden z sześciu interesujących Tambora wynalazców mieszkał w miejscowości podwarszawskiej, od niego więc należało zacząć. Licząc się wszakże z tym, że człowiek ten prawdopodobnie gdzieś pracuje, Tambor postanowił pojechać do niego dopiero po południu. Przedtem chciał załatwić co innego:

Z miarodajnej broszury wynikało, że zachodni cudzoziemcy obserwowani są w Polsce przez SB, czyli tajną policję polityczną. Jej zainteresowanie obejmuje także Polaków, z którymi owi cudzoziemcy się kontaktują. To napawało Tambora obawą, że wynalazcy, których będzie odwiedzał, mogą czuć lęk przed zadawaniem się z nim. Należało ten lęk pomniejszyć.

Mogło temu służyć zaświadczenie, że gość jest polonusem, zamierzającym założyć w Polsce firmę i szukającym wynalazku do produkowania. Tambor chciał uzyskać takie zaświadczenie i spytał Jolę, dokąd trzeba się w tym celu udać.

Jola spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Masz zamiar zabawić tu kilka miesięcy? Tak ci zasmakowały te pierogi?

— Pierogi były pyszne, ale zadanie muszę wykonać szybko.

— To wybij sobie z głowy jakiekolwiek zaświadczenie.

— Dlaczego?

— Co najmniej miesiąc potrwałoby ustalanie, który urząd może takie zaświadczenie wystawić. Przez następny miesiąc ten urząd wykręcałby się, że nie on. Trzeci miesiąc zszedłby ci na zbieraniu potrzebnych podkładek. Gdybyś wszystkie zgromadził, urząd miałby jeszcze miesiąc na odpowiedzenie ci. Nie należy wykluczać, że odmownie. Wtedy trzeba by się odwołać do wyższej władzy. Mniej jak pół roku z tego rachunku nie wychodzi.

— Śmiech i groza! Bóg na to nie grzmi?

— Przywykł.

— A prawo?

Jola zastanawiała się przez pewien czas, a potem odpowiedziała:

— Według prawa to w Polsce prawdopodobnie nic nie wolno.

— Dlaczego mówisz „prawdopodobnie"?

— Bo tego nikt nie wie na pewno. Nawet urzędnicy nie znają całego prawa, bo takie jest ogromne i zagmatwane, a czasem też sprzeczne. Dlatego każdy boi się złożyć podpis, żeby nie zezwolić nieświadomie na coś, co jest zabronione.

**C.D.N.**